



Krzysztof Varga

Karolina

Krzysztof Varga

Karolina

Usłyszałem jej nazwisko w rozgrzanej taksówce. Przed sobą miałem zatłoczoną ulicę prowadzącą do mostu na drugą stronę rzeki, gęstniejącą od klinujących się pojazdów, a za sobą lato, które równie dobrze mogłoby nie zaistnieć. Wakacje spędziłem w dusznym, lepkim i brudnym mieście, pracując, spóźniony, nad kilkoma zamówionymi projektami i żywiąc się prawie wyłącznie lodami. To nie było lato z przyjemnie szumiącym wieczorową porą morzem, lato z gorącym piaskiem plaży w jasne do szaleństwa dni, lato z ciepłymi nocami na tłocznych deptakach w modnych kurortach i gwarnych kąpieliskach ani lato radosnych przechadzek po lesie gęstszym niż wspomnienia słodkiego dzieciństwa, lub też lato marszów po karkołomnie wąskich i stromych jak młodzieńcze miłości górskich ścieżkach. Nie był to też czas, który spędziłbym na podziwianiu wspaniałych, rozgrzanych i rozświetlonych południowym słońcem miast z porastającymi je jak trujący bluszcz zabytkami architektury; żadną miarą nie był to też czas, który mógłbym poświęcić na zwiedzanie bogatych w arcydzieła muzeów i galerii, na powolne, bezcelowe spacery po starych i ciemnych dzielnicach o niepowtarzalnej atmosferze; czas, który mógłbym przeznaczyć na moczenie nóg w znanych z pocztówek i starych Filmów fontannach, na przycupywanie w zacisznych bistrach z naprawdę śmiesznie niskimi cenami smaczných posiłków i najlepszą kawą na świecie albo na niekończące się przesiadywanie w modnych kawiarniach i obserwowanie ich stałych klientów w obowiązkowych tego sezonu ubraniach, poprawiających oprawki okularów Ray Ban albo Armani, strzepujących kurz przemijania z rękawów koszui Pierrea Kardeny i z klap marynarek Bossa. Nie były to także wakacje spędzone oko w oko z niebezpieczeństwami wartymi kolorowych miesięczników. Żadne egzotyczne eskapady do słynących z tropikalnych chorób krajów, pobyty na wyspach, gdzie w wypadkach motorówek giną aktorzy i piosenkarki, ekscytujące urlopy nad jeziorami, w których zimną toń wpadają pijani dziennikarze, osiągnięcie szczytów łagodnych wzgórz, zdobywanych przez nieustraszone prezenterki telewizyjne, rutynowe wypady na podmiejskie łąki tonące alergicznych kwiecistościami. To było lato nieodwołalnie zaprzepaszczone, tragicznie przegrane, haniebnie poddane, zawstydzająco zdradzone i bezapelacyjnie stracone na zawsze. Dziwne, niepokojące lato, miesiące niewielu ciepłych deszczy, przesiedziane w pracy, pełne prób zapomnienia o tym, że można robić wszystko, co domaga się skrupulatnego wyliczenia, a co zawsze da się jeszcze poszerzyć o całą gamę urozmaiconych aktywności: samotne samochodowe wędrówki po pustych drogach, odkrywanie nieopisanych w żadnych przewodnikach miejsc, chętnie odsłaniających mało komu znane historie, zaszywanie się w ustronnych pensjonatach z dyskretną obsługą i smacznym jedzeniem, pływanie łodziami po pienistych i skłębionych wodach szerokich rzek, przechadzki po wrzosowiskach, długie posiedzenia w nadmorskich

restauracjach i kafeteriach; czas wart poświęcenia na powrót do miejsc, do których zawsze obiecujemy sobie powrócić, a do których żadnego powrotu nie ma.

Taksówka tkwiła w gigantycznym korku perfekcyjnie dostosowanym do nudnej codzienności moich letnich dni, przede mną metalicznie gęstniało powietrze, wokół pulsowały nagrzane słońcem i wysiłkiem karoserie samochodów, a ze mną wciąż było lato spędzane w pracy i w domu, bo innych miejsc już prawie nie znałem. Zapomniałem o pubach i kawiarniach, piwiarniach i winiarniach, o restauracjach i barach, o znajomych i kobietach, coraz rzadziej dzwoniły telefony, coraz sporadyczej przychodziły e-maile. Były to miesiące spędzone na kreśleniu niekierowanych do realizacji projektów, na szkicowaniu scenariuszy niemających szans na pozyskanie entuzjastycznego producenta, na pozyskanie w ogóle jakiegokolwiek producenta czy choćby przychylnego czytelnika, pobłażliwego krytyka, miesiące spędzone na jałowych, obłudnych rozmowach z przełożonymi i pustych pogawędkach z klientami. Miałem prawo podejrzewać, że właśnie następuje ostatnie lato tego świata, a jeśli nawet świat w jakiś niezrozumiały sposób przetrwa do kolejnego czerwca, lipca, a może nawet sierpnia, dla mnie będzie to już nieodwołalnie bez znaczenia. Wszystko jedno, czy (choć dawno wyrosłem z młodzieńczego katastrofizmu) świat miał zamiar rozpęknąć się gwałtownie i hucznie na jesienne podobieństwo kasztana lub orzecha, czy też zniknąć niezauważalnie, koniec mojego istnienia pozostałby i tak zupełnie niewidoczny, nieodczuwalny, niesłyszalny. Nie wierzyłem już, by zdarzyło się cokolwiek, co nie jest wpisane w codzienny scenariusz tych letnich dni, i czułem otępiający spokój kogoś, kto wie, że nie zdarzy się już absolutnie nic, a jego życie można uznać za formalnie zakończone. I mimo że w jego ciele jeszcze przez długie lata będą zachodziły wszystkie wstydlive procesy fizjologiczne, on sam będzie ciepłym trupem - jedzącym, trawiącym, defekującym, dzwoniącym, chodzącym i mówiącym. Trwało ostatnie lato świata, a ja siedziałem na tylnym siedzeniu taksówki spóźniony, zmęczony i skazany, zaś korek trwał niewzruszenie.

Nie podróżowałem w to straceńcze lato, wyjąwszy do śmiertelnego znudzenia rozpoznane trasy przemierzane autobusami (zazwyczaj rano) i taksówkami (głównie wieczorem). Znałem przecież tylko jedną drogę, i u obu jej końców było nic - na jednym krańcu idealna pustka mojego niesprzątanego od dawna mieszkania, na drugim nic doskonałej bezkształtności mojej męczącej pracy. Pomiedzy tymi dwoma niedorzecznościami tkwiłem ja: niby w ruchu, ale unieruchomiony, przemieszczający się, ale wciąż stojący w miejscu. Nie zdążyłem przecież na żadne szczyty, jeśli nie liczyć jakże męczącego zdobywania drugiego piętra mojego biurowca, które każdego dnia wydawało mi się wyższe, skoro czułem wyraźnie, że ciągle więcej coraz bardziej stromych stopni muszę w tej żmudnej wspinaczce

pokonać. Zamiast pływać się w wodach ciepłych zatok, pływałem się we własnej kłęsce, która wydawała mi się nie tylko płytsza i mniej skłębiona, ale też wezbrana lepkiem smakiem, aż do mdłości. Więc znikąd nie mogłem naprawdę powrócić, nie licząc zawstydzających codziennych powrotów do domu, które nie pozostawiały po sobie żadnych wspomnień, a utrwały jedynie skumulowane, sformatowane, spakowane wycieńczenie. I nie jadłem wcale wykwintnych potraw z orientalnych kuchni etnicznych restauracjach, i sam też sobie żadnych potraw nie przyrządzałem. Nie oddawałem się kulinarnej wymyślności, radosnemu hedonizmowi, nie mówiłem: na ostro, łagodnie, słodko-kwaśny, dobrze wysmażony, pikantny, nie za tłusty. Ja, dawniej obzartuch, modelowy sybaryta, nie zachodziłem nawet do miejsc, w których kiedyś rozpychałem bezlitośnie swój żołądek i dręczyłem jelita. Teraz - w przygniatającym, piekielnym upale, w słońcu szatana - jadłem tylko lody. Smakowałem wszystkie ich rodzaje. W gorące dni, nie do wytrzymania w nagrzanym, parzącym mieście, jadłem lody owocowe: wodniste cytrynowe sorbety, lody morelowe, gruszkowe, a najchętniej truskawkowe, jagodowe i wiśniowe. W dni chłodniejsze - czasami bywały i takie, choć nigdy nie przynosiły najmniejszej ulgi - brałem lody orzechowe, bakaliowe, czekoladowe. Gdy dni były mieszane: pół upalne i pół chłodne albo nawet pół suche i pół deszczowe, bo zdarzało się, że zaskakiwał mnie w pół kroku nagły deszcz, który nie pozostawiał po sobie prawie żadnego śladu, pojawiała się wściekła, krótka i bezowocna burza, którą z rezygnacją obserwowałem ukryty w bramie, wtedy jadłem lody mieszane, zazwyczaj truskawkowo-orzechowe, choć celowałem czasami w odważniejszych zestawieniach, sprawdzając przy tym nowe smaki: śliwkowe lub ananasowe, cynamonowe i truflowe, badałem nowe kompozycje, z niezwykłą wprost zaciekłością wcielałem się w rolę kiperą, choć ta wymaga przecież spokoju i namysłu. Byłem niespiesznym przechodniem, który nigdy nie może zdążyć, wiecznie spóźnionym flneurem, klnącym niewybrednie - bo oryginalność dawno mnie opuściła - zamkniętej w korku taksówce. Poszukiwałem świata wysublimowanych esejów o włoskich muzeach, choć docierał do mnie tylko huk fabryk industrialnych miast; tęskniłem do szkiców o holenderskim malarstwie, choć napotykałem jedynie najzwyklejsze graffiti. Chwile spokoju przychodziły w jasnych lodziarniach, gdzie lekką ręką wydawałem niewielkie pieniądze na tak wiele obiecujące nazwy: stracciatella, tiramisu, zabaione. Zbyt często jednak odchodziłem zawiedziony. Mój zawód polegał na odczuwaniu zawodu, jeśli wolno mi pozwolić sobie na takie proste gry słowne, ale mogę sobie chyba na nie pozwolić, bo coś mi się w końcu należy za to, co traciłem, gdy każdego zmierzchu wyczekiwałem z nadzieją następnego dnia, by nieodmiennie stwierdzać, że żaden nic nowego nie przynosił. Idąc w ślad zbieraczy białej broni i cennych monet,

kolekcjonowałem smaki i konsystencję lodów, zachowując w wiernej pamięci kubków smakowych, tak jak trzyma się na twardym dysku komputera bezcenne pliki. Tak jak odkrywcy, którzy na zapomnianych strychach i w zasypanych piwnicach znajdują zaginione obrazy mistrzów lub rozsypujące się rękopisy zabitych na wojnie poetów, natrafiłem na miejsca, w których sprzedawano lody w kulkach, unikałem (jestem człowiekiem pewnych zasad) lodów na patyku, nawet tych polanych czekoladą i oklejonych skrawkami arachidów. Byłem zarazem wyrafinowanym smakoszem i beznamiętnym zawodowcem, który swe poczucie dobrego smaku zaprzął do niewolniczej pracy, każąc mu zapomnieć o przyjemności. Poznałem lodziarnią topografię miasta, wiedziałem, gdzie są najlepsze lody w klasycznie eleganckich smakach wanilii i czekolady, a gdzie warto próbować smakowych ekstrawagancji o nazwach jak z kiczowatych filmów o romansach w tropikach. W poszukiwaniu nowych atrakcji dotarłem nawet do ekskluzywnych restauracji, których pretensjonalność na przemian raziła mnie lub wywoływała ataki cichego rozbawienia. Ale to właśnie w tych nieznośnych miejscach znajdowałem nowe cudowności o nazwach równie przesadnych jak wystrój wnętrz: Powiew lata, Noc na Tahiti, Owocowe szaleństwo, Baśń tysiąca i jednej nocy, Sen nocy letniej, i o smakach, których wciąż nie jest w stanie oddać literatura, bo cóż ona może oddać, skoro tak naprawdę nic nie istnieje?

Poznawałem językiem strukturę lodów, ich nietrwałą mleczno-owocową materię; wiedziałem, że akurat w tej lodziarni truskawkowe są miękkie jak bita śmietana, awiśniowe przypominają bardziej - i w wyglądzie, i w samym smaku - zamrożoną krew, którą w dzieciństwie, spływającą z nosa, tak często połykałem, tę prawdziwą krew (to brzmi niepokojąco), tyle że hojnie rozcieńczoną wodą (co jeśli nie śmiesz, to przynajmniej uspokaja). Za rogami nie znajdowałem kobiet mojego życia, nie wpadałem w objęcia dawno niewidzianych przyjaciół, nie spotykałem żadnego przeznaczenia, ale natykałem się jedynie na lodziarnie. Wiedziałem, że następne lody o nazwie malaga smakować będą jak zimna kawa capuccino z torebki o smaku rumowym, a te o nazwie sułtańskie przypominać muszą capuccino brandy z tej samej fabryki chemicznych erzaców. W innej zaś bananowe rozplývają się zbyt szybko, nim zdąży do nich dotrzeć koniuszek niecierpliwego języka, a z ich smaku na dłużej niż chwilę pozostaje tylko wspomnienie dziecięcej pasty do zębów, tak jak lody miętowe przywodziły na myśl podobny specyfik z lat dojrzewania. Natomiast lody mocca są rzeczywiście jak mrożona kawa z mlekiem - lekkie i gorzkawe zarazem, zaś kokosowe, najeżone białymi wiórkami, rozgryzało się, nasłuchując, czy odgłos ich miażdżenia przypomni rozgniatanie nadepniętego chrząszcza, którego lekki panczyk w zetknięciu z podeszwą staje się tak żałośnie nieprzydatny. W kolejnej lodziarni, stałym

punkcie mojego codziennego szlaku, niestrudzenie wgłębiałem się w wyraźny smak lodów czekoladowych, kawowych, bakaliowych, a z uporem myślałem, ku swojemu zawstydzeniu, jagodowe z porzeczkowymi, obojętnie wybierając pomiędzy malinowymi a wiśniowymi, bo ich smak właściwie niczym się nie różnił, tak jak niczym nie różniły się moje dni, następujące po sobie w odwiecznym przekleństwie powtórzeń.

Bywało, że cierpiałem podczas nostalgicznych podróży smakowych, bo nie wiedziałem, czy okropny smak lodów waniliowych (czułem się, jakbym lizał zamrożone żółtko, co gorsza, nawet bez cukru) w odwiedzonej po latach lodziarni był efektem przypadkowego błędu czy też złej od zawsze receptury. Z wczesnej młodości zapamiętałem tylko samo miejsce, do którego pielgrzymowałem kiedyś regularnie po szkole z wyżebranymi od rodziców drobnymi, a okropny smak uleciał jak wy-mazane przez podświadomość złe wspomnienie. Często byłem zawiedziony, gdy okazywało się, że przebiegła pamięć, która zostaje, kłamie i zmienia smaki, myli tropy, wpędza w ślepe uliczki, upiększa brzydotę. Lodziarnia, właśnie ta, do której, już nieco starszy, tak chętnie wpadałem z rozwrzeszczanymi kolegami z klasy (zbyt długie i przewidywalne byłoby rekonstruowanie ich późniejszych żalonych losów) i w której wydawaliśmy zarobione na szkolnym hazardzie drobne monety, niewarta była już moich odwiedzin, tak jak żadnych emocji nie mogły we mnie wzbudzić spotkane nagle po latach szkolne miłości, teraz czyjeś dobre żony, złe matki, nudne kochanki; żadnego szybszego bicia serca, żadnej, najmniejszej nawet tęsknoty ni cienia zazdrości, śladowych pomysłów na odnowienie znajomości ani grama ciekawości. Zniesmaczony, choć zdesperowany, lizałem z uporem twarde, mdłe kulki, ale nie chciałem spekulować, dlaczego to wszystko się dzieje, bo w ogóle nie chciałem już nic robić. I nic nie robiłem, prócz uporczywego trwania, a więc kreślenia niepotrzebnych nikomu projektów, prowadzenia pustych i obłudnych rozmów, codziennych podróży z domu do biura i codziennych z pracy do domu powrotów.

Podczas tych częstych degustacji zdarzały się chwile, gdy dowiadywałem się, co to znaczy artystyczny eklektyzm, gdy po cienkim, chrupkim wafle ściekały, przeplatając się w kolorowym warkoczu, strużki rozpuszczających się lodów jagodowych i czekoladowych i dołączała do nich nagle strużka miętowa, aja szybkim ruchem języka zawracałem je na swoje miejsce, tamowałem wszelkie próby ucieczki z wafła inną drogą niż ta prowadząca wprost do moich ust. Tak oto łączył się banal lodów waniliowych i ekstrawagancja bakaliowych, tak spletały się w mleczno-owocowym tańcu truskawkowe z morelowymi, tak biły się pistacjowe z pomarańczowymi, tak godziły się kawowe z karmelowymi.

Teraz siedziałem w dusznej taksówce, zamknięty jak w ciasnej celi, i rozmyślałem

tylko o dużej porcji lodów, może z bitą śmietaną i kawałkami brzoskwiń, może ze sproszkowaną czekoladą albo raczej gęstą, karmelową polewą. Z przymusu jechałem na jakieś spotkanie, którego wcale nie pragnąłem, ale uniknąć nie potrafiłem. Zwarty korek już na kilka kilometrów przed mostem, gdzie zawsze wszystkie pojazdy skazane były na konieczny postój, sugerował, że nieuchronnie się spóźnię. Nie denerwowałem się już jednak, nieuchronność stała się dla mnie oczywistością, zniecierpliwienie właśnie przeszło w obojętność, nadpobudliwość ruchową zastąpił coraz lepiej mi znany stupor. Gdybym przynajmniej potrafił powiedzieć sobie: i tak nie dojadę, więc po co się denerwować, a potem wysiadł z taksówki, by ruszyć na poszukiwanie nieodkrytej jeszcze lodziarni, gdybym naprawdę umiał zapomnieć o wszystkich zawodowych zobowiązaniach, potrafił rzucić swoją pracę i zabić swoje dni... Nie potrafiłem. Nie pozostawało mi więc nic innego, jak tylko zostać w samochodzie i zobojętnieć. Siedziałem więc otępiały i spoglądałem apatycznie na licznik, który coraz brutalniej drenował mój portfel, bo czym wolniej jechaliśmy, tym szybciej przeskakiwały elektroniczne cyFry, pędząc ku jakiejś przeklętej liczbie, skrywającej imię apokaliptycznej bestii. Pozostawała mi tylko (och, nie nadzieja oczywiście, ta nadopiekuńcza matka nieudaczników) pewność, że coraz szybciej mijają upalne, duszne dni, i uFność, że słońce, schodzące coraz niżej i niżej, jednak nie zwali się z gorącym ciężarem swoich miliardów stopni wprost na korek, w którym tkwię, ale zniknie za horyzontem ziemi, minie tę zmęczoną planetę i runie w nieskończoną otchłań z niemym rykiem, bo tak właśnie odchodzą umierające słońca. Taksówka pachniała mdlącym odświeżaczem powietrza, co na dodatek powodowało u mnie złe samopoczucie żołądkowe: mdliło mnie jak po słodkim winie i czekoladkach z likierem, zbierało mi się wręcz na wymioty, choć nie wymiotowałem już od lat, czyli od czasu, kiedy przestałem nadużywać alkoholi, ajakość tych, po które jeszcze czasami sięgałem, wyraźnie się poprawiła. A że szczęśliwie omijały mnie zatrucia pokarmowe i złośliwe grypy jelitowe, zapomniałem już, co to znaczy klęczeć pokutnie przed muszlą klozetową, chlustać ciepłą obrzydliwością do postawionej przy łóżku mie zieleniec na twarzy i oblewać się zimnym potem. jednak toczyłem heroiczną walkę, by nie poddać się zbawiennym torsjom. J wtedy nagle usłyszałem, że znużony, niski kobiecy głos z korporacyjnej centrali podaje nazwisko Karoliny i adres, spod którego należy ją odebrać. Daleko za wciąż nieprzybliżającym się mostem, ale blisko miejsca, w którym miałem wsiąść, by spotkać się z kimś, kto właśnie pewnie w tym momencie spogląda po raz kolejny na zegarek, wypowiada jakieś ciche przekleństwo, macha ręką na znak rezygnacji, zamyka swoją teczkę, a w niej zupełnie mnie nieinteresujące papiery, pretekst naszego niedoszonego spotkania, i odchodzi zły, planując zemstę. Ustąpiły nagle mdłości, minęła obojętność, znikło

to, co było wokół, bo przed moimi oczami stanęła w całej swej doskonałości Karolina. Nie widziałem jej od lat. Od lat, które przemknęły tempie, w jakim powinna mknąć moja taksówka przez rozgrzane miasto; od lat, które zlały się w jedno, niczym niekończąca się, szara i cicha jesienna niedziela. Prawie o niej zapomniałem, chociaż przecież jej nazwisko czasami pojawiała się w rozmowach ze spotykanymi coraz rzadziej przyjaciółmi jako jeden z elementów konwersacyjnej układanki - zazwyczaj wtedy, kiedy wszyscy byli już trochę pijani i otwierały im się wcześniej na głucho zatrzaśnięte tajemne wrota, przez które od dawna nikt nie przechodził, bramy, o których przekroczeniu dawno przestali marzyć, nieustająco przeciskając się przez wąskie Furtki, w których już, wciąż tyjący, prawie się nie mieścili. Jej imię nagle występowało im jak piana na ustach, gdy pozwalali sobie na resztki małego szaleństwa, niskie i krótkie uniesienia, kiedy dawne wyobrażenia zderzały się z zapominaną już rzeczywistością. Lecz potem jej postać znikła, pękała pachnąca, kolorowa bańka, bo nikt nie potrafił nic o jej terażniejszości powiedzieć, wydobyć ukrytego w rękawie asa porażającej wiadomości, jokera konkretnego; były jedynie blotki niewyraźnych plotek, niezbyt odważne spekulacje o jej potencjalnych mężczyznach i konsekwencjach zapewne toksycznych związków. Karolina istniała tylko w mglistej przeszłości, podporządkowana tamtym czasom, więc po chwili rozmawiano już o innych kobietach, których terażniejszość była wyraźna, dotykalna i łatwo zamienialna w słowo, a przez to również podatna na rozdeptywanie - dokładnie tak samo jak niedopałek albo pusta szklanka po drinku, która nie wiadomo skąd potrafiła znaleźć się niespodziewanie pod stołem. Chodziło bowiem nie o tajemnicę, ale o trudność, jaką sprawiała jej nieobecność, podczas gdy nadobecność innych kobiet ułatwiała rozmowę. Karolina lata temu znikła nam z oczu, znikła więc i z pamięci, i teraz nagle się z niepamięci wynurzyła w całej przypominającej się nagle wspaniałości, w ten letni, niepotrzebny dzień; w tło czności, duszności i mdłościach, wynurzyła się oto na pohybel moich dni, na przekór moim projekcjom, druzgocząc mój straceńczy spokój. Stanęła mi nagle przed oczami w tkwiącej w korku taksówce, ujrzałem ją, jak spływa ku mnie z wysokiego nieba, wyraźna, lecz nieosiągalna, jak się materializuje we wstecznym lusterku samochodu, jak lewituje nad tragicznie wolno sunącą masą pojazdów, wreszcie ruszających w ślimaczym tempie. Zobaczyłem ją unoszącą się nad zakorkowanym miastem, nad autobusami i tramwajami, taksówkami i Furgonetkami, ponad złorzeczeniami kierowców, pośpiechem pieszych, nerwowymi gestykulacjami policjantów, ponad jękiem klaksonów i przejmującymi dźwiękami karetek pogotowia, ponad wszystkimi codziennymi nieszczęściami. Widziałem, jak swobodnie, bez najmniejszych przeszkód szybuje nad miastem w całej swej okazałości zapamiętanej sprzed lat, bo zaskoczony jej nagłą ingerencją w moje zrezygnowanie, nie

potrafiłem jej sobie wyobrazić dziś. Zdarzało się, że jej nietypowe nazwisko padało nagle w rozmowach z ludźmi dopiero co poznanymi, którzy, jak się okazywało, chodzili z nią do szkoły, choć każdy z nich do innej, pamiętali ją z podwórka, choć zawsze z innego (chuda, z wiecznie poobijanymi kolanami, ze śmiesznie dyndającymi warkoczykami), spędzili kiedyś wspólne wakacje nad jeziorem (apokaliptyczne zatrzęsienie komarów) albo przywoływali deszczowy pobyt górach (inicjacja seksualna?) bądź spotkali się w Londynie, gdzie usiłowali znaleźć sobie miejsce i zarobić pieniądze, apotem wracali bogatsi tylko o niepotrzebne doświadczenia. Była przyjaciółką czyjejs narzeczonej, siostrą czyjegoś kolegi, koleżanką czyjegoś brata, czyjąś pocieszycielką lub powierniczką największych sekretów: gęsta sieć jej rozlicznych koneksji krępowała mnie więzami zazdrości, rzucałem się histerycznie w tej pajęczynie i zaplątywałem coraz bardziej, tracąc siły i resztki godności. Bywało, że jej nazwisko padało z ust osób znanych mi od lat, których jednak o takie znajomości nigdy nie podejrzewałem, co może być dowodem najwyżej mojego braku wyobraźni. Upatrywałem w nich kłamców, pozerów, snobów, nie pasowali mi do roli przyjaciół czy znajomych, a może nawet byłych kochanków Karoliny. Tak wielu ludzi ją znało, ale nikt nie wiedział, gdzie ona jest, i jeśli gdzieś jest, to dlaczego tam, i jeśli jest z kimś, to czemu akurat z nim; z niepokojem konstatowałem, że nigdy tak *wielu* nie wiedziało o kimś tak niewiele. Z żalonych strzępków dawało się jednak uszyć jaskrawy patchwork: ostatnio widziano ją na lotnisku w Atenach, wracała właśnie opalona z Rodos albo Krety, robiła zakupy w sklepie wolnocłowym, dużą ilość drahm zamieniając na butelki ginu i ouzo, jeszcze papierosy, przypomniała sobie w ostatniej chwili, cały karton, powinno wystarczyć na kilka dni. Dużo paliła, ale nigdy nie było od niej czuć zapachu nikotyny, jej ubranie nie śmierdziało jak przepełniona popielniczka, jej włosy nie były przesiąknięte ohydny smędem, dym, który wchłaniała, musiał być też nieszkodliwy, bo wyglądała na nieśmiertelną, jej cera zawsze była świeża, jakby ze-skanowano ją z ekskluzywnego pisma poświęconego urodzie, choć ktoś złośliwie zapamiętał ją jako wyjątkowo pryszczatą nastolatkę. Paliła nie tylko tytoń, chyba trochę się bała o te parę gram haszyszu, przerzut z Turcji albo Libanu, ale przechodziła przez kontrolę celną tak samo pewnie jak przez uniwersytecki korytarz w latach, kiedy ją znałem. Kto by się zajmował taką małą ilością, kto by wątpił w jej uczciwość; wygląda jak anioł, powiedział któryś ze strażników granicznych (jak widać, nie stać go było na oryginalne porównanie). Nie wiem, kogo poznała na Krecie, nie wiem, skąd się tam wzięła - czyżby zwykle wakacje w modnym miejscu, standardowym tłumie turystów wywożonych tysiącami przez czarterowe samoloty na znane wyspy, spalone gwarantowanym przez biura podróży słońcem? Chyba nawet nie przepłynęła promem na inną wyspę, bo w trakcie takich

wycieczek trzeba wypoczywać szybko i na nic nie starcza czasu. Albo wręcz przeciwnie: kiedy szykowałam się do wejścia na pokład samolotu, który miał ją uwieźć z ciepłego kraju do kraju zimnego, gdzie koniecznością było posiadanie solidnych zapasów ginu i ouzo, by pomogły przetrwać pierwsze dni, pozostawiła już za sobą Malte, Sycylię i Capri, powolną wędrówkę po Peloponezie z obowiązkowym przystankiem w Koryncie - kanałem przepływał właśnie potężny statek, pomyślała, że gdyby się jeszcze nieco zapełnił, rozsądziłby brzegi i wydostał się z wąskiego wodnego przesmyku, apotem osiadł na piasku, stając się atrakcją bardziej tajemniczą niż rozliczne starożytne ruiny, których za-trzęsienie już ją znudziło. Przez chwilę coś jej mówiło, żeby wykupić małą kabinę, miała przecież jeszcze trochę pieniędzy, albo po prostu zamustrować się na statek, może właśnie raki, jaki W tej chwili przeciskał się przez wąskie gardło Przesmyku Korynckiego, i płynąć nim po prostu dniami, tygodniami, miesiącami. Czasami tak myślała, ale wybierała jednak zdecydowanie krótsze morskie podróże, nie mozolnie przeciskającymi się przez kanały kontenerowcami czy wielkimi okrętami przecinającymi bezbrzeżnie nudny Atlantyk, ale promami, sunącymi wolno na przykład z Gibraltaru do Ceuty. Stała na pokładzie i z uśmiechem, czy wręcz z entuzjastycznym śmiechem, klaskaniem i okrzykami dopingowała popisujące się przed nią delfiny, wyskakujące zgodnie z wody i wbijające się w morską otchłań jak na rozkaz, przeskakujące przez siebie, jakby zostały” wytresowane w oceanarium, a potem wypuszczone na wolność ku uciechu pasażerów promów. Albo podróżowała szybkim katamaranem z Ostendy do Doyer (kolejny sklep wolnocłowy: kosmetyki, papierosy, nie tuczące jej słodycze), bo ktoś ją przecież widział na Portobello Road, jak na jarmarku ze skupieniem oglądała zupełnie nieprzydatne rupiecie i zastanawiała się, czy nie kupić czegoś absurdalnego, potem piła piwo w pubie „Portobello Star” w towarzystwie jego stałych bywalców z niechęcią łypiących na turystów, często się tu zaplądających z głupimi uśmiechami i praktycznymi przewodnikami Pascala, nie wspominając oczywiście o obwieszonych aparatami Fotograficznymi Japończykach, skrupulatnie i bezkrytycznie zaliczających kolejne atrakcje w zgodzie z wytycznymi swoich bedekerów: po British Museum i Westminsterze przychodzi zawsze pora na piwo albo cydra w „Portobello Star”.

Lubiła pić piwo, to pamiętałem, piwo i miody, lecz nie widywałem jej nigdy pijanej, choć piła pewnie także wódkę, bo jaż nią kiedyś tę wódkę piłem. Dlaczego więc meraz wędrowałem w pijanym widzie, szukając jej we wszystkich miejscach, w których jej nie było, i spotykając ludzi, których spotkać nie chciałem? Dlaczego ona była trzeźwa nie ze mną, aja byłem pijany nie z nią? Czemu zasypiałem z nadzieją i budziłem się pełen rozpacz, czyjego podpuszczenia oddawałem się rojeniom i bezpodstawnym nadziejom i dlaczego ona nie

oddawała się mnie? Minął jednak czas upadków, zdążyłem obrosnąć w złudny spokój, utyc od przyzwyczajęń, przywykłem do dni znikających jak tonące kamienie, jeden po drugim, ich upiorne, regularne „plum” stało się w pewnym momencie już niesłyszalne, a kręgi na wodzie przestawały być dostrzegalne. Tak miało być już zawsze, tylko utrwalało się we mnie przecucie, że kamienie tonąc będą z niezmienną koniecznością i że inaczej być po prostu nie może. A jednak zaraz po tym, jak wąż pojazdów ruszył powoli i od razu prawie się zatrzymał, zakleszczony dusznej taksówce, usłyszałem jej nazwisko. Mało popularne w tym kraju popularnych rozrywek i popularnych powieści, powtórzone dla pewności dwa razy przez kobietę z korporacyjnej centrali, żeby kierowca przyp mujący zamówienie wyzbył się wątpliwości: osoba o takim nazwisku istniała rzeczywiście i właśnie czekała na taksówkę. Taksówkarz przyjął zamówienie, niewyraźnie wymrukując kilka niezrozumiałych słów do CB-Radia, a potem znów milczał nienawistnie. Nie wiem więc, czy podjął się zlecenia niepewnie (jakby nieśmiało wybierał najbardziej atrakcyjne kawałki mięsa z półmiska), zdecydowanie (jakby przechylał kieliszek z toastem), z rezygnacją (jakby zapalał kolejnego papierosa), a może z niechęcią (jakby już nic innego po jedzeniu, piciu i paleniu nie pozostawało). Chciałem się odezwać, nadmienić coś o Karolinie, że ją znam, lub raczej, że kiedyś ją znałem, minęło dużo czasu, choć zdarza się, że ludzie spotykają się po ćwierćwieczach, a my nie widzieliśmy się dopiero kilka lat, żeją pamiętam i że nigdy jej nie zapomnę. Łże to przecież ja mógłbym ją stamtąd odebrać i zawieźć, Boże, dokądkolwiek tylko by chciała, bo teraz, gdy już wiem, że ona jest tak blisko, właśnie zrozumiałem, że przez te lata tęskniłem za nią rozpaczliwie, a im mniej ją pamiętałem, tym bardziej nie mogłem jej zapomnieć. Ale spięty, przykuty do siedzenia, uporczywie wpatrujący się w szybę prawych tylnych drzwi, nie potrafiłem tego powiedzieć, bo przecież pamiętałem, że nie chcę rozmawiać z taksówkarzami, nie chcę słuchać o ich politycznych preferencjach, sportowych uniesieniach, filmowych wrażeniach, że zawsze ucinam ich próby nawiązania kontaktu, że i ten kierowca, gdy wsadałem do jego samochodu prawie pół godziny temu, usiłował wciągnąć mnie w konwersację, aja ściałem szybko jego pierwsze słowa, więc jakieś banalne zdanie wycofało się pokiereszowane. Jakże teraz mógłbym się odezwać, zagając pojednawczo, spekulować, czy przebije się w końcu przez ten korek i zdąży na wyznaczony czas, czy też się spóźni, a Karolina się zniechęci, bo pamiętam, że potrafiła być niecierpliwa, nie lubiła czekać i nikt się nie ośmielał stawiać jej przed taką koniecznością. Czy pan wie, że Karolina może zaraz odwołać kurs, chciałem powiedzieć, panjej nie zna, ale to byłoby do niej podobne, to byłaby cała ona, teraz pewnie opalona po tych śródziemnomorskich eskapadach, po wylegiwaniu się na skalistych plażach albo windsurfowaniu, po tych podróżach, z którymi

nijkak nie dalo się porównać moich przymusowych miejskich ekskursji, długich i głupich.

Milczałem więc, a taksówka, wyrwana wreszcie tajemniczą siłą z ulicznego zatoru, niczym korek z butelki, sprawnie prowadzona przez zaciekłe milczącego kierowcę, wiozła mnie na miejsce przeznaczenia i nie potrafiłem kazać zmienić trasy kursu, zrezygnować ze służbowego spotkania na rzecz innego, jakże bardziej ekscytującego, nie umiałem powiedzieć, że chcę wysiąść tam, gdzie ona już pewnie zniecierpliwiona czeka, wyjść i otworzyć jej drzwi, mówiąc: włala, proszę do środka, dokąd sobie pani życzy, a ona oczywiście zanosí się tym swoim lekkim śmiechem, dotyka delikatnie mojego ramienia, dziwi się nieco, skąd się tam wziąłem, choć nigdy nic jej nie dziwiło, i oto teraz ruszamy w kolejną podróż już razem. Moje dawne taksówkowe podróże, do odległych dzielnic, ku nieznanym nawet najstarszym kierowcom zapomnianym ulicom, ku ulicom dopiero co wytyczonym nowych osiedlach na skrajach miasta, podróże nieuczęszczanymi drogami, moje straszliwe koszty z tym związane, bo w liczniku doskonale łączyły się ze sobą czas i pieniądz, kola równo odmierzały liczone w banknotach minuty zdążające ku skończoności, a wymuszone przeze mnie milczenie kierowcy stawało się dziwnie symboliczne. Wciśnięty w kąt przy szybie na tylnym siedzeniu samochodu, z odrzuconą do tyłu głową, z jedną ręką wzdłuż oparcia, mknąc przez ulice wszystkich pór roku i patrząc martwo w witryny mijanych sklepów, czułem się, jakbym poszukiwał mizernych namiastek godzin i dni, które można spędzić w orient ekspresach i na pokładach transatlantyków, a moje myśli, wstawione ucieczkami z gwarnych rozmów, powracały do mnie we Fragmentach, nie potrafiąc się w pełni ujawnić, bo nie pozwalał im na to nagły koniec podróży, konieczność zapłacenia i opuszczenia samochodu. Płaciłem nie dostając w zamian nic - wspomnień niezwykłych widoków, pamięci czasu odmierzanego stukotem kół, nowych intrygujących znajomości, wiedzy o poznanych podróży miejscach. Po tych podróżach nie zostawał mi nawet bilet, który mógłbym po latach wyciągnąć na światło dzienne, by pochylając się przy świetle nocnej lampki nad dokładną mapą, przywołać wspomnienia niezwykłych krajobrazów, których nigdy nie ujrzałem, a które stają czasami przed moimi oczami zbyt wyraźnie.

Wreszcie dojechałem, teraz bez słowa wręczam nic niemówiącemu taksówkarzowi pieniądze, nie dając napiwku, w milczeniu czekam na resztę, nie wypowiadając pożegnania, otwieram drzwi i zamknąwszy je za sobą, cicho idę ku miejscu, gdzie już być może nikt na mnie nie czeka, bo spóźnienie przecież dawno temu minęło granicę przyzwoitości. Taksówka odjeżdża ze wściekłym piskiem opon, spieszy się do Karoliny, na pewno właśnie tracącej resztki swojej elegancko skrojonej cierpliwości i pragnącej odwołać zamówienie, choć być może wcale tak nie jest - nie widziałem jej od lat, nie wiem, jakie zmiany mogły w niej zajść,

może osiągnęła wschodni spokój, kto wie czy nie oddawała się w Indiach lub Tybecie kontemplacji, więc teraz stoi i wcale nie myśli o taksówce, ale patrzy na świat, którego dawno nie widziała, a który będzie istniał jeszcze przez jakiś czas, może nawet zawsze, a przynajmniej na tyle długo, by Karolina mogła zacząć nowe nieśmiertelne życie. Pali papierosa, uśmiecha się do swoich myśli, których nigdy nie poznałem, lub obejmuje mężczyznę, którego nigdy nie poznam. Za chwilę podjedzie taksówka i ona pocałuje go na pożegnanie, wsiądzie do samochodu, on zaś uda się w swoją podróż, do jakiegoś Pokoju na trzydziestym drugim piętrze biurowca w samym centrum miasta bądź wprost na lotnisko, gdzie już grzeje silniki samolot do Frankfurtu, skąd można wybierać w niezliczonej gamie połączeń do wszystkich wymarzonych miast umierającego świata.

Nie widzę jej naprawdę, powraca do mnie tylko jej wyimaginowany obraz. Tego wieczoru na gładkiej, białej i pustej ścianie pokoju wyświetlam slajdy, swoje zmęczone oczy traktując jako projektor. Oto Karolina nad Przesmykiem Korynckim, spoglądająca na wielkie, spalone ciało kontenerowca z bolesnym wysiłkiem przeciskającego się przez wąski pasek wody (okulary przeciwsłoneczne, jasna podkoszulka, szorty w kolorze khaki?); opalona Karolina na lotnisku w Atenach, taszcząca wielką podróżną torbę, mężczyźni wszystkich ras i wyznań prześcigają się, by jej pomóc, cóż jest w tym dwa razy większym od niej bagażu, czyżby to była walizka pełna wspomnień erotycznych przygód (jasne, obcisłe džinsy, koszulka w poziome paski, trampki, uśmiech i poza nastolatki?); Karolina ostrożnie przemierzająca któreś ze starożytnych gruzowisk (ekskluzywne sandały, mały plecak, w ręku obowiązkowa butelka wody mineralnej?); Karolina skryta przed upałem w klimatyzowanych pomieszczeniach jakiegoś muzeum (letnia sukienka w kwiatki, duża torba przewieszona przez ramię, nieodłączny przewodnik w prawej dłoni?). Albo Karolina na Krecie lub którejsz z niezliczonych wysp na Morzu Egejskim, na jakimś Kos, Rodos, Praxos, Naxos, Sexus, Plexus albo Nexus. Karolina, na pozór znudzona, naprawdę wyzwolona z ziemskich myśli, siedzi na plaży, a spoza wielkiej skały powoli wyłania się duża łódź z czerwonym żaglem i bez sternika, dokładnie taka jak ta, którą widziała na jakimś filmie według scenariusza Alaina Robbe-Grilleta: łódź widmo.

Wydawałem z lodówki fetę i duże, tłuste kalamaty, jadłem i piłem coś, co się zazwyczaj w takich sytuacjach pije, a w każdym razie wymaga tego szablon, który się do tej sceny zgrabnie przykłada. Gm z tonikiem bądź wódkę z colą, bo akurat nie miałem w domu ouzo, którego nie lubiłem, ani wina, którego zapomniałem kupić. Być może powinienem raczej sączyć gorzką, smakującą żywicą retsinę, gdy wpatrywałem się w kolejny slajd z uśmiechniętą, unieruchomioną w pełnym słońcu na Rodos bądź Krecie Karoliną, ale byłem

od greckich wysp bardzo daleko, a wieczór był północnoeuropejski, ciemniejszy i chłodniejszy, a że lato już mijało, to wraz z nim mijała moja namiętność do lodów, coraz chętniej zastępowanych kostkowanym lodem do drinków, tak mile grzechoczącym w szklance; oto kończył się koszmar ostatniego lata i zaczynał koszmar następnej jesieni.

Drinki smakują tak dobrze, bo prócz wrażeń smakowych przynoszą wrażenia słuchowe - lód obija się o szkło i cicho pęka pod wpływem cieplejszego alkoholu, tonik syczy, przenikając miąższ cytryny, wystarczy przyłożyć ucho do szklanki, żeby usłyszeć, jak mija czas. Karolina słyszała raczej, jak drży rozgrzane powietrze, jak dyszy przygniecione upałem miasto, słyszała swój cięższy oddech i szybszy rytm serca, gdy wspinała się na jakieś słynne wzniesienie, polecane przez przewodnik. A choć pot lał się z niej coraz liczniejszymi strużkami, niestrudzenie wchodziła coraz wyżej, a czym wyżej się znajdowała i im bardziej się pociła, tym mniej umiała ją sobie wyobrazić spoconą, bo przecież była zbyt doskonała, żeby w ogóle mogła się pocić.

Potem pojechała na Peloponez, aby odetchnąć w świeżości pomarańczowych gajów, z dala od terroru zabytków i dywizji turystów, by poczuć tę słynną wolność świadomie wybranej samotności, znaleźć się wreszcie na całkiem pustej plaży w pełni dnia, bo gdy przychodziła noc, samotność zaczynała ją dręczyć w małym namiocie, jeżeli miała ze sobą namiot, być może jednak nocowała w jakichś niewielkich hotelach, do których trafiała, kierując się instynktem bądź nieodłącznym przewodnikiem z serii „Świat za pięć dolarów”, mimo że musiała mieć ze sobą więcej pieniędzy, zważywszy choćby na duże zakupy dokonane na ateńskim lotnisku. Och nie, przecież Peloponez nie jest tym miejscem, gdzie można znaleźć prawdziwą samotność, mówiła do siebie na każdym kroku, spotykając innych turystów, kupując wielkie arbuzy i ciężkie winogrona, niezobowiązująco wymieniając krótkie zdania, śmiejąc się zawsze w niewymuszony sposób. Dlaczego nie mogę być teraz tam, gdzie naprawdę nikogo nie ma, a więc i mnie także brakuje? - myślała, odpowiadając uprzejmie na częste pozdrowienia. Ile czasu spędziła na Peloponezie? Włóczyła się, nie myśląc o dacie opuszczenia półwyspu, czy raczej (a zapewne zniewoleni kalendarzem bierzemy pod uwagę drugą możliwość) umiała sobie tylko na różne sposoby czas, który został jej do wylotu? Niecierpliwiła się już, nie mogła się doczekać końca pobytu czy też chciała tam jeszcze zostać nawet przez kilka miesięcy, żywiąc się tylko owocami - zastanawiałem się, wypluwając pestkę z tłustej kalamaty i sięgając po szklankę. Potem opalona i obkupiona alkoholami z lotniskowego sklepu, wsiadła do samolotu i jak gdyby nigdy nic wróciła do kraju, kiedy ja objadałem się lodami, nie podejrzewając ani przez chwilę, że nagle zmaterializuje mi się w zaklinowanej w korku taksówce w środku miasta, które właśnie znienawidziłem do końca.

Wiem oczywiście, że tak jest nad wyraz częstą nazbyt to proste, do znudzenia ograne, znane na pamięć, powracające stylistycznym *déjà écrit* i czytelniczym *déjà vu*. Zniechęca już na samym początku, by rozdrażnienie sięgnęło w końcu gwałtownej eksplozji, grzebiąc z kretesem wysiłki kogoś, kto grzęźnie coraz bardziej w nadmiarze słów, zbędnych jak moje życie, wytartych jak moje ubrania, banalnych jak moje dni. Jakże często i chętnie literacko wykształcony i zapobiegliwy narrator wygrzebuje z pleśniejącego kufierka na zakurzonego strychu pogiętą sepiową fotografię i rozpoczyna się kolejna niepotrzebna historia, rozkręca się narracyjna spirala, z potężnym rykiem spada wodospad banalnych słów, deszcz zdań leci z nieba jak kamienie, kręgi na wodzie nachodzą na siebie, tafia nie nadąża się wygładzać, nie ma to żadnego końca, nie widać żadnego horyzontu, zniechęcenie wygrywa z ciekawością, męcząca nuda z entuzjazmem, banał z oryginalnością. Coraz wolniej przewracają się kartki, coraz bezlitośniej składnia obnaża leksykalne mankamenty, coraz trudniej przebić się przez gęste akapity, coraz bardziej nieśmiałe są porównania, coraz mniej celne okazują się metafory, coraz pokrętniejsza staje się fabuła, coraz bledsze wychodzą obrazy, coraz bardziej płowieją epickie fasony. Wszystkie rozpaczliwe strzały mijają z daleka tarczę, przypelza nieuchronna literacka klęska, a wraz z nią hańba i zapoznanie. Narrator płąsa w narcystycznej erudycji, wątki przepadają jak dni i tygodnie, mija nieuchronnie czas powieściowy, mija wraz z nim czas rzeczywisty, coraz szybciej zbliża się wieczność czyli nicność.

Dlaczego więc podążam tą wydeptaną ścieżką, pcham się uparcie w największy tłok, jak pies przerażony odgłosami burzy wciskam się tam, gdzie nie ma dla mnie miejsca, czemu szukam guza w niebezpiecznych dzielnicach, zamiast spokojnie i cało wrócić do domu? Co mnie kusi, by wysiąść z taksówki i wierzyć w kolejną literacką szansę, zamiast jechać szukać Karoliny, tak by nie dać literaturze żadnych szans, by szybko uciąć łeb hydrze, nim się zamieni w siedmiogłowego smoka? Czemu boleśnie obolały niemożnością język decyduję się znowu przytknąć do zamrożonej klamki nieotwierającej żadnych drzwi? Co mnie ciągnie na ten zatęchły, brudny strych, pełen puszek Pandory, literackich nieużytków, zastygłych wspomnień, zakurzonych historii i pomysłów po stokroć słusznie zapomnianych? Przyjdzie zapłacić mi za to zbyt wygórowaną cenę, nie ujdzie mi to na sucho, nie wygrzebię się z długów, do końca życia nie spłacę gigantycznych odsetek od czytelniczego kredytu zaufania. Kto wie, jak to wszystko się skończy, nikt też nie wie, po co się zaczęło. Na razie toczy się coraz szybciej, śniegowa kula narracji przybiera na wadze i rozpędza się, ciągnie za sobą lawinę słów, nic jej już nie umie powstrzymać. Wysiadłem z taksówki, a wciąż nią jadę, samochód przyspiesza, kierowca milczy, lecz na jego zaciśniętych ustach błąka się podły uśmiech, a oczy zwężają się złowieszczo, drzwi są zatrzaśnięte, szyby opancerzone, korek

zniknął bez śladu, wokół ani jednego samochodu, upalny dzień ustąpił upiornej nocy i teraz pędzimy, łamiąc wszystkie zakazy, nie ma żadnych znaków, nikt nam nie zajędzie drogi, żadna policja nas nie dogoni, nie dopadną mnie też nawet najszybsze wspomnienia. Karolina unosi się nad domami gdzieś po drugiej stronie rzeki, gdzieś po drugiej stronie życia, pędzę do niej, lecz się nie zbliżam, stoję w miejscu i jestem coraz dalej, rozstajemy się na następne stulecia, jakbyśmy się mieli znowu spotkać dopiero, gdy pętla czasu zaciśnie się nieuchronnie na szyi przeznaczenia.

A kiedy naprawdę widziałem Karolinę po raz ostatni? Nie na lotnisku pełnym podenerwowanych podróżnych, nie w śmiertelnym upale Grecji, w zatłoczonej turystami Florencji, nie w żadnym z tych opisanych już przez literaturę i eseistykę miejsc, w których nie mogę na nią dzisiaj natrafić. Nie widziałem jej na żadnym wąskich i skalistych wybrzeży ani na piaszczystych, szerokich, wyludnionych plażach, po których samotnie **t** filmowo się przechadzałem, a chłodny Atlantyk pachniał rybią śmiercią. Nie wchodziłem wraz z nią na wzgórze Akropolu ani edynburskiego Holyrood, żeby popatrzeć na panoramę miasta, ani też na wzgórze drugiej dzielnicy, które zdobywała bez najmniejszego wysiłku, spokojnie korzystając z autobusów linii **11** albo **91**. W ciepłe lipcowe niedziele nie ruszaliśmy razem na cmentarne wzgórze, z których widać było unieruchomione miasto i jego hutnicze przedłużenia. Nie wjeżdżałem też z nią kolejką krzeselkową na Capri, podziwiając rozlewający się wokół pocztówkowy turkus morza. Właściwie mógłbym teraz wziąć do ręki mapę aż do żołądkowego znużenia wymieniać wzniesienia, na które się razem nie wdrapywaliśmy, i stoki, z których wspólnie nie zjeżdżaliśmy na nartach; gładkie i spokojne jeziora, po których nie pływaliśmy chybotliwymi kajakami, przeciekającymi żaglówkami ani starymi statkami spacerowymi; wreszcie cieśniny, morza i oceany, niepokonywane przez nas wspólnie promami lub liniowcami albo nieoglądane głowa przy głowie przez małe samolotowe okienko z wysokości dziesięciu tysięcy metrów - tak blisko siebie jak nigdy wcześniej, tak blisko tego, czego nie ma. Widziałem ją po raz ostatni w środku oślepiąco śnieżnej zimy, w której zapadałem się po kolana, przez którą brnąłem z marznącymi dłońmi i stopami. Było to zapewne podczas którejś z tych zim stulecia, przetaczających się dawnymi czasami nad Europą Środkową, gdy surowe rządy owocowały aluzyjnym mrozem, a skute lodem media skrupulatnie aktualizowały liczbę ofiar po to, by opozycyjni politycy mogli gromadzić punkty, oskarżając władze o brak wrażliwości społecznej. Masowo psujące się autobusy nie chciały przewozić sztywnych z zimna pasażerów, samochody ślizgały się jak dzieci, a dzieci nie wypuszczano z domów nawet do szkoły, zamarzały wtedy nie tylko rzeki i rury kanalizacyjne w lodowatych mieszkaniach, lecz i myśli, osiagające apogeum skostnienia

w przejmujących komunikatach wysyłanych triumfalnie przez radio i telewizję. Ujemne temperatury pokonywały kolejne rekordy, których pobicia nikt sobie wcześniej nie potrafił wyobrazić, odkrywano z zapalem nowe bieguny zimna, kończyła się skala na termometrach wytrzymałości, mróz zbierał gęste żniwo, ajego spóźnioną, cichą ofiarą stanę się i ja, gdy pewnego dnia po latach, w jednej z wielu chwil wstydlivej nostalgicznej słabości, napiszę: „To były dawne, choć przecież wciąż, może nawet coraz wyraźniej, pamiętne czasy, kiedy zdarzały się prawdziwe zimy z głębokim śniegiem iskrzącym się pod butami w gwiazdne noce, ze śnieżnymi czapami, pod których ciężarem chwiały się słabnące gałęzie świerków. zaklTo były czasy przed wielkim ociepleniem, zanim jeszcze nieodwołalny werdykt meteorologów nie pozmięniał losów świata. To były czasy, gdy razem z wodą w rurach, piwem w butelkach, krwią w żyłach, pamięcią w głowie na wieki zamarała nasza przyszłość i wydawało się, że nie czekają już na nas żadne niespodzianki: rowerowe wycieczki nad zapuszczony, zatęchły staw ani gremialne ucieczki lekcji fizyki; będziemy za to wiecznie pić rozgrzewającą herbatę z sokiem malinowym i czytać nieodmiennie te same powieści, jedyne antidotum na męczące grypy istnienia. Kto by pomyślał, że będzie mi jeszcze brakować przejmującej zimy z jej zatrważającą monotonią; czy mogę powiedzieć, że tęsknię do niegdysiejszych śniegów i nie zawrzcę w tym żadnej metaFory?

To właśnie wtedy, w tamte mroźne dni, widziałem Karolinę po raz ostatni. W ową literacką zimę, wartą dziewiętnastowiecznych epickich Fraz, przecinała pewnym krokiem uniwersytecki dziedziniec, skryta w płaszczach, szalach, czapkach, rękawiczkach, zaróżowiona na twarzy od mrozu, z kryształkami śniegu na rzęsach, z odłamkami szkła w oczach. Albo też siedziała w zatłoczonej studenckiej kawiarni, pijąc lurowatą kawę lub słabą herbatę z bladym plasterkiem cytryny, schylona nad porysowanym stołem, za wszelką cenę próbująca zatrzymać ciepło ulatujące z niej bezpowrotnie, niczym szkolna wiedza. Z determinacją obejmując oburącz kubek z wrzątkiem, bezradnie przeglądała nudne pismo literackie lub usiłowała czytać modną, ale niewiele obiecującą powieść, przesyconą wonią zatęchłego antykwariatu (zawsze będę pamiętał te książkowe zapachy, powracając do nich, by dręczyć wrażliwych czytelników) i przyobleczoną w szorstki, gruby papier z wytatuowanym na grzbiecie numerem katalogowym, czyniącym szczytowe osiągnięcia myśli ludzkiej więziami bibliotecznych baraków, skazanymi na powolną, ale nieuchronną zagładę, której nie były władne przeciwstawić się klej, nici intrologatora ani nawet literacka wola życia, bo - wierzyłem w to, mknąc w tunel pretensjonalności - książki chcą żyć jak zwierzęta.

Karolina w cumulusach papierosowego dymu, z kubkiem w ręku i pośród herbacianej pary lewituje nad stołami i znika z moich oczu. Na blacie zostaje porzucona książka z

niewidocznym tytułem, coraz bardziej pogrążająca się w kamuflażu nikotynowych oparów, by w końcu podążyć za Karoliną jak wierny zabiedzony pies. Karolina ulotniła się, nie zostawiając żadnej wskazówki na przyszłość, znikła jakby umarła, ale nikt nie wie, gdzie jest jej grób, nie ma żadnego kierunkowskazu, gdzie można odnaleźć jej ciało, a ja nieświadom tego, że szukam, rozpaczliwie podążam jej tropem, grzęznąc w bezkształtnych domysłach autora dziwnej powieści, która razem ze swoją czytelniczką znikła w dymie i herbacianej parze w środku którejś z historycznych zim ubiegłego stulecia.

A może była to nie zabójczo mroźna zima, lecz chorobotwórcze, błotniste przedwiośnie, jakim kończyły się zwykle wszystkie zimy stulecia, mroźne, wzniosłe i groźne jak środkowoeuropejskie powstania, pogrążone w zapowiadającym ostateczną klęskę dramatycznym katarze, w wysokiej gorączce owocującej długotrwałym osłabieniem ducha. Może widziałem ją wtedy, dni klęski, kiedy drogi zapełniają się uchodźcami, wszędzie wkrada się chaos i panika, strach i szaleństwo dzielą między siebie władzę, a piękno ukazuje swoją turpistyczną twarz? Może wtedy „zniknęła jak kamfora”, rozpluwając się w nieprzezroczystym powietrzu, a ja nie potrafiłem jej zatrzymać, bo przecież nie wiedziałem, że chcę, by została. Karolina jednym ruchem porzuciła przybrudzoną, zabłoconą, zakatarzoną Europę Środkową i udała się do ciepłych rajów, do których nie miałem wstępu, pozostając na stulecia w chłodnym, grypogennym czyścucu nieprawdziwego świata.

A może była to nie zima stulecia, upamiętniona rekordową liczbą zmarłych, lecz któraś z zim szczęśliwych, jedna z tych zim, kiedy narciarze na tle czystego nieba mkną z trzytyśięczników w pełnym słońcu, które bez ostrzeżenia spała skórę twarzy; gdy naostrzone krawędzie nart zaciekle i radośnie tną ubity twardo śnieg, a wagoniki kolejek i wyciągi krzeselkowe nieustannie wywożą nas na osiąganą od niechcenia szczyty, z których suniemy wdół, jakby wcale nie ku zagładzie i jakby nie ku przyszłości. Nie widziałem jej jednak w Trzech Dolinach ani w Dolomitach, nie było jej także pod Matterhornem i pod Mont Blanc, nie mknęła alpejskimi trasami, nie skręcała gwałtownie, by wytracić prędkość na wąskich odcinkach, nie uczyła się pod czujnym okiem przystojnego, opalonego instruktora w lustrzanych okularach przeciwsłonecznych, nie usiłowała niezgrabnie prowadzić nart i hamować panicznym pługiem na żadnej z oślich łączek. Nie wjeżdżałem więc wraz z nią kolejką gondolową na Cima Bianca ani Grand Motte, nie wystawialiśmy wspólnie twarzy ku słońcu, rozsiadając się na wyciągach krzeselkowych, nie pomagałem jej zapiąć butów narciarskich, a ona nie rozsmarowywała na moich policzkach tłustego kremu z wysokim filtrem. Nie spotkałem jej też w żadnym ze sklepów wolnołowych w Liyignio ani w Znojmo, gdzie zazwyczaj zmęczeni kierowcy regenerują siły widokiem zabawnie niskich cen

whisky i wódki. Czy zatem udałoby mi się ją zobaczyć na którymś z tłocznych lotnisk, skoro przecież nigdzie jej wtedy jeszcze nie było?

A może widziałem ją po raz ostatni wcale nie zimową porą ani nie podczas wysokogórzkowego, antybiotycznego przedwiośnia; może przecięła swoim pewnym krokiem mój niepewny trawers latem albo wczesną jesienią? Wielkoświatowa i elegancka, na tłumnym przyjęciu, wystawnym raucie, na którym znalazłem się przypadkiem, niczym kelner roznoszący napitki i zakąski, uśmiechnęła się do mnie, by zaraz potem odpłynąć (przecież tak piszą w powieściach) z jakimś mężczyzną w kierunku szparagów i homarów. Być może zatem (wszystko jest być może, przekleństwo tego zwrotu zaprowadzi mnie kiedyś na szubienicę) nigdy nie widziałem jej po raz ostatni, tak jak z pewnością widziałem ją po raz pierwszy tamtego fatalnego, rozslonecznionego dnia, kiedy w granatowej sukience i białej bluzce, prawie jak uczennica przyklasztornej szkoły, śmiało wkroczyła w chłód uniwersyteckiego budynku i nie pozwoliła mi zmrużyć oka, choć umiem przecież zasypiać na rozkaz i na komendę się budzić.

Tak samo bezsennie noce spędza Karolina, sprowadzając na siebie nocne upiory, gdy księżyc jest w pełni. A kiedy Karolina nie może spać, jej myśli galopują spienione, niepewność chwili nie daje spokoju, a chwila wydłuża się w nieskończoność, odsuwając w niebyt niezbyt pewną siebie przyszłość. Jasność wpływa przez otwarte na oścież w upalną noc okno i nad pachnącą pościelą rozkręca się niemy karnawał, kultura walczy z naturą, której na pomoc bieżą wierne służki: niepewność, wstyd, niepokój. Karolina leży wpatrując się w suFit, a ten na przemian odpływa ku niebu i po tym niebie szybuje jak wielki żagiel latającego statku, za chwilę jednak spada wprost na przerażoną twarz Karoliny. Karolina zastanawia się, jak by wyglądała martwa, leżąca na swoim łóżku niczym na katafalku, śmiertelnie blada, oświetlona przez blask księżyca, w trumiennej sukni, obsypana kwiatami. Pięknie? Szlachetnie? Przeróżająco? Pociągająco? Czyjej trupia piękność mogłaby być na swój sposób kusząca? Czyż spokojny wyraz jej pięknej twarzy można by uznać za obietnicę? A co by było, gdyby nie pozwolono jej zostać martwej na tym katafalku, jak piszą w łózkowych powieściach „skąpanej w księżycowej poświacie, i nie odebrano powszechnego przywileju rozkładu, lecz jej głowę obcięto dla niepoznaki, a szczupły korpus wrzucono do mętnej rzeki, albo gdyby wypchnięto ją z pędzącego samochodu, wy-rzucono z galopującego pociągu, wleczono jej ciało po leśnym poszyciu, mchach, porostach, liściach, grzybach lub gałęziach szarpiących skórę, wkręcających się we włosy; albo gdyby ją związano boleśnie, zaklejono usta, a potem duszono, pozwalając na rozpaczliwe wybałuszenie oczu? Czy można sobie wyobrazić, jak zakamarki jej doskonałego ciała stają się pożywką dla wygłodniałej fauny i jak

zwycięski robak zatyka swój sztandar na jej (alabastrowym) ciele, ruszając ku dużym (zielonym) oczom, wydatnym (malinowym) ustom, ku jej (smukłym) rękom, ku (długim) palcom stworzonym, by rozczulająco interpretować Chopina i Liszta, ku jej niewielkim, twardym (jak niedojrzałe brzoskwinie) piersiom? Spocona, wyczerpana Karolina zasypia nad ranem, z ulgą wpada w niebyt biorącego ją w swoje ramiona snu, który się nie śni. Kiedy pełnia księżycy ustępuje pełni słońca, Karolina budzi się zaskakująco żywa i zaczyna rozmyślać o życiu, widzi siebie, jak idzie przez pachnący las, pełen przebijającego się przez gałęzie słońca, zbiera polne kwiaty i plecie z nich wianki, wyszukuje prawdziwki pośród mnogości gąsek i olszówek, zbiera kanie, nie myląc ich ze sromotnikami, obrywa i połyka atramentowe jagody, chropowate jeżyny, obserwuje kołującego nad łąką bociana zamiast stada wron krążących filmowo za jej oknem. Wyobraża sobie, leżąc, jak też by wyglądała pływająca nago w szerokiej, spokojnej rzece, tej „leniwie toczącej swoje wodz”, w ciepłym oranżu popołudniowego słońca, a potem patrzy na siebie jadącą samotnie kabrioletem szeroką, pustą drogą południowym upale pełnego lata pięknej samotności albo roztacza wizje nowego lata miłości, uśmiechając się do własnych myśli i pędząc tym samym kabrioletem w okularach przeciwsłonecznych Ray Ban albo Armani do swojego nowego mężczyzny, którego będzie kochać przez najbliższy rok; a może myśli o sobie siedzącej przytulnej, ogrzanej płomieniami świec piwnicy starej winiarni, gdy zimą, trzeszczącą iskrzącym się pod stopami śniegiem, pije grzane wino z korzeniami i właśnie zdejmuje z szyi długi szal, bo trunek ją rozgrzał. I nie wiadomo, co jest potem, gdzie jest Karolina, kiedy już wstanie z łóżka, strząśnie z siebie wyobrażenia, zaparzy kawę i usiądzie z nią w szlafroku, spoglądając na ścianę (szybę zamaskuje żaluzjami, bo prawdziwe, a nie wyobrazone słońce jest nie do zniesienia), potem weźmie prysznic, szum wody zagłusza radiowe wiadomości, pełne psychopatów uciekających ze szpitali i więzień, maniakalnych morderców, dla których właśnie zaczął się kolejny dzień szaleństwa, międzynarodowych terrorystów za sterami porwanych samolotów, wybuchów w fabrykach chemicznych. Karolina ubiera się i wychodzi, a potem następuje niespodziewana przerwa w projekcji; Karolina istnieje, a jakby nie istniała, jest wszędzie, ale nigdzie jej nie ma: w kabrioletach pędzących autostradami w ślad za słońcem, na rozgrzanych do nieprzytomności plażach, w wodach mórz w leniwych rzekach. Karolina jest tam, gdzie nie dociera wyobrażenia pisarzy: jednocześnie w bibliotekach i hipermarketach, w księgarniach i na bazarach długo wybiera nowe powieści i świeże warzywa, oglądając je uważnie ze wszystkich stron. Potem wraca do domu i robi sobie sałatkę z tuńczyka, wyciąga się wygodnie na kanapie i zaczyna czytać, a przez kartki nabytej tego dnia powieści jadę ja: w zatęchłej taksówce, w dusznym tłoku miasta, w bolesnym ścisku

wspomnień. Taksówka przeciska się przez gęstwinę słów, korki akapitów, skrzyżowania rozdziałów. Karolina czyta, lecz lekturą nudzi, chce jeść, lecz nie czuje głodu, chce kochać, lecz nie potrafi okazać uczuć, nie chce żyć, lecz nie umie umrzeć, chce spać, lecz sen jej nie chce żadną miarą.

Następnej nocy Karolina budzi się, gdy rozpętuje się wściekła burza i co jakiś czas gwałtowna niebiańskość przy wtórze wojennych grzmotów wypełnia jej pokój. Deszcz opętańczo bije w parapet i szybę, wiatr potępieńczo wyje, powietrzem wstrząsa atak epilepsji. W środku jasnej od błyskawic nocy, w chwili gdy Karolina się budzi, umiera jeden z najślynniejszych w kraju poetów (dokładną godzinę znamy dzięki sumienności agencji prasowych). Gdyby Karolina była jedyną osobą, która gwałtownie, z przerażającym biciem serca zerwała się na swoim łóżku w momencie historycznej śmierci, moglibyśmy mówić o zbyt natrętnej symbolice tej sceny. Karolina na studiach pisała przecież wiersze, podobnie zresztą jak i znakomita większość innych studentek, porzucających później tę młodzieńczą ekstrawagancję (czy też naturalny etap rozwoju emocjonalnego), by w dorosłe życie, w którym miejsce sonetów zajmowali mężowie i dzieci, wejść bez lirycznych obciążeń. Jednak śmierć słynnego poety budzi wiele innych osób znanych Karolinie i tych, których przeznaczenie bądź przypadek nigdy nie pchnęły na lśniące tory jej życia; wszyscy gwałtownie wstają z łóżek jak zmarli z grobów w dniu sądu - idą do łazienki oddać moc, podążają do kuchni, by napić się wody, zapalają papierosy, spoglądają przez okno, za którego taflami czysty, gwałtowny błękit przełamuje doskonałą czerń, gromy dławią ciszę, a deszcz przecina powietrze. W tym kraju poeci przestali wreszcie umierać młodo, co było kiedyś ich obowiązkiem, ostatnio dożywają pięknego wieku, są surowi i groźni, marszczą brwi, grożą palcem jak nauczyciele starej daty, nie szkodzą im już ani wódka, ani historia, więc świat zapamiętuje ich opartych na lasce, nie na karabinie. Przychodzi jednaki na nich czas, odchodzą więc zgorzkniali z tego świata, żegnani przez dopiero co rozbudzone tłumy. Karolina, odczuwająca ponętą bliskość tej okazjonalnej wspólnoty, stoi przy oknie, patrząc czarną noc z błękitnymi aplikacjami, i rozpaczliwie szuka sposobu, by poznać drugą stronę życia, bo pierwsza już ją znudziła i zirytowała jak jakaś zła powieść. *Idzie* do kuchni w towarzystwie burzliwej nocy i ciemności, po omacku robi kawę, żeby zetrzeć z siebie zmęczenie, zapala papierosa i niespokojny czerwony ognik zaczyna nieśmiało błądzić po pokoju. A choć Karolina nie chce włączyć do gry światła, widzę ją nagle w całej tej porażającej swoją niewymowną pięknnością scenie - na tle okna, za którym wygasza się burza, rozpoznaję kontury i kształty tonącego w mroku mieszkania, słyszę krople deszczu coraz wolniej spływające po szybie, czuję aromat świeżo zaparzonej kawy, a od nikotynowego

dymu zaczynają bezradnie łzawić mi oczy. Karolina zaś siedzi, pije kawę, pali kolejnego papierosa, lecz nie przychodzi jej do głowy żadna myśl, żadna metafora nie układa się w wiersz, mimo iż kiedyś potrafiła aż do absurdu piętrzyć słowne znaczenia. Wiersze przestała układać dawno temu, nie musi też nikogo układać teraz do snu ani tym bardziej uspokajać płaczącego dziecka, głaskać przestraszonego psa czy tulić kochanka, którego ataki lęku co noc stawiają na nogi - obudziła się sama i sama będzie zasypiać, gdy nadejdzie świt. Karolina nie ma nikogo w pobliżu, nie włącza nawet radia, żeby posłuchać nadawanego o tej porze swingu. Nie wracają do niej żadne wspomnienia, choć wydawałoby się, że to najlepsze miejsce i czas na takie nagle, niezapowiedziane powroty. Niedługo skończy pić kawę, wy-pali papierosa i wróci do łóżka, by tam czekać na przychylność kojącego dnia, lecz zmęczona czuwaniem, zaśnie tuż przed świtem, gdy wszystko nagle się uspokoi, a żywi i zmarli zostaną tam, gdzie jest ich miejsce.

Nie każdej nocy mogła tak spokojnie palić papierosa, spoglądając w napowietrzny taniec żywiołów. Czasami wiatr ciągnący gdzieś z gór siał prawdziwe szaleństwo i rzucał się na miasto Karoliny, na jej dom, na jej okna, chcąc wyrwać je z zawiasów i dopaść ją samą, bo była słodkim marzeniem morderców. Pragnął unieść ją z łóżka, porwać wysoko w przestworza, nieść baśniowo nad miastem, nad polami, lasami, jeziorami, a potem zrzucić gdzieś z ogromnej wysokości, może w górską niedostępność albo w sam środek wodnych głębokości, tak by zginęła bez najmniejszego śladu, bo ślady zawsze mieszają myśli. Bywało też, że rozpasany żywioł przygwaźdżał ją do łóżka, nie dawał jej wstać, nie pozwalał się strząsnąć, trzymał ją i dusił ze złością i bez litości. Traciła oddech, gdy nagle uderzenia wiatru rozbijały się na szybie, tylko resztką sił stawiającej opór, dusiła się, tak jakby gwałtowny podmuch powietrza wcisnął się do jej ust, zagipsował je, zalał płynnym obwieiem, zatkał pomiętym papierem. W takie noce wielu ludzi wkładało głowy w pętle i kopało krzesła, na których jeszcze chwilę wcześniej stało całe ich beznadziejne życie, w tym czasie przerażone psy wciskały się w najmniejsze dziury i szczeliny w domu, wchodziły do wanny, pod stół, jęczały i piszczaly, czując, że wraz z wiatrem za oknem hula śmiertelne szaleństwo. Karolina łudziła się, że wiatr za chwilę ucichnie i wszystko się skończy. Tymczasem wietrzne podmuchy ustawały tylko pozornie, zaczajały się, by uderzyć z podwójną nienawiścią i pozbawić nadziei tych, którzy przy kolejnych uderzeniach poddawali się, skręcając sznury na swoje szyje. Dopiero nad ranem wiatr słabł jak wyczerpany wściekłą namiętnością kochanek (skąd się biorą te literackie okropieństwa? - pytała potem sama siebie) i Karolina zmęczona zasypiała. A gdy rzeński świt, zaglądając przez okna pokojów i kuchni, napotykał dyndające żałośnie postacie samobójców, było już cicho i spokojnie, zanosilo się na kolejny ładny dzień.

W te noce wietrznego opętania nie przychodziły do niej żadne pomysły na wiersze, nie układały się misterne frazy i nie odnajdywały się zagubione słowa, łączące się w metafory i obrazowe porównania. Szaleńczy wiatr z gór rozbijał układy słów, nie dawał szansy na pozбиieranie rozsypanych sylab, które tak zgrabnie się do siebie tuliły w czyste, spokojne noce, gdy powietrze nie było boleśnie przebijane dalekimi igłami piorunów. Budziła się przed południem, wyczerpana, z bolącą głową i szczypiącymi oczami, lecz także z banalną, poranną świadomością, że żyje, i z trzeźwiącą ulgą, że powietrze jest już spokojne, wiatr ustał bądź pomknął realizować swoje szaleństwa gdzieś dalej. Panował spokój bezruch jak po walnej bitwie, poległych odcinano od sznurów i odwożono do kostnic. Wychodziła po zakupy; te mniejsze załatwiała w pobliskim sklepie, małym rodzinnym interesie, który wciąż opierał się dominacji hipermarketów, oferując pozorne bogactwo towarów spiętrzonych na malej powierzchni i rodzicielską opiekuńczość sprzedawców, zachwalających smak i świeżość, walory zapachowe i przystępną cenę oraz zdrowotne i dietetyczne zalety produktów, dzięki którym - jak mówiła sprzedawczyni - Karolina powinna mieć buzię jak malowanie i pozostać zawsze „młodziutka, szczuplutka i ładniutka”. Karolina grzecznościowo się śmiała, gawędziła ze sprzedawczynią bez zobowiązań i poszukiwań większego sensu (to, proszę pani, zupełnie nienormalny rok, jeśli go przeżyję, to chyba nie umrę nigdy, a myślę o śmierci coraz częściej, mam już, przeciwieństwie do pani, swoje lata, przed panią jest jeszcze mnóstwo życia), decydowała się na jakieś serki, jogurty, bułki, jabłka, dorzucała do tego gazetę (sprzedawczyni wciskała jej jeszcze plotkarskie tygodniki dla kobiet, lecz Karolina się skutecznie opędzała) i z tymi niewielkimi zakupami wracała do mieszkania, gdzie świadomość przeżycia kolejnej nocy na krótki moment zamieniała się nawet w coś na kształt entuzjazmu. Zjadała z apetytem jogurty i owoce, i znów była młodsza, szczuplejsza i ładniejsza, a więc to działa, śmiała się i parzyła sobie kolejną kawę. Czasem jednak od bezpiecznej przystani małego sklepiku wołała rozległe przestrzenie hipermarketów, gdzie wydawała resztki oszczędności na niepotrzebne rzeczy w rodzaju wymyślnych suszarek i wieszaków, praktycznych, lecz zbędnych jej przyrządów gospodarstwa domowego, a także na niezwykłą ilość jedzenia, które planowała później w wyrafinowany sposób przyrządzać według rzadkich receptur. Wracała na parking, z wysiłkiem pchając przed sobą ogromny wózek pełen kulinarnych osobliwości: dziwnie świeżych ryb z dalekich mórz, podejrzenie dobrze prezentujących się warzyw, tak wymyślnych, że aż niepokojących przypraw, wybornego ryżu, niezwykłych makaronów, wyśmienitych sosów. To wszystko później zalegało w jej lodówce, aż nie raz trzeba było podjąć dramatyczną decyzję - egzotyczne ryby, sprawiające wrażenie zdziwionych sytuacją i prozaicznym finałem swojej znajomości z

Karoliną, a także bliżej niezidentyfikowane części nieszczęsnych ssaków łądowały w śmietniku, zaś w ostatniej drodze między lodówką a czarnym, plastikowym workiem trzymane były delikatnie w dwóch palcach z daleka od nozdrzy niespełnionej kucharki, której wy-padało zadowolić się jogurtami, jeśli tylko ich termin przydatności do spożycia jeszcze nie minął. Skąd pieniądze na to wszystko, na te dziwne morskie stwory, których można się przerazić nawet wtedy, gdy martwo leżą na grudach lodu, łypiąc niewidzącymi oczyma? Zawsze je miała, czasami więcej, czasami mniej, chwilowo ubywały, a potem znowu się nieodmiennie zjawiały - podobnie jak odnalezieni po latach przyjaciele (czy ona w ogóle miała jakichś przyjaciół, zastanawiałem się, prawdziwych przyjaciół, przyjaciółki od serca, bliskich znajomych?), jeśli nawet nie ci sami, to inni, więksi, mniejsi, bledsi, grubszy, smutniejsi bądź szczęśliwsi, ale zawsze niezbędni. Któż stał za tymi zastrzykami, kto był czułym pielęgniarzem jej portFela? Moje domysły tonęły bezradnie w zbawiennej niewiedzy.

Zastanawiałem się także, czy kupowała w hipermarketach wina rozlewane w milionach hektolitrów, opatrzone nieodłączną naklejką bordeaux lub bourgogne; czy też udawała się do zacisznych, snobistycznych sklepów, by z przyjemnością godną wytrawnej smakoszki wydawać trzykroć większe kwoty na leżakujące spokojnie i o wiele dostojniejsze butelki, egzemplarze limitowanych partii pochodzących z najlepszych regionów Francji, Włoch, Hiszpanii. Czy z czułością, delikatnie oddawała się w domu kontemplacji zakorkowanych bukietów, przypominając sobie krajobrazy półwyspów Iberyjskiego i Apenińskiego, Gaskonii albo doliny Rodanu. Czy zaopatrywała się w zwykłych sklepach w wina rumuńskie, bułgarskie i coraz modniejsze wina południowoamerykańskie, które tak trudno przypisać do europejskich wyobrażeń: no bo gdzie mogą rosnąć winogrona, z których wyrabiano ten alkohol? Chyba nie w selwie, nie w odmętach amazońskiej puszczy, nie na andyjskich zboczach i nie w pampie. Po winach nie pozostaje jednak żaden ślad, prócz słów. Tym bardziej przecież, że na jej drodze pewnie nie stanął nigdy Chateau Margaux rocznik **1900** lub saintmilion Chateau Cheyal-Blanc 47 lat później, lub Paul Jaboulet Ain Hermitage la Chapelle (plus następnych **14** jesieni), lub któryś z droższych pomeroli czy butelka legendarnej piwnicy Rotschildów. Dokąd może zaprowadzić kolekcjonowanie pustych, tylko napisanych butelek, które w niczym nie przypominają chłopięcych zbiorów puszek po piwie i paczek po papierosach albo dziewczęcego gromadzenia nieziszczalnych marzeń w kolorowych sztambuchach? Nie da się przecież zachować tych okazów niczym wagoników kolejek przejętych w spadku po dziecięcych Fantazjach. I tak cierpkie i łagodne, ponure, ciemnoczerwone i przełamujące się ku różom wina, te wszystkie średniej klasy medoki i kekfrankose, wina z villny, pozostają jedynie w złożach nieustępliwej pamięci, pozwalającej

czasami przywołać smak albo kształty liter i rysunek na etykiecie. Ale nie miała szans, by zostać kiperem win, tak jak ja zostałem kiperem lodów, nie chciała być eseistą ze łzami w oczach opisującym rozkoszne degustacje, prowadzącym zgrabne paralele między sławnymi rocznikami, przywołującym legendarne winne anegdoty, pieczołowicie opisującym rozkoszne degustacje. Nie mogąc nigdy - tu wrócę na teren, gdzie czuję się bezpiecznie - poznać wszystkich niuansów lodów nakładanych gałkami do wafli, skazana była na masową produkcję lodów na patyku. Niech wszystko ma swój rytm i miarę, i podług nich wysublimowani degustatorzy piszący o winach z piwnicy Rotschildów upijają się tanimi winami z supermarketów, erudycyjni eseści otumanią się pornograficzno-sensacyjnymi kiczami z dworcowych kiosków, a kolekcjonerzy miniaturowych kolejek giną w wielkich kraksach samochodowych.

Karolina nie gardziła także innymi alkoholami, wyraźnie słyszałem, jak aż mlaska na widok malibu czy baileysa, w pubach, gdzie leją się zwykle hektolitry piwa, zamawiała margeritę i sączyła ją wolno i intrygująco. Szkoda, że nikt jej nigdy nie widział w żadnym ekskluzywnym hotelu, bo nie wiadomo, co tam mogłaby zamawiać u wykrochmalonego barmana, profesjonalnie potrząsającego srebrną urną do koktajli. Kiedy spadał na nią złoty deszcz pieniędzy (ach, już widzę, jak przy tych słowach krzywią się wybitni krytycy!), ruszała często w straceńcze wyprawy do centrum miasta, oddając się wyrafinowanym zakupom. W specjalistycznych sklepach kupowała w ilościach niemożliwych do wypicia drogie i wymyślne herbaty, nabywała ubrania, których nigdy miała nie założyć, książki, których lekturze nigdy nie potrafiła się oddać, kosmetyki, na których użycie nigdy nie umiała się zdobyć. Nie znaczy to jednak, że Karoliną bez reszty zawładnęła leonardowska *ideefixe* sprawdzenia się we wszystkich dziedzinach sztuki i życia, choć prócz pisania wierszy, wiele czasu poświęcała kiedyś ćwiczeniom plastycznym, uprawiała gimnastykę artystyczną, chodziła na kursy tańca, zyskując sprawność niedościgłej tancerki bez popadania w niepotrzebne znajomości, ciężące potem niczym przekleństwo; bez wikłania się w toksyczne związki, z których musiałaby się w skomplikowany sposób wyplątywać, raniąc przy tym swoją delikatną skórę. Niestety Leonardo nie objawił się Karolinie jako konstruktor statków powietrznych ani podwodnych, astronom ani matematyk; cóż, także nie jako architekt, czego żałuję najbardziej, bo chciałbym zamieszkać w domu zaprojektowanym przez Karolinę, budzić się w nim i robić sobie posiłki, pić herbatę na patio, z ukwieconego balkonu spoglądać w przykrytą mrokiem nicość, brać gwałtowny, orzeźwiający prysznic i stać przed okienną szybą, za którą czysty błękit przełamuje doskonałą czerń, gromy łamią ciszę, a deszcz przecina powietrze. Leonardo ujawniał się w niej raczej jako autor studiów ludzkiego ciała,

którego dziwność usiłowała wiernie oddać w swych grafikach. Wykorzystywała te same podręczniki co wielu innych początkujących rysowników i bezwiednie podążała śladem doktora Tulpa, bo ciekawszym od ciała żywego niemal zawsze okazuje się ciało, które porzucone przez umysł, już z życiem się rozstało. Karolinę zaczynały Fascynować ciała młodych samobójców, zwłoki ofiar morderstw popełnianych w miastach, bezimienne trupy znajdowane w lesie, bezwładne sylwetki topielców wyrzucane na brzeg rzeki. Próbowwała obserwować i rejestrować swoimi ołówkami, jak zmienia się ciało po śmierci, ale ponieważ nie układało się to w doskonały cykl, postanowiła stanąć po stronie życia. Zrzuciła więc mimetyczny trening, oddając się na jakiś czas abstrakcyjnej wolności kolorów, a ta początkowo poniosła ją wysoką falą, chociaż w końcu też rozczarowała, bo wolność zbyt często zawodzi pokładane w niej nadzieje. Po dawnych pasjach pozostał jej niezmienny entuzjazm, z jakim odnosi się do wędrówek po klimatyzowanych salach muzeów: Karolina-Izyda zatrzymuje się na dłużej przy mumiach i wczytuje się w instrukcję wyciągania mózgu przez nos nieboszczyka; Karolina - Isis przeciska się między Japończykami robiącymi sobie zdjęcia na tle posągu jej męża Ramzesa 2; Karolina

- Hathor czeka na krawędzi pustyni, kontemplując świat o rozwidlających się ścieżkach; Karolina-Kali w tańcu śmierci żongluje głowami turystów w sali ze sztuką indyjską; zboląła, lecz piękna Karolina-Madonna pojawia się na polichromiach w sali poświęconej sztuce średniowiecznej Europy; Karolina-Hera i heroina, Karolina - Kora i kokaina, Karolina-Maria i marihuana, słoneczna nimfa wśród gałęzi drzewa sięgającego nieba, psychodeliczna bogini starych volkswagenów, dadaistyczna techno-Karolina, akt Karoliny schodzący po schodach, Karolina-kobieta stugłowa. I tylko czasem jeszcze wstydliwie przechadza się po cmentarzach, żałując, że nie ma szpadla i szkicownika wraz z doskonale zatemperowanym ołówkiem. Czy miała pozostać tylko byłą poetką, niezrealizowaną malarką, niedostępną kochanką? Z zażenowaniem i wstydliwym uśmiechem Giocondy na ustach (Leonardo pisał, że portretowane kobiety powinny prezentować na obrazach wyraz zawstydzenia) Karolina myśli o swoich nieudanych próbach artystycznych. W jej wierszach młodzieńcze niepokoje wzięły górę nad formą, literacka praktyka niewiele miała wspólnego z dyscyplinującą umysł teorią, której prawidła zgłębiała z zaangażowaniem sumiennej studentki i uporem godnym zdecydowanie lepszej sprawy. Zdziwiło mnie zawsze jej upodobanie do niecieszących się zbytnią popularnością akademickich przedmiotów, które mnie samego zamieniały w średniowiecznego wojownika z rozplataną przez topór głową. Jaką perwersyjną przyjemność znajdowała w uciążliwych umysłowych gimnastykach, bezboleśnie wgrzyzając się w palatalizacje i przegłosy, dobrze się czując

zarówno w ciepłych objęciach głosek miękkich, jak i w żelaznych uściskach głosek twardych, bez gęsiej skórki i tajemniczego chłodu oddając się lekturze średniowiecznych psalterzy? Dlaczego dziwną atencją darzyła lekcje martwych języków, bez niechęci odnosząc się do łacińskich koniugacji i do zmagania z wymową zdań w dialektach dawno unicestwionych plemion? Co sprawiało, że udawała się swoim pewnym, a jednocześnie zwiewnym krokiem na zebranie koła naukowego, na którym zaciekle dyskutowano o barokowych epitafiach, zupełnie oderwanych od tak bardzo ją pochłaniającej rzeczywistości? Czemu dla tych spotkań zostawiała dygoczącą tuż za drzwiami współczesność? Co było podniecającego w obcowaniu z zastygłymi w woskowej grotesce twarzami prymusów, przypominającymi portrety trumienne, tyle że pozbawione wszelkiego przepychu, złocień i ornamentów, bo przecież wokół ich głów nie krążyły barokowe amory ani nie słychać było klawikordów czy lutni? Czemu dawała się zamykać w zatęchłych katakumbach uniwersyteckich murów, cynowych sarkofagach mało przydatnej wiedzy, skoro przede wszystkim marzyła o zetknięciu z porażającą niezwykłością? Dlaczego nie protestowała, wysłuchując pozbawionych autoironii komentarzy do wierszy wypowiedzianych przez szpetnych dwudziestoletnich, choć sądziła, że o urodzie poezji powinni rozprawiać ludzie piękni? Jak to się działo, że obojętna tkwiła czasami na nudnym wykładzie, bezradnie poddając się torturom i z wytęsknieniem czekając na upragniony koniec - jakby uczestniczyła w pochówku nielubianej ciotki tylko dlatego, że nie do pomyslenia była jej nieobecność na rodzinnym pogrzebie? Dlaczego nie wstawiała, nie mówiła „przepraszam”, nie przeciskała się między kolanami i nie wychodziła z ciasnej, dusznej sali, zostawiając za sobą unieruchomiony wszechświat? Czy czuła, że niemal każdy patrzył na nią ukradkiem, nie wierząc w skuteczność odważniejszego spojrzenie?

Żadną miarą Karoliny zignorować się nie dało, wierzyłem w nią monoteistycznie; kiedy szła ciemnym korytarzem, razem z innymi zastanawiałem się, kto mógłby być adresatem opublikowanych przez nią w piśmie studenckim erotyków, a niszowa popularność pięknej poetki ciągle rosła. Rutynowo strzepując popiół, dociekaliśmy, czy tajemniczy wybranki codziennie pojawia się wśród nas, czy pali z nami papierosy i śmieje się z erotycznych dowcipów, a potem spędza z nią noce i relacjonuje jej nasze żenujące upadki; wypuszczając kółka dymu, spekulowaliśmy, czy jest to ktoś znany nam z telewizji, w którą wpatrujemy się tępo, bądź z gazet, które kartkujemy od niechcenia; pstrykając nerwowo zapalniczkami, zachodziliśmy w głowę, czy to może aktor, wokalista, malarz, czy mieszka on w tym smutnym kraju zmęczonych pesymistów, czy też przyjeżdża tu tylko czasami i na krótko - bogaty obcokrajowiec, zabierający ją w miejsca, do których my nigdy nie docieraliśmy nawet w wyobraźni. Nie musieliśmy puszczać wodzy fantazji, bo nigdy jej nie

trzymaliśmy na uwięzi. Cała władza w ręce wyobraźni - pisaliśmy na elewacjach zmurszałych kamienic, a wyobraźnia rzeczywiście nami rządziła twardą ręką, wzbudzając w nas należny sobie respekt.

Karolina po jakimś czasie zweryfikowała swoje literackie dokonania, stwierdzając, że zamieszczone w piśmie liryki były żenujące. Rękopisy nie płoną, powiedziała, wpychając pomięte kartki do przepelnionego kosza, by jeszcze raz przekonać się, że odkrywane porównania nie działają jak zaskakujące połączenia białkowe czy chemiczne wzory tłumaczące sens życia. Ostatecznie wyzbywała się wiary, że zużyte słowa są jak ogony jaszczurek i wyrwane ze swych znaczeń, potrafią odrastać. Skoro wszystko jest powieleniem, to nie ma prawa pojawić się żadna nowa myśl, bo wcześniej czy później i tak uda się zdemaskować jej podcięte korzenie. Nie pozostaje nic innego, jak nieustannie zrzucać z ramion płaszcz Pimki. Odtąd Karolina pisała tylko egzystencjalne kolokwia, metafizyczne eseje, semestralne i filozoficzne prace roczne, bez względu na tematykę skupiając się wyłącznie na tym, co ją interesowało naprawdę. Bez reszty poświęcała się problemom czasu, braku nadziei, niepocieszenia, owej czarnej przepaści, która co dzień i co noc nieustannie otwierała się pod jej stopami. Zaabsorbowana, tworzyła kolejne wersje protokołu swego nieistnienia:

Tak więc nie mamy wyboru, gdyż decyzja została już podjęta. Paradoks naszego życia polega na tym, że cielesność jest jedynie chwilowym pocieszeniem, tym bardziej złudnym, że szybko mija. Euforia cielesności, gdy przeminie, jeszcze wyraźniej uświadamia nam, że tak naprawdę żadnego pocieszenia nie ma. Dbalność o ciało stanowi więc absurdalny w tej sytuacji eskapizm, tym bardziej absurdalny i groteskowy, że dzięki niemu uświadamiamy sobie, iż atrakcyjna cielesność jest dana wszystkim na chwilę tylko po to, aby lepiej uzmysłwić nam niechybność degeneracji naszej organicznej struktury. W tej sytuacji powinniśmy jak najszybciej przyspieszyć proces rozpadu. Naprawdę jedynym rozsądnym, trzeźwym rozwiązaniem wydaje się jak najszybsze pozbawienie się własnej atrakcyjności, nie pielęgnowanie ciała, ale wręcz przeciw-me - świadome i oczyszczające wystawienie go na wszelkie szkodliwe wpływy środowiska i trybu życia. Nie chcę oczywiście przez to powiedzieć, że należy je poddawać umartwieniom na wzór metod średniowiecznych: kłuć je, ranić, głodzić, zadawać sobie przy tym ból czy też zaniechać higieny osobistej. Jeśli nawet umartwianie ciała jest powszechnym zjawiskiem, same metody wysubtelniały. Wpewnym sensie średniowieczny ascetyzm wciąż trwa, lecz jest to już ascetyzm

opakowaniu ponowoczesnym. Za dowód poddania się największej złudzie uznać należy wszelkiego rodzaju obostrzenia podjęte wobec ciała, które paraliżują świadomość

koncentrującą się tylko na ochronie skóry przed szkodliwą penetracją promieni słonecznych, na opracowywaniu odpowiedniej pod względem składników diety, mającej zachować naszą cerę w doskonałej równowadze (czemu z pomocą przychodzą także niezliczone specyjl ki: maści, kremy, maseczki, toniki etc.). Wygi ąda to tak, jakby podświadoma ądza nieśmiertelności kazała nam mumiji kować się za życia. Kiedy widzę na zdjęciach piękne, sztucznie uśmiechnięte modelki i wiem, że poświęcono dużo czasu i energii na przygotowanie i przebieg sesji zdjęciowej, wydaje mi się, że są one martwej, że oto właśnie oglądam coś na kształt mumii. Zabici żołnierze na zdjęciach wojennych wyglądają na bardziej żywych od tych nieszczęsnych, bo niczego nieświadomych kobiet.

Obraz całkiem niezłe zachowanych zwłok sprzed trzech tysięcy lat każe nam wierzyć, że nie wszystko stracone, bo udaje się jednak zachować część swojego posiadania. Niestety, w przypadku naszego klimatu jest to niemożliwe. Tutaj ciała szybko gnią) po trzech tysiącach lat nie ma po nich siadu. Dzieje się tak zresztą o wiele wcześniej, nie pozostaje z nich prawie nic już po chwili; to takie dziwne miejsce, gdzie kocha się umarłych, alejednocześnie się ich boi; gdzie tęskni się za zmarłymi, ale zaklina, by do nas nie przychodzili i by trzymali się od naszego życia jak najdalej gdzie się ich szanuje, ale i zarazem śmieje się z nich; śmierć tu przerażai bawi jednocześnie, bo śmiechem odgania się strach. Śmierćjawi się jako tabu, a jednocześnie śmieszą nas niewyszukane dowcipy na jej temat. To dziwne miejsce, żyjemy na ogromnym cmentarzu, na nim się kochamy i rozmnażamy, uprawiamy sporty i literaturę. Z pewnością metafora tego kraju jako wielkiego cmentarza jest uprawnioną, nie tylko historycznie, **ale też kulturowo**. Kult zmarłych dawno już zбочył z utartych chrześci jańskich ścieżek i powrócił jakąś okrężną drogą do pogańskich tradycji - oto narodowa nekroflia. Miłość do naszych zmarłych dawno już uykroczyła poza uczucie platoniczne. Pragniemy ich, marzymy o nich, czujemy do nich pożądanie. Być może więc należy porzucić ten kraj deszczu, błota i rozpaczy i znaleźć jakąś pustynię, przez którą mknie suchy wiaby tam spróbować przedłużyć swoje cielesne istnienie. Wyobraźmy sobie usytuowane właśnie w takim miejscu wielkie zbiorowisko omiatanych gorącym, suchym wiatrem młodych ciał, przede wszystkim ciał poetów, intelektualistów patriotycznych robotników, powstańców, ciał już od dawna martwych, ale wciąż nie zgniłych, nadal zachowującychĄ mimo upływu tak długiego czasu, szczególnie rodzaj świeżości: szlachetny wyraz twarzy, zaciśnięte pięści, mocno dzierżone sztandary - oto cmentarz obiecany. Owo bezustanne i zgubne dążenie do cielesnego ideału sprawi że sami dokonujemy symbolicznego patroszenia własnych wnętrzości, a więc pozbywamy się tego wszystkiego, co naprawdę trzyma nas przy życiu, bo przecież odpowiedzialność za nasze trwanie spoczywa nie na duszy (zbyt cierpiącej lub euforycznej)

ani też nie na duchu czasu czy narodu, ale właśnie na niedocenianych wnętrznościach. Nie chodzi tu oczywiście (proszę nie brać mnie za aż tak pretensjonalną) o dokonanie wyboru pomiędzy fizycznością a duchowością. Nie chodzi mi o patroszenie serca jako kategorii symbolicznej, nawet nie o wyrwanie z duszy ciała, aby tym większą dać ciału szansę na wydłużenie życia. Mam na myśli symboliczne (nie sądzę jednak, czy do końca uświadomione) pozbywanie się - czyli wypieranie ze swojej świadomości i zainteresowań - tych organów które są od ciała (z tego zatykającymi się porami czy innym przedmiotem nieustannej walki: drażniącym owłosieniem) nie mniej ważne, a rzecz trzeba, że po prostu niezbędne. Przywiązując nadmierną uwagę do łuszczącego się naskórka bądź wiotczących brzuchów, zapominamy o naszych wątrobach, nerkach, jelitach, śledzionach trzustkach; dbamy o zewnętrzną, podczas gdy w środku dzieją się rzeczy straszne.

Czyż nie elektryzują nas, nie wyzwalają naszej wyobraźni takie wiadomości jak ta, którą usłyszałam mniej więcej przed tygodniem w jednym z informacyjnych serwisów radiowych, a którą przytaczam tu z pamięci: „W Egipcie wpustynnympiasku na lewym brzegu Nilu odkryto szczątki ludzkie z 18 wieku przed Chrystusem. Były bardzo dobrze zachowane, a bogata biżuteria wskazuje na osobę wysoko postawioną w hierarchii społecznej”. Koniec informacji. Być może było tam jakieś zdanie o doniosłości tego odkrycia. Niestety, z braku czasu antenowego, a może niedostatku pełniejszych informacji, słuchacze nie poznali szczegółów nie dowiedzieli się niczego o samym ciełe czy raczej tym, co ono sobą dziś reprezentuje. Pozostawiono ich jedynie z domysłami, choć może im się również nie zdążyli poddać, bo następne informacje już atakowały ich zmysł słuchu, a świeże trupy z kraks samochodowych i lotniczych okazywały się bardziej atrakcyjne, jako że w myśl niepisanego prawa każda nowa nowość jest ciekawsza od nowości nieco starszej. Czy jesteśmy sobie w stanie wyobrazić swoje własne szczątki za trzydzieści osiem stuleci? Prędeż już wyobrazimy sobie ową bogatą biżuterię. To właśnie wizja drogich klejnotów zapewne rozpala imaginację słuchaczy o wiele mocniej niż problem, czy znaleziona doczesna powłoka zawierała wnętrzności. Czy słuchacze rozważali kwestię ewentualnego zmumifikowania zwłok (a więc zgodnie z prawidłami sztuki wypatroszenie ciała, a także wyciągnięcie mózgu przez nos), czy też raczej uznali, że po prostu nieszczęśnik (bądź nieszczęsna) padł (a) w trakcie wędrówki przez piaski i tam pozostał(a)? Nie był to z pewnością byle kto, bogata biżuteria zdecydowanie nie sugeruje ciała żołnierza czy niewolnika(cy). Czy znaleziono go (a może ją?) po prostu w głębokim piachu, ot, tak sobie, czy też archeolodzy (najprawdopodobniej oni, choć radio nie sprecyzowało, w jakich okolicznościach nastąpiło odkrycie; nie jest więc wykluczone, że doszło do niego przypadkowo, a nie w efekcie długich, systematycznych

poszukiwań) dotarli do nieznannej wcześniej nekropolii, odkopali grobowce, ominięte przez starożytnych rabusiów i wcześniejsze ekspedycje, i krzyknęli „Eureka! „; i czy odkrywcy ci ludzili się, że kiedyś też ktoś tak krzyknie na widok ich nędznych szczątków? Nieśmiertelność może być tylko chwilowa. Innej nieśmiertelności nie ma i być nie może. W tej grze wszyscy są przegrani nie ma żadnych zwycięzców to najciekawsza gra, jaką zna świat, choć wynik od początku meczu widnieje na tablicy świetlnej. Zarówno zmumifikowane, poczerniałe, pozbawione wszelkich ludzkich walorów wysuszone trzytysiąceosiemsetletnie ciało, jak i pełne wigoru oraz świeżości żywe ciało dwudziestoletnie są nieśmiertelne tylko przez krótki czas, bez względu na to, czy jest to trzydzieści osiem stuleci, czy jedna piąta wieku. To banał - czytelnik tego szkicu wzruszy ramionami i będzie miał rację - nadmierna dbałość o swoją cielesną powłokę ma rekompensować niemożność trwałej i prawdziwej nieśmiertelności. Ale ten banał urasta niestety do głównej dziś prawdy egzystencjalnej.

Nie zamieszczenie jednak przez Karolinę wierszy w studenckim piśmie ani wygłaszanie takich jak ten referatów było najważniejszym wydarzeniem, do którego jeszcze nie raz przyjdzie mi się odwoływać. Najważniejszy miał już na zawsze pozostać ten upalny dzień, w którym w granatowej sukience i białej bluzce, prawie jak uczennica przyklasztornej szkoły, śmiało wkroczyła w chłód uniwersyteckiego budynku. Wtedy ją po raz pierwszy zobaczyłem. Stałem w grupie nieznanym mi osobom, bo znajomości dopiero miały się zacząć nanizywać na wspólny sznurek czasu, czasu, który mieliśmy razem tam spędzić i wykorzystać jak najlepiej. Być może pomyślałem wtedy: „Boże, muszę ją mieć!”. Być może pomyślałem raczej: „Boże, nigdy nie będę jej miał!”. Być może. Boże, nie pamiętam. Tylu rzeczy już nie pamiętam, ludzi, którzy się przewinęli i zatarli tak samo nagle, jak nagle Karolinami się przypomniawszy jako dwudziestoletnia poetka, chwilowo nieśmiertelna. Teraz patrzę i wyobrażamją sobie trzytysiąceosiemsetletnią, znów przez chwilę nieśmiertelną, kiedy archeolodzy pochylają się z zachwytem nad jej wysuszonym, poczerniałym ciałem, widzę jej ciemną skórę napiętą na zgrabnym szkielecie, widzę to ciało, którego nigdy nie zdołałem osiąść, choć mniej godni tego dostąpili na wszelkie, najbardziej nawet wyuzdane sposoby. I tak oto stała się moim przeznaczeniem, przekleństwem mego pełnego pustki życia, jedynym sensem w bezsensie moich dni, snami w długie bezsenne noce, pamięcią w mojej chronicznej niepamięci, zwodniczym światłem w ciemności, hydrocortisonem w atakach alergii i morfiną na złagodzenie bólu. Była śniegiem w bezśnieżne zimy, morzem w miejskiej pustyni, zimnym piwem na kacu, sprawczynią moich najbardziej niemądrych posunięć, największą Frustracją i nienawiścią, powalającą z nóg chorobą, homeopatycznym lekarstwem, efektem placebo, lobotomią i nieustanną pamięcią, która nie potrafiła mnie opuścić, choć o tylu innych

rzeczach tak łatwo zapominałem. Do dziś prawie wszystko ciągle wylatuje mi z głowy, gdy wychodzę z domu, to zawsze po coś wracam: by zakręcić kran, wyłączyć gaz, zamknąć okno przed burzą. Poprzednie dni szybko ulatują, bo nie ma w nich niczego, co mogłoby pozostać. Zapominam o obowiązkach, bo ich nienawidzę, zapominam o przyjemnościach, bo nie sprawiają mi żadnej rozkoszy. Teraz jednak Karolina będzie moją obowiązkową przyjemnością, na swoją i na jej zgubę o niej nie zapomnę. Często wyobrażałem sobie jej związki z mężczyznami. Rześkie, soczyste jak cytrusy poranki w dni powszednie, kiedy ona tak rozkosznie, niezobowiązująco i leniwie krząta się po kuchni w rozchylonym szlafroku z kubkiem gorącej kawy w ręku, a on ubiera się szybko, myli swoją bieliznę z jej i wybiega, już spóźniony, do pracy. Ona nie musi się spieszyć nigdzie - wyzwolona z godzinowych zobowiązań, dociera na wydział po południu, gdy uniwersytet się już powoli wyludnia, studenci idą się upijać tanim winem lub z rezygnacją zmierzają zaszywać się w dusznych czytelnich. Ona ich spokojnie mija i wchodzi do przenikniętego chłodem wnętrza budynku, nie wiedząc po co, skoro już jest po wszystkim.

Albo poranki w dni świąteczne, kiedy żadne zobowiązania nie były w stanie zmusić ich, by wstali przed południem, z radia płynęły absurdalne informacje i tandetna muzyka, szeleściły strony wczorajszej gazety albo jednego z kolorowych perfumowanych miesięczników, które brały się tam nie wiadomo skąd, bo przecież nabywała raczej tylko kwartalniki z esejami o austriackim modernizmie albo francuskim postmodernizmie. Ale pism, które kupowała, nie musiała wcale czytać w świąteczne południa. Usiłowałem (niestety zbyt szybko i bez wysiłku mi to przychodziło) wyobrazić sobie ich, jak leżą w kolorowej pościeli, a potem robią sobie śniadanie, dłubią bez pośpiechu w awokado lub grejpfrucie, wsypują do talerza płatki kukurydziane albo mniszki, smażą jajecznicę, piją kawę, dolewają do tej kawy mleka, pytają się: z cukrem czy bez?, czytają gazety. To był prawdziwy powód mojej zazdrości, bardziej dotkliwy niż wyuzdana fizyczność, która ich łączyła. Zbyt łatwo byłoby zazdrościć mu pozycji, jakie ona dla niego przyjmuje w te noce, które ja trawiłem na krótkich, nikomu niepotrzebnych buntach. Ich wspólnie spędzane poranki upokarzały mnie, bo wierzyłem w swoją nad nim przewagę, odczytanie, perfekcyjną zdolność logicznego i gramatycznego rozbioru zdań, które mogłaby przede mną piętrzyć, budować jak barykady, żebym miał czym zająć umysł i ręce. Jednak to ja spędziłem w tym budynku całe lata, podczas gdy ona z niego wyszła naprawdę, a nie tylko po to, by wrócić tam następnego dnia, jak wracałem ja, a wraz ze mną tłumy podobnych mi głupców. Gdy Karolina była coraz dalej i porzywały ją inne światy, ja trwałem w ciągłym niespełnieniu, wierząc, że prawdziwa siła tkwi w strzeżonych gramatyką słowach, a tym, co świat porządkuje, są koniugacje i

deklinacje. Skrępowany regułami własnej składni przebywałem ludźmi, którzy w uniesieniu rekonstruowali zdania zapisane wieki temu w języku zapomnianym nawet przez ich dalekich przodków, jakby właśnie w tej sztucznej mowie chcieli kiedyś zbudować sensy, na które nie potrafili się odważyć w języku poznawanym od dzieciństwa. Przesiadywałem więc na lekcjach martwego języka, moje usta nieudolnie powtarzały niezrozumiałe wyrazy, moje oczy bezradnie wbijały się w obce sylaby, podczas gdy moje myśli krążyły zupełnie gdzie indziej. Przenosiłem się wówczas do ich kuchni, widząc, jak on całuje ją na pożegnanie, i wybiega w pośpiechu do pracy, a Karolina zmienia stację radiową, siada na tapczanie po turecku i zapala pierwszego tego dnia papierosa. Cóż mogły ją obchodzić moje męki, gdy wbijałem nocami w swoją nieszczęsną głowę zasady ewolucji bezużytecznego dla mnie języka, którym Karolina i jej kochanek w te same noce posługiwali się tak biegle. Mechanicznie powtarzałem deklinacje i koniugacje, podczas gdy oni z zaangażowaniem wymieniali słowa czułości.

To były lata niewyspania - senne dni, krótkie drzemki na nudnych wykładach, ciągnących jak tabory zmęczonego wojska, podsypianie w autobusach tak bezcelowo krążących po mieście, zapadanie się w niekończącą się nocną bezsenność. Nie mogłem zasnąć do świtu lub budziłem się nagle o szóstej rano z przekonaniem, że muszę oto czegoś dokonać, lecz zapomniałem o tym, na długo zanim poranne słońce zdołało się ześlizgnąć po ścianach domów. Zawsze niedospany, wymięty, zmęczony, snułem się po korytarzu od popielniczki do popielniczki, od drzwi czytelnicy do sali wykładowej, od dziekanatu do biblioteki, od bufetu do klozetu, z nikąd do nikąd. Karolina każde lato spędzała w Trumnach: w starym, kupionym jeszcze przez jej rodziców na wysokiej fali mody domu, który - oczywiście - dostojnie obrastał dzikim winem, miał drewniane okiennice, w środku był kominek, kołowrotek, na ścianach wisiały wiązanki suszonych kwiatów, a w ogrodzie drabiniasty wóz pełen kwiatów żywych. W pewnym okresie w Trumnach wypadało bywać. Był czas, że z pełnym poświęceniem i determinacją należało spędzać w Trumnach każdy wolny dzień, trumienność wakacji była koniecznością. Trumny zastępowały zimne, wyniosłe góry, ciepłe, przejrzyste morza, dalekie podróże, inne strefy klimatyczne, monotonię autostrad i nerwowość przesiadek kolejowych. Dzieciństwo Karoliny było trumienne, jednostajne, niezmiennie, pełne komarów i os, urozmaicone co najwyżej zaskakującymi woltami pogody, bo pogoda tu była nieprzewidywalna, w przeciwieństwie do miejsc, które zawsze gwarantują turystom stałe ceny i stałe temperatury. Każde lato pachniało więc dla Karoliny Trumnami - ogrodem wypielęgnowanym do szaleństwa przez jej męczeńsko pracowitą matkę, mulistym powietrzem ciągnącym od pobliskiego jeziora, równie niedalekim lasem, który nieodmiennie oferował umiarkowane bogactwo leśnych owoców i grzybów.

Każde lato jest dla niej tym samym żywym obrazem: letnicy suną *główną* drogą miejscowości ku wodzie, potem zaś, gdy pogoda się psuje, znad tej wody pospiesznie wracają, kiedy indziej zaś okryci żółtymi przeciwdeszczowymi pelerynami, odziani w kalosze, człapią do lasu, by wypatrywać czegoś uważnie w leśnym poszyciu albo pomiędzy konarami drzew, lub kierują swój wzrok ku niebu, bo tam zazwyczaj szuka się pomocy. Po deszczu w ogrodzie Karoliny wypęłzają zewsząd wielkie winniczki i ociężałe, z uporem prą przed siebie na zatracenie jak powolne, zwaliste czołgi z okresu I wojny światowej.

Karolina, wymoszczona na leżaku, patrzy na potężne, ciemne chmury ciągnące nad lekko falującymi połami zbóż. Ogród zarasta chwastami, okolica roi się od dławiącego zapachu ziół. *Zioła* - tak mógłby brzmieć tytuł zbioru jej niewydanych i bezpowrotnie unicestwionych wierszy, do których pisania nigdy już nie wróci. *Szałwia* - sonet francuski, *podbiał* - sonet włoski, *macierzanka* - tercyna, *dziuwanna* - sekstyna, *dziurawiec* - triolet, *prawoślaz* - strofa saficka, *żywokost* - oktawa, *tysiącznik* - dystych. Arcydzielność konstrukcji, kongenialność, z jaką obudziłyby uspięne od dawna formy, świeżość jej metafor, orzeźwiający powiew porównań - to wszystko mogłoby być, gdyby nie fakt, że nigdy nie powstanie. Nie ma zatem żadnej nadziei, że mężczyźni będą się upijać nalewkami zrobionymi na jej wierszach, nucić późnymi nocami pachnące strofy, wykrzykiwać z uniesieniem metaforyczne hasła, nie będzie ich boleć następnego dnia odurzona głowa i nie zachce im się od tego mocniej żyć. Trumny z każdym rokiem coraz bardziej się wyludniały, letnicy sprzedawali po coraz niższych cenach swoje wypielegnowane domy, ruszając teraz na zagraniczne wycieczki w poszukiwaniu miejsc, gdzie nie groziły im zdrady pogody. Sąsiedzi zza płotu spotykali się nagle w hotelowym basenie, by w jego wodzie splukiwać żywiczny zapach trumiennego lasu, woń mułu z trumiennego jeziora, zapach liści palonych jesienią w trumiennych ogrodach. Rdzennym mieszkańcom nie pozostawało nic innego jak powrócić do starych nałogów, ze smakiem zdrady na ustach, z poczuciem, że lojalność nie znaczy już tego, co kiedyś. Karolina trwała na posterunku sama; można by ją fotografować z abiej perspektywy pośród opadających liści, na tle ciemniejącego nieba, w momencie gdy poprawia rozwiane włosy, podnosi do ust kubek z herbatą albo uśmiecha się - nie wiadomo, czy do wymagowanego obiektywu, czy do własnych myśli. Stawała się coraz bardziej jesienna i zadumana, bo właśnie nadchodziły ostatnie dni lata - czas bezlitośnie wyeksponowany przez piosenki poetyckie i turystyczne, przez wiersze i filmy. Trumny robiły się coraz bardziej niemodne, starzały się, próchniały, rozsypywały się, ale tym większą zyskiwały w oczach Karoliny atrakcyjność; zawsze piękna, obsesyjnie szukała wokół siebie oznak nietrwałości. Karolina samotnie wędruje po okolicy, podgląda przyrodę, zbiera polne kwiaty, zatrzymuje

się na zarośniętych, zapomnianych cmentarzach przy skraju gęstych lasów. Odczytuje nazwiska zmarłych przed wiekiem, bo okolica zarasta zapomnianymi mogiłami, a jest ich zatrzęsienie. Łatwiej czytać palcami niż oczami. Karolina dotyka więc liter jak niewidoma, wymawia je pojedynczo, dziwi się ich ustawieniu. Nie, mówi do siebie, to niemożliwe, co za dziwne imię, jakie rzadkie nazwisko, zupełnie jak moje. Po małych wsiach zostały tylko niewielkie cmentarze i zarośnięte okopy, pamiątki po wielkiej wojnie, która przewalała się przez Europę, by się właśnie tutaj na chwilę zatrzymać, przezimować, odpocząć, zebrać siły, a na wiosnę znów się ciężko, z wysiłkiem podnieść, pociągając za sobą miliony mężczyzn. Po dwóch stronach torów stały dwie armie, a wojna odpoczywała oparta o linię kolejową przecinającą teraz las, tak jakby dawała żołnierzom czas, żeby wtuleni w ziemię, mogli pomarzyć o życiu, które co dzień wymykało im się ze zdrętwiałych od mrozu rąk, albo o kobietach - kucharkach, pokojówkach, fordanserkach, cudzych żonach - których ciepło mogłoby ich rozgrzać w długie noce zimy **1915** roku, o miastach, z których pochodzili, o tramwajach, którymi jeździli, o kasztanowych alejach i sierpniowych upałach, do których tęsknili. Teraz Karolina pochyla się nad grobem jednego z tych mężczyzn i prawie mówi: jestem twoim marzeniem, to o mnie śniłeś, dla mnie tu zostałeś i na mnie czekałeś, kiedy wszyscy już poszli, popatrz - oto jestem, wysoka, wiotka i blada, taka jak chciałeś. Dotyka liter na kamiennym krzyżu, jakby dotykała jego twarzy, zdrapuje mech z jego niepoznawalnego nazwiska, a on bezwolnie poddaje się tej pieszczocie jak pies, którego miała w dzieciństwie i który przychodził do niej, by się przytulić; był ciepły, miał mokry nos i trochę śmierdział. Jak oni okropnie musieli śmierdzieć, myśli Karolina, a potem nachodzi ją ochota, żeby powąchać kości, dowiedzieć się, jak cuchną kości martwych od tylu lat, czy mają swój własny zapach, czy tylko przesiąkły ziemią, w której zgniły ciała ich właścicieli? Być może kazałam czekać na siebie zbyt długo, ale każdy ma swój czas - teraz jest twój czas w moich myślach, mówi, szkoda, że nawet nie wiem, ile miałeś lat, bo najłatwiej jest wszystko zaprzepaścić słowem „nieznany”. Nie dowiem się więc, czy czuję słabość do mężczyzny dojrzałego, może żonatego, z dwójką dzieci, czy też do osiemnastoletniego chłopaka, przestraszonego i niezbyt rozgarniętego; nie umiem rozstrzygnąć, czy przedmiotem moich westchnień jest artretyczny mężczyzna w sile wieku, czy też niewinny nastolatek; nie wiem, czy chciałabym zbliżyć do twarzy czaszkę, na którą spadło wcześniej wiele ciosów, dzięki czemu nabrała życiowej mądrości, czy jednak przeznaczona mi została kształtna, młoda czaszka, kiedyś pełna sztubackich pomysłów. Oto czaszka Nieznanego, nie pamiętam go, nigdy go nie poznałam, nie wiem, czy jego dowcipy bawiły towarzystwo, czy też był nieśmiałym odludkiem, czyjego cięty język uciszał przemądrzałych głupców, czyjego umysł

ogarniał świat, czy też tego świata nijak nie pojmował. Teraz jednak muszę iść, choć być może jeszcze tu wrócę, mówi Karolina i się oddala, bo zawsze gdzieś odchodziła, zostawiając wszystkich skonfundowanych i pogrążonych w domysłach. Zostawiła także mnie, lecz ja ją znajdę, bo teraz już wiem - mnie nie wolno zostawiać. Widzę ją, jak jedzie leśną drogą na swoim starym czarnym spacerowym amsterdamie Firmy Gazelle z wiklinowym koszykiem z przodu. W koszyku ma świeże warzywa kupione w miasteczku, codzienną gazetę i opiniotwórczy tygodnik, nieprzerwanie pedałuje, rower zgrzyta zmęczony wysiłkiem ponad siły, od dawna nie smarowany łańcuch obraca się równie wolno jak trumienne dni Karoliny - z uporem i ciężko, ale wciąż do przodu. Karolina zaraz dojedzie, zsiądzie z roweru, wprowadzi go przez bramę do ogrodu, oprze o drzewo i wyjmie z koszyka zakupy. Potem będzie siedziała na werandzie domu, jadła sałatę, piła herbatę, a może nawet otworzy sobie butelkę niedrogiego Cotes du Rhône i zacznie melancholijnie spoglądać w banalną przestrzeń za płotem swojego tajemniczego ogrodu. Czeką, aż zmęczą ją dni mijające na lekturach narcystycznych powieści, z których autorami błyszczą wywiady w opiniotwórczych tygodnikach; dni spędzane na monotonnym popijaniu herbat i ziółek, na jedzeniu sałat, rzodkiewek i porów. W końcu Karolina mówi do siebie: „wyjeżdżam”, potem zaś sobie potakuje: „wyjeżdżaj”, i po wypiciu porannej kawy rzeczywiście wyjeżdża, zostawia za sobą i tak już opuszczone, zapomniane przez wszystkich Trumny, ostatecznie (bo wierzę, że nie wróci tu już nigdy) zatrząskuje wieko czasu, zabijając je gwoździami przeznaczenia. W drodze powrotnej do miasta, po tym, jak ostatecznie zamknie swój dom, zatrząśnie okiennice, zakręci wodę w bojlerze, zamieni leśną, piaszczystą drogę na szeroką szosę, Karolina poczuje coś na kształt ulgi - ostatnia z rodu właśnie porzuciła karykaturalną namiastkę rodzinnego gniazda. Nigdy tu już nie wrócę, mówi do siebie, ajajaj potakuję. Karolina widzi w mijanych miejscowościach odwrotność koniecznych wydarzeń, jakby jej samochód jechał tyłem przez historię cudzego życia. Najpierw mija tłumny pogrzyb ważnej popularnej osoby miasteczka, w którym potężne, osadzone na jedynym wzniesieniu sanktuarium (opasy przewodnik wymienia także ciekawą architekturę domów przy rynku oraz skupisko oryginalnych polodowcowych skał tuż za rogatkami) góruje nad resztą zabudowy. Warto byłoby poświęcić godzinę, by zapoznać się z cudami barokowej architektury sakralnej, przekonuje przewodnik, a Karolinie przypomina się kolo naukowe, w którego powolne tryby na chwilę kiedyś wpadła. Niestety, sanktuarium zostało opanowane przez żałobników, którzy właśnie wylewają się czarną, gęstą strugą ze wszystkich jego otworów. Nie ma sensu czekać, aż kondukt dojdzie na cmentarz, a trumna wysunie się z ramion silnych mężczyzn w stylizowanych srebrno-czarnych mundurach do przygotowanego dołu. Karolina jedzie dalej. W mieście

(szczególnie warte uwagi są tu renesansowe kamienice na rynku, zarzeka się przewodnik), w którym postanawia odpocząć i przy okazji coś zjeść, trafia na huczne wesele. Karolina nie może wejść do polecanej przez przewodnik restauracji; niestety, jak nieodwołalnie głosi przybita do drzwi jedna tylko teza, sala jest zarezerwowana. Ktoś wskazuje jej dobrą meksykańską restaurację leżącą trochę na uboczu. Karolina idzie w tamtą stronę, o wiele bardziej ciekawa miasta niż jedzenia. Do restauracji meksykańskiej jednak nie dociera, bo na jej drodze staje reklama włoskiej pizzerii. Będzie szybciej, myśli, szkoda czasu, szkoda zachodu. Tak więc zamiast burritos zadawała się monstrualną pepperoni (zawsze potrafiła zaskakująco dużo zjeść, na czym nigdy nie cierpiała jej wiotkość), popija wodą i rusza dalej, bo czas nie wiedzieć czemu nagli, zaczyna się dziwnie kurczyć, coraz trudniej się w niego zmieścić, jak w uprany niezgodnie z zaleceniami producenta wełniany sweter. W miejscowości, w której zatrzymuje się na ostatni postój, staje się mimowolnym świadkiem chrztu. Przed kościołem (słynnym z bogatego ołtarza i wielkich, wciąż znajdujących się w znakomitej Formie osiemnastowiecznych organów, jak donosi przewodnik) zauważa szykujących się do zbiorowego zdjęcia odświętnie ubranych ludzi zgromadzonych wokół kobiety z dzieckiem na ręku. Tak, oczywiście, mogłaby zrobić zdjęcie, wystarczy tutaj nacisnąć, prawda? Poszerzają swoje uśmiechy, gdyż czują, że za chwilę migawka strzeli śmiertcionośnie. Dziękujemy bardzo, mówią, ale nie ma za. co, odpowiada Karolina. Dziecko jest spokojne, w ogóle nie płacze, a przecież dusze ich wszystkich zostały bezpowrotnie ukradzione jednym celnym strzałem, bo nikt nie zadbał, by podczas robienia zdjęcia skrzyżować palce. Pogrzeb, wesele i chrzest - czy powrót z trumiennego domu zasługuje na coś więcej niż skojarzenie z codziennym rytuałem śniadania, obiadu i kolacji? Podróże przynoszą zazwyczaj bogactwo śmiertelnych obrazów, każdorazowo roztaczając przed oczyma nowe, makabryczne widoki: zakrwawione, potężne ciało jelenia, który nie zdążył przebiec drogi i zderzył się z ciężarówką; potracone psy, których zwłoki wrzucono do rowu; psy rozjechane, których rozprasowane ciała pod kołami kolejnych samochodów coraz bardziej wgniatane są w asfalt, tak że trudno już zgadnąć, gdzie jest ich głowa, a gdzie ogon, bo zostaje tylko pokrwawiony strzęp Futra z uwolnionymi wnętrznościami. Czasami z krwawej, bezkształtnej masy wystają jedynie cztery sztywne, zupełnie bezradne łapy, uniesione tak, jakby usiłowały zatrzymać nadjeżdżający pojazd. Bywa też, że w kolejnych kadrach utrwala się obrazy ciał ludzkich, które usunięte na pobocze z nieodwołalną już cierpliwością czekają na przybycie odpowiednich służb. Obok nich leży zwykle rower z przekrzywionym kołem, w pobliżu zazwyczaj stoją jakieś samochody, pojazdy sprawcy i świadków. Niekiedy widać, jak sanitariusze pakują trupa do ambulansu, policjant wciąż coś

notuje w swoim małym zeszycie, wszystko się kończy, właśnie demontuje się dekoracje i sprzęta, a widzowie już się rozchodzą. Karolina natyka się na te znaki co kilkadziesiąt kilometrów: psy, ludzie, samochody, wszystko zdeformowane i odkształcone. O ile jednak psy i samochody nie przypominają już tego, czym były przed wypadkiem, o tyle ludzie nadal zachowują uparcie niezaprzeczone do siebie podobieństwo (co za ośli upór, co za dziwne przyzwyczajenie). Karolina najlepiej jednak zapamiętuje jelenia - jego duże, oble, skąpane w refleksach samochodowych świateł ciało, po którym spływają strużki bardzo jasnej krwi, zawsze bardziej przerażającej niż ciemna, zaschnięta lub przetrawiona, czasami spływająca z chorych jelit. Karolina nie może znieść obrazu martwego jelenia, tak jak nie godzi się z widokiem rozjechanych psów, choć ich ogromna liczba nieco ją znieczula. Być może, myśli, gdyby co kilometr leżał martwy jelen, też bym zobojętniała. Gdyby zamiast słupków odmierzających drogę pojawiały się zmasakrowane psy, krowy i jelenie, przestałyby zauważać ich tragedię bez życia po życiu, nie przerażałaby jej doszczętna zagłada rozerwanych psich ciał zrzucanych do przydrożnych rowów, by tam gniły do końca, a Fetor ich rozkładających się ścierv rozmywał się w wietrze sunącym po przydrożnych polach, rankami zakrytymi mokrą mgłą, a wieczorami spowitymi gęstymi dymami. Karolina jedzie drogą znaczoną przez małe przydrożne krzyże postawione w miejscach śmierci kierowców, pasażerów, pieszych i rowerzystów. Lepiej, gdy są obwieszane kwiatami, ale nie rozświetlone przez znicze, i znikają po zmroku, nie rozpraszając uwagi kierowców. Kiedy wreszcie wjeżdża do swojego miasta, z ulgą stwierdza, że znaki śmierci ustępują ostatecznie miejsca znakom życia - wielkim, kolorowym tablicom reklamowym, neonom, podświetlanym szyldom. Konsumpcja, do której zachęcają billboardy, to nowy projekt istnienia. Tymczasem małe krzyże nie dają o so66

bie do końca zapomnieć - gdy Karolina sunie w strumieniu samochodów nadrzecznym bulwarem (trzy szerokie pasma oddzielone pasem zieleni poprzetykanym billboardami), co jakiś czas zaskoczona z przerażeniem dostrzega kolejny krzyż, złowieszco przycupnięty obok drzewa bądź latarni. Kiedy wróci do domu, zacznie nerwowo czytać kupioną po drodze gazetę. Przerzucając kolumny i sunąc wzrokiem po szpaltach, bez zdziwienia natrafi na niedużą notkę o śmierci chórzystki z operetki, która w trakcie przedstawienia *Wielka sława to żart* wyskoczyła przez okno. Jej leżące na asfalcie ciało, ubrane w kostium ze sztuki i martwą ręką dzierżące bukiet kwiatów (notka nie precyzuje, czy to operetkowy gadżet, bukiet od wielbiciela, czy też specjalnie dobrany na tę okazję aktorski rekwizyt), zostało zauważone przez sprzątaczkę. Krótki tekst nie podaje nawet inicjałów chórzystki, precyzuje za to jej wiek - Karolina dowiaduje się, że były rówieśnicami. Czy mogły się znać? A może nawet chodziły

do jednej szkoły, do tej samej klasy - nie wie przecież, co się stało z większością jej szkolnych koleżanek. To oczywiste, że stare przyjaźnie ustępowały miejsca nowym, może krótszym niż szkolne, ale często intensywniejszym. Karolina nie przypomina sobie jednak, aby którakolwiek z jej koleżanek zdradzała muzyczne talenty; o niczym to jednak nie świadczy, nie wiadomo przecież, co się z nimi działo przez tyle osobnych lat: przerwały się nici przyjaźni, rozjechały wspólne drogi znajomości. Można tylko snuć bezowocne przypuszczenia: tamta blada, wodnista jak cytrynowy sorbet dziewczyna, która przychodziła na lekcje rzadko, bo ciągle była na zwolnieniu lekarskim, powinna (jeśli zdamy się na nieubłaganą logikę) już nie żyć. Podobno ciężko chorowała na serce, więcej czasu spędzając w szpitalach i sanatoriach niż w szkole. Powinna teraz spoczywać w pokoju na którymś z wielkich miejskich cmentarzy, chyba że jej zwłoki przewieziono do jakiejś malej miejscowości, z której pochodziła, i tam leży wciśnięta w ostatnie wolne miejsce, tuż przy murze, a nad nią nachyla się troskliwie wielki orzech. Co się stało z innymi, Karolina nawet nie chce zgadywać, bo instynktownie wie, że bez względu na to, gdzie, z kim i jak żyją, w większości są rozpaczliwie samotne i nie ma znaczenia, czy pchają przed sobą wózki z dziećmi, wózki w hipermarketach czy tylko bagaż nieimponujących wspomnień, bo i tak uparcie brną dalej w swoje bezbarwne życie, stopniowo pogrążając się w nicości. Chórzystka też z pewnością marzyła kiedyś o błyszczącej we fleszach sławie, chciała być pierwszym głosem operetki, a stać ją było tylko na demonstracyjny, pusty gest podczas sztuki *Wielka sława to żart*, kolejny jałowy pomysł na unieśmiertelnienie. Tymczasem przeminęła bez swoich pięciu minut, uleciała jak sen, który znika zaraz po przebudzeniu i nigdy nie wraca. Wszystko to żart, który zapomina się zaraz po usłyszeniu, jeszcze zanim wybrzmi wymuszony śmiech - gazeta nie podała nawet jej inicjałów, rysopisu, niczego. Pozostała anonimową rówieśnicą Karoliny. Nie upominamy się przecież o przebrzmiałe dowcipy, tak jak czasami upominamy się o niedocenionych pisarzy albo malarzy, których dzieła nagle i zaskakująco zyskują na wartości, choć, oczywiście, Karolina dobrze o tym wie, nie ma to już najmniejszego znaczenia. Skoro liczy się tylko życie, głos chórzystki nie nabrał poprzez jej śmierć nowej barwy, nie wzbogacił się o ani jedną oktawę. Ubył co najwyżej jeden potencjalny głos w wyborach samorządowych, które odbędą się w kilka dni po tej tragicznej śmierci. Jakie poglądy polityczne mogą mieć operetkowe chórzystki? Radykalne, umiarkowane? Socjalistyczne czy narodowo-katolickie? Wszystko to żart: wielka sława, światowa polityka, makroekonomia i kultura wysoka, wybory i operetkowe przedstawienie, a najbardziej samotność i niezrealizowane marzenia anonimowej chórzystki, spuentowane żalonym skokiem z okna w kostiumie, groteskowo imitującym suknię ślubną.

Natomiast on, tajemniczy, milczący podróżny, jak co roku samotnie wyjeżdża nad morze, kiedy kończy się lato i wybrzeże się wyludnia. W ostatnie dni lata, które dziwnie lubi, wynajmuje nieduży pokój w zawsze tej samej miejscowości, położonej na szerokim cyplu, uparcie wbijającym się w zimne, brudne morze. Zatrzymuje się w tym samym skromnym pensjonacie, w którym w zeszłym roku poprawiał z wymuszonym przekonaniem swoją bezsensowną książkę, poświęconą poszukiwaniu własnej dykcji przez nowe pisma artystyczne. Nadmorski pensjonat, nieco oddalony od ulicy i od wybrzeża, skryty wśród szumiących drzew, potrącanych zaczepnie przed morski wiatr, może być wymarzoną miejscem akcji dla erotycznych dramatów, samotnych rozliczeń z tajemnicą, z przegranym życiem, ze straconą miłością i upadłą wiarą. Powinny się tu rozgrywać sztuki skandynawskich dramaturgów albo filmy francuskich reżyserów - myśli, wyglądając przez okno swojego pokoju - zupełna pustka, tak dużo pustki i tyle obsesji w głowie. Nadmorski pensjonat jest archetypem, a on tutaj zwykłym, ponurym typem, przywianym po sezonie przez zimny wiatr. Niedogolony, mizantropijny, przechadza się samotnie po lesie, nie wchodzi w żadne relacje ani z niedobitkami letników, ani z miejscowymi. Całkiem usprawiedliwione byłoby więc podejrzenie, że mamy do czynienia z maniakałnym prześladowcą ukrywających się zbrodniarzy, psychopatycznym osobnikiem toczącym swoją własną wojnę ze społeczeństwem, a może nieustraszonym zabójcą wampirów, ostatnim Obcym, któremu udało się umknąć z rzezi urządzonej przez tajne służby, jedynym żyjącym, cudem ocalałym z niezauważonej Apokalipsy, jakiegoś niewielkiego Armagedonu, któregoś kolejnego końca świata. A może to szlachetny morderca, smutny zabójca czy zbrodniarz pełen miłości, szaleniec wypełniony współczuciem? Albo wierny czytelnik map, poźółkłych skryptów, osamotniony bibliofil, subtelny eseista w pół drogi do rozpacz, melancholijny prozaik bez weny, namiętny kolekcjoner starych zdjęć, ewentualnie fotograf amator obsesyjnie utrwalający rzeczywistość w poszukiwaniu jednej stop-klatki zdolnej uchwycić absolutnie wszystko?

Zaopatrzonego w swój ego nikon, idzie plażą pod wiatr zacinającym deszczu. Buty zapadają się w mokrym piasku, fale zbliżają się i cofają, plaża jest pusta, odsłania się filmowa sceneria z pierwszych dni po sezonie. On nie fotografuje jednak morza, plaży, bliskiego lasu, choć mógłby przecież utrwalać podnoszącą się od dna ku niebu wodę i zrzucając ją z siebie piasek. Pochyla się nad malowniczą grupką kamieni i nastawiając obiektyw, słyszy od jakichś przechodniów: cóż takiego da się zobaczyć w grupce kamieni oblewanych przez słoń i brudną wodę? Kosmos, odpowiada im bez odwracania się, wielką czarną pustką, i słyszy ich kroki grzęznące w piasku, czuje, że odchodzą w kierunku nieodległej latarni morskiej. On zaś

wchodzi w las, zabezpieczając swoją broń, idzie między drzewami, a ich szum zlewa się z szumem morza, wiatr łączy się z wodą, woda łączy się z ziemią, wszystko się łączy w jego głowie: klasyczny nadmorski pensjonat (a w nim on ze swoim aparatem w małym, standardowym pokoju leży na łóżku, patrząc w sufit, pali, podchodzi do okna i spogląda na morze), wszystko-wiedząca, choć ze wszech miar godna zaufania właścicielka (pensjonat jest ceniony właśnie ze względu na jej dyskrecję), obiad o godzinie 14 (kuchnia smaczna i pożywna, choć może trochę za tłusta, a jego wątroba jest coraz mniej tolerancyjna), pozostałe posiłki we własnym zakresie (rano wystarcza kawa, a wieczorem kanapki), pustka letniska, resztki niewyraźnych wspomnień, popołudniowa nostalgia, stygnące słońce, strzępki lokalnej gazety, z tego wszystkiego wyłania się szampa. Spaceruje po miejscowości, szukając detali wartych jego drogiego obiektywu. W fotograficznych obrazach najbardziej bowiem (to oczywiste, cóż bowiem smakowitszego) lubi detale. Dopiero po powrocie znad morza wywoła i wysuszy zdjęcia, rozłoży je na stole w swoim mieszkaniu i sącąc z kubka herbatę, będzie przyglądać się przyłapanym na gorącym uczynku szczegółom: odrapanej okiennicy wiszącej na jednym zawiasie, fragmentowi balkonu zagrożonego zawaleniem, wąskiemu przejściu pomiędzy dwoma dużymi domami, małemu, czarnemu psu w rogu zdjęcia - pokracznemu kundłowi, na którego nikt spośród mających świadomość bycia namierzonymi przez obiektyw nie zwraca uwagi. Przez ich głowy przelatują właśnie myśli, że oto są utrwalani przez fotograficzną pamięć aparatu, którym steruje ten przyjezdny, dziwnie spóźniony turysta, że ich fantomy znajdą się kiedyś w albumach, zawisną w antyramach na ścianach galerii, że ozdobią zbiory erudycyjnych szkiców, a przynajmniej spoczną w jakimś bezpiecznym miejscu, i w ten sposób uda im się trochę dłużej przetrwać we wzrokowej pamięci innych. Prawdziwsze jednak od ludzi są zwierzęta uchwycone przez nie zawsze obiektywny obiektyw: one nie uśmiechają się nieszczercze, nie ściągają ust ani pleców, nie poprawiają tuż przed strzałem migawki swojej sierści. Dlatego on fotografuje snujące się po ulicach wyludnionej miejscowości bezpieczne kundły, które już za chwilę mogą znaleźć śmierć pod kołami rozpędzonego, nieuważnego samochodu albo zostać zakatowane przez oszalałych w delirium byłych kierowców autobusów, zwrotnicowych z pobliskiej stacji kolejowej, bezrobotnych hydraulików. Ludzie pojawiają się sporadycznie, gdzieś w rogu zdjęcia, niczym przypadkowo uchwyceni mordercy na miejscu zbrodni. Kryją się w cieniach, za załomami, śledzą go, wyczekują najlepszego momentu. Zabiją go, żeby odzyskać kliszę. Oto powiększenie - on uważnie ogląda kolejne odbitki. Koncentruje się. Gdyby miał krawat, rozluźniłby go; gdyby palił, sięgnąłby po papierosa; gdyby pił kawę, pociągnąłby łyk gorącego napoju, a jego aromat rozszedłby się po całym mieszkaniu, wnikać we wszystkie

zakamarki. Tymczasem nie wykonuje żadnych teatralnych ruchów i nie czuć ani dymu papierosa, ani aromatu kawy. Może żuje gumę albo ssie cukierka? Nie wiadomo. Skupiając się, wyteża psujący się wzrok. Penetruje zakamarki słabej pamięci, uporczywie wbija oczy w trzecie plany, na jego twarzy maluje się zarazem skupienie i ulga. Znajduje? Na pewno, tylko kiedy i gdzie? Gdzie uchwycił ten moment: czy przeszła nagle i szybko przez główną ulicę miejscowości, czy wypatrzył ją na wydmach, skąd samotnie obserwowała nieskończoność wody, czy też w pustej kawiarni nad stygnącą, rozstającą się ze swoim aromatem kawą, kiedy sięgała po papierosa albo właśnie go gasiła, płaciła rachunek i szybko wychodziła. Czy sięgnął po aparat przypadkowo, czy wyjął go gwałtownym ruchem, nagle poruszony jakimś fragmentem rzeczywistości, a może zachowywał się jak rasowy paparazzo? Pewnie ścigał na skuterze uciekający samochód z Łady Di w środku, wspinał się na wysoki mur, wdrapywał na drzewo, by uchwycić ją nagą nad brzegiem basenu w objęciach znanego milionera; jestem w objęciach samotności, powiedziała wtedy, bo miała niejaką skłonność do patosu ocierającego się o pretensjonalność; można też byłoby ją sfotografować przez najdłuższy teleobiektyw i pokazać na jachcie, gdy opala się na dziobie zacumowanego niedaleko od brzegu statku albo siedzi ponętnie na rufie, jak jaszczurka wyleguje się na rozgrzanym pokładzie, gdy wskakuje do przejrzystej, błękitnej tom t sunie przez nią w dół, coraz niżej, niczym Martin Eden, by jednak w ostatnim, decydującym o wszystkim momencie z resztkami powietrza w płucach odbić się gwałtownie w górę, wyswobodzić się z ramion niebezpieczeństwa i zwycięsko przebić głową powierzchnię wody. On jedzie teraz wzdłuż rzeki z dzielnicy południowej do północnej, aparat fotograficzny leży na siedzeniu pasażera jak naładowany pistolet, po który być może będzie trzeba szybko sięgnąć, choć na razie się na to nie zanoszą. Nie śledzi jej, za nim też nikt nie podąża, w każdym razie nie zauważył żadnego samochodu uparcie siedzącego mu na ogonie, mimo że co jakiś czas spogląda w skupieniu w lusterko. Ciemno, światła zmęczonego miasta odbijają się w czarnej jak karoseria jego samochodu wodzie i zupełnie nie wiadomo, co się pod jej taflą dzieje. Wiosną, gdy woda wzbiera, na brzegu gromadzą się ciekawscy i patrzą, przyjmując zakłady, czy fala dojdzie do wyznaczonego przez nich poziomu. Przynoszą ze sobą alkohole, czasami jedzenie, siadają i czekają, mają swoje *reality show*, *katharsis* dla ubogich. Woda się zbliża, rzeka się poszerza i domy po drugiej stronie wyglądają, jakby wyrosły wprost z wody, a ich fundamenty ugrzęzły w mulistym, cuchnącym dnie, po zatopionych piwnicach snuły się bezwładne ciała topielców, po wąskich korytarzach pływały zmutowane, jadowite mureny, potworne, węzowe ryby wytrzymałe na najstraszniejsze chemiczne zanieczyszczenia. Woda, pokonawszy nadbrzeżne schody, przez nikogo niepowstrzymana bez wysiłku, dociera do ścieżki rowerowej, lecz

nadal nie wiadomo, co ze sobą niesie. Ludzie nie czują lęku, bo wierzą, że wszystko, co wokół nich się rozgrywa, jest opłaconym spektaklem. Piją, palą i patrzą z niewzruszonym przekonaniem, że to, co dzieje się naprawdę, jest tylko na niby; tak samo postrzegają przecież wiele innych podobnych wydarzeń: katastrofy lotnicze i budowlane (jakie piękne katastrofy), trzęsienie ziemi (trzęsą im się tylko wielkie brzuchy), ostrzał artyleryjski (jedynie strzały na wiwat są w stanie uznać za realne), wybuch gazu (wyłącznie wybuchy wściekłości są uzasadnione), wielki pożar lasu (tylko filmowe pożary serc uznają za prawdziwe), powódź zalewającą wielkie niziny (można tonąć co najwyżej w niespłaconych kredytach). Woda zalewa ścieżkę i pnie się ku jezdni, którą mknie jego samochód, zagraża przydrożnym krzyżom przycupniętym obok drzew i latarni, jeszcze chwila, a spłyną one ku morzu jak rzucane na wodę wianki. On ucieka przed tą wodą, gonią go szybkie fale, niczym senni mordercy w mokrych lasach, przez które kiedyś biegł zdyszany, nie mogąc wydostać się z ramion nocy. Teraz też czuje, że koła jego samochodu buksują w miejscu, i widzi we wstecznym lusterku, że fala rośnie gwałtownie. Rzeka sunie niepowstrzymanie wzdłuż drogi, powoli ją zalewa, zbliża się, a on tkwi zupełnie bezradny, równie bezsilny jak wtedy, gdy Karolina wychodziła z budynku instytutu, a on jej wyjściu nie mógł nic przeciwstawić. Ogromna tsunami, wlewając swoją morderczą odnogę, zamierza zakryć go wraz z samochodem oraz jego rozlicznymi pomysłami i wspomnieniami, różnymi wersjami tej samej historii, w połowie drogi między prawdą a zmyśleniem, literaturą i życiem, pamięcią i zapomnieniem. Nim się z tej wielkiej fali niezdecydowania otrząśnie, minie skrupulatnie obliczony czas i wszystko trzeba będzie odłożyć na później, gdy znów pojawią się sprzyjające warunki. Szczegółowy plan zostaje złożony w zaplombowanym sejfie, zdeponowany w niedostępnym miejscu. Potem mijają nieistotne miesiące i nastaje zima. Karolina dziwnie lubi zimowe przedzimerzchy, kiedy już przed czwartą zaskakująco szybko szarzeje i ogromne stada wron podrywają się nie wiadomo skąd, by z głośnym krakaniem krążyć nad jej domem i okolicą. Nikt nie wie, ile ich jest, są niepoliczalne, wciąż w ruchu, opadają ku ziemi czarnym, głośnym dywanem i podrywają się zaraz potem ku niebu, prawie je zasłaniając, niczym groźny sztandar. Wtedy oczywiście przypomina jej się klasyczny film Hitchcocka, ale odrzuca szybko te skojarzenia, bo wrony krążące nad jej ulicą - jako wcielenia wcale nie ptasich istot - wydają się bardziej przerażające niż oszalałe mewy. Nad tą interpretacją z pewnością ciąży pamięć podrzędnych horrorów i powieści gotyckich, lecz owa wizja przemawia do wyobraźni Karoliny: tysiące opętanych dusz zamkniętych w ptasich ciałach, ukrytych pod gęstymi, czarnymi piórami, potępieńczo kraczących, wylania się nagle ze swoimi wartymi filmów i powieści historiami albo też zupełnie nieciekawymi życiorysami.

Czy są to szaleńcy, mordercy, oprawcy, politycy, czy też urzędnicy średniego szczebla, prawnicy, komornicy, dobre żony, pracownicy mężowie, a może dziennikarze i pisarze, piosenkarze i piłkarze, dawni bywalcy salonów, salonowe lwy, przebiegłe szczury i podstępne śwynie? Karolina obserwuje ptaki, gdy głośnym wysiłkiem usiłują piąć się ku niebu czarną, zmienną plamą, niczym miliony szpaków nad Rzymem próbujących umknąć pazernym szponom sokołów. Potem nagle skrzydlate monstra znikają, spadają w ukrytą piekielną czeluść; wszystko milknie, by mógł nadejść zmierzch. I to jest najgorszy moment dla Karoliny - przed nią nie ma już nic prócz nocy. Teraz Karolina jest sama ze swoimi wyłażącymi z kątów myślami, ze scenami zapamiętanymi z filmów, z frazami znanymi z powieści. Teraz powietrze czernieje prawdziwie. I teraz naprawdę robi się strasznie. On idzie do fryzjera. W zakładzie panuje pustka - nie ma gwaru, brzęczenia maszynek, delikatnego szczękania nożyczek, nie krzątają się pomocnice zmiatające podłogi resztki włosów, klienci nie gładzą się niepewnie po głowach, nie przeglądają krytycznie w lustrach, robiąc dziwne i groteskowe miny jak surrealiści na starych zdjęciach, nie przejeżdżają sobie dłońmi po karkach, nie przebierają palcami za kołnierzem, próbując wygonić łaskoczące ścinki, ani nie strzepują z ramion resztek zdekapitowanych włosów. Tylko nieusuwalny zapach zakładu Fryzjerskiego i zdjęcia z niemodnymi już w tym sezonie Fryzurami przypominają o celu wizyty. On siada na Fotelu, wbija ręce w oparcia, jakby zasiadał w samolocie, ściskany mocno wół przez swój nieuleczalny lęk przed lataniem, a młoda, na oko dwudziestoletnia fryzjerka, która sama właśnie przed chwi

76
lą musiała zejść z podobnego Fotela, bo jej włosy są w totalitarnym porządku, niczym stewardesa przyzwyczajona do uspokajania przerażonych pasażerów, lekko ujmuje jego głowę w swoje drobne ręce. On lubi ten dotyk, od którego przenika go na moment chłód, czuje na ciele gęsią skórę, a potem nagle ciepło i senność. Fryzjerka trzyma w dłoniach jego głowę jak delikatna Salome, czuła królowa Margot, subtelna Judyta i ogląda go w lustrzanym odbiciu, przez chwilę patrzą sobie w oczy, wyglądają prawie jak para z portretu ślubnego, on siedzi, ona za nim stoi, ona dwudziestoletnia, on starszy, już z oznakami znużenia na twarzy, zmęczenia ciężkimi porankami, wymyślanymi historiami, niechcianymi podróżami. Ją interesują jednak tylko włosy, nie twarz, w każdym razie nie jego twarz, taka banalna, nie to, co może się w jego ciężkiej głowie kryć, lecz tylko to, co ją przesłania, porasta rzadko i nieciekawie. Fryzjerka nie zastanawia się, kim on jest, czy jego dowcipy bawią towarzystwo, czy też jest nieśmiałym odludkiem, czy jego cięty język ucisza przemądrzałych głupców, czy jego umysł ogarnia świat, czy też tego świata nijak nie pojmuje. Interesuje ją wyłącznie materia włosów - ich faktura, gęstość, uległość wobec jej rąk; woń nada im za chwilę, gdy

zanurzy tę głowę w szamponowej pianistości. Jeśli włosy nie ulegną, jeśli stawiają jej opór, ona zrobi się zła, zmarszczy brwi i zaciśnie mocno pełne usta, jej ręce stracą swoją delikatność, staną się dłońmi mordercy. Fryzjerka unosi jego włosy, potem je opuszcza, obserwując, w jaki sposób opadają, krzywi się lekko, widocznie niezadowolona z efektu. Jej twarz wyraża dezaprobatę - trudno powiedzieć, czy z powodu włosów (rzeczywiście, zbyt rzadkie, o pospolitej strukturze i barwie nie mogą zachwycić, nawet zainteresować), czy też innych, jej tylko wiadomych przyczyn. Bo przecież nie może to być dezaprobata dla jego życiowych poczynań, jego zawodowych i osobistych klęsk albo przegapianych sukcesów, nieudanych zdjęć, spóźnionych naciśnięć migawki losu. Jestem narratorem niewszystkowiedzącym, dlatego tak często zadaję pytania, jednocześnie nie dając na nie odpowiedzi. Na przykład: Czy to możliwe, żeby ta młoda Fryzjerka знаła jego rozprawę o wpływie twórczości awangardowych prozaików i poetów z grupy OuLiPo na drukowaną w hermetycznych pismach literackich lirykę najmłodszego pokolenia? Czy jest prawdopodobne, żeby zetknęła się z wydaną przez pewne niewielkie, choć prężne wydawnictwo broszurą zatytułowaną *Między mową wysoką a niską - czas przelomu? czas nadziei*, poświęconą poszukiwaniu własnej dykcji przez nowe pisma artystyczne? Czy przypadkiem nie widziała zrobionych przez niego zdjęć przedstawiających smutek nadmorskich miejscowości po sezonie (wisiąły przez jakiś czas w modnej kawiarni z artystycznymi ambicjami)? To raczej mało prawdopodobne, żeby Fryzjerka była dorabiającą sobie studentką któregoś z humanistycznych Fakultetów, tak jak mało prawdopodobne jest to, iż mamy do czynienia z pasjonatką, która czas wolny po pracy w zakładzie Fryzjerskim „Giuseppe” poświęca na czytanie tego typu - niszowych przecież - rozprawy chodzenie do snobistycznych kawiarni, gdzie przesiadują raczej stylistki kolorowych magazynów. Bardziej prawdopodobne jest to, że czas wolny spędza ze swoim narzeczonym w multipleksie lub na dyskotecce - o ile oczywiście takiego narzeczonego posiada, o ile jej gorzka mina nie jest świadectwem, że właśnie narzeczonego utraciła. Jak mogło do tego dojść? Czy to tylko rutynowy antrakt, typowy dla wielu związków, spowodowany zwykłą sprzeczką, o której być może jutro już oboje nie będą pamiętać? A może rozstanie na zawsze? Do kiedy to „zawsze” będzie trwało? Dzień, tydzień, a może rzeczywiście „zawsze” i nawet śmierć ich nie połączy? Jak do tego doszło? Może on wolał towarzystwo kolegów, z którymi chodził na mecze ukochanej drużyny (stąd jej zazdrość, bo musiała się nim dzielić nie tylko z jego pięcioma najbliższymi przyjaciółmi, ale także z jedenastoma spoconymi mężczyznami w krótkich spodenkach, wobec których odczuwała jedynie pogardę i niechęć)? Albo może ciągle się upijał, poniżając ją wtedy z wyraźną i nieskrywaną satysfakcją? Mój problem jako narratora niewszystkowiedzącego

połega oczywiście przede wszystkim na konieczności używania nieprzyzwoitej wręcz ilości pytajników. Te wszystkie, w pewnym momencie nudne i męczące: „a może było na odwrót?”, „a co się później stało z tą kobietą?”, „czy spotkali się jeszcze kiedykolwiek?”. Te niezliczone pułapki nierozstrzygnięć, wilcze doły pytań retorycznych, ten pozorowany, kulejący, nieudany dialog z czytelnikiem, siedzącym w głębokim Fotelu, patrzącym uważnie w akapity, pogrążonym w karkołomnej lekturze z niemym pytaniem cisnącym się na usta: o co tu chodzi, czy to kolejna nieudana powieść o pisaniu powieści? Nie ma bowiem co liczyć na powtórkę *z Jes'li zimową nocą podróżny...* - nieodparta różnica klas, przedzielona mariańskim rowem możliwości. Czytelnik rzuca książkę na podłogę i nastawta płytę albo wodę na herbatę. A ja zostaję sam na sam z pytaniami, na które nie umiem w żaden sposób odpowiedzieć. Gdybym rzeczywiście wiedział wszystko, co dotyczy ludzi przewijających się przez tę historię, nie byłoby z nią żadnego problemu, bo nie byłoby wcale tej historii. Siedziałbym zupełnie gdzie indziej, czytelnik rzucałby całkowicie inną książką (albo zaczytany w najnowszej powieści zupełnie innego autora, zapomniałby o wodzie nastawionej na herbatę), gdzie indziej byłaby też Karolina, o której właśnie w tym momencie bohater sobie przypomina, wyobrażając sobie jej delikatne palce, przesuwające się delikatnie po jego zmęczonej głowie w relaksującym masażu. Gdzie więc byłaby Karolina, gdyby nie było całej tej historii, gdybym nie usłyszał jej nazwiska w taksówce tkwiącej w korku? Gdzie usłyszałbym nazwisko Karoliny, jeśli nie w tamtym samochodzie? W pubie, do którego nie chodzę, w tramwaju, kto-rym nie jeżdżę, na zebraniu stowarzyszenia, do którego nie należę? Zapewne warto mówić jedynie o tym, co nieoczywiste. Tymczasem niestety nie widzę innego wyjścia, jak tylko używać asekuracyjnych pytajników, może kiedyś uda się odpowiedzieć na te nieprzyzwoicie piętzące się pytania. Na razie zostają tylko spekulacje. On, powiedzmy, skończył swój związek z ekscentryczną malarką sposób gwałtowny, nawet trochę teatralny. Teraz postanowił coś w swoim życiu zmienić, więc uprzedzając jej ruch (żywimy się stereotypami, które mówią, że kobieta, gdy zmienia swoje życie, zmienia też fryzurę i kupuje sobie nowe sukienki), sam idzie do zakładu fryzjerskiego i oto właśnie siedzi na fotelu, a młoda, raczej nieekscentryczna Fryzjerka trzyma w dłoniach jego głowę. Co się dzieje teraz z głową malarki, nie wiadomo. Czy właśnie farbuje sobie włosy na marchewkowo? Czy siedzi pochylona nad stołem i trzyma głowę w dłoniach rąk wspartych oblat? Czy jej głowa wychyla się ciekawsko ponad innymi głowami, by zobaczyć przystojnego mężczyznę, wskazanego jej przez przyjaciółkę, która postanowiła właśnie pomóc malarce w skierowaniu życia na zupełnie nowe tory? Fryzjerka zabiera się za jego głowę, najpierw ją myje. Czy nie za ciepła woda?, pyta ciepłym głosem; może troszeczkę, odpowiada on i Fryzjerka reguluje ciepłość wody; teraz dobrze?, po prostu

wspaniale, mówi zupełnie szczerze, bo jest mu dobrze, ogarnia go senna rozkosz i przypomina sobie, że najbardziej mu potrzeba właśnie snu bez snów, że nie pragnie niczego oprócz długiego, relaksującego spania, doskonałego letargu ciągnącego się całymi tygodniami. Ona dotyka delikatnie jego głowy, gładzi ją powoli, rozprowadzając szampon i wcierając go w skórę; mogłoby to trwać w nieskończoność, myśli on, ale ona już spłukuje pianę z jego głowy, a potem narzuca na tę głowę ręcznik, obiema rękami przytykając go do jego twarzy, przez chwilę jej dłonie nieruchomieją, jakby chciała, żeby na ręczniku został jego wizerunek. Wreszcie zabiera ręcznik, mokre, zmierzwione włosy wyglądają groteskowo, pną się we wszystkich kierunkach, zbijają się w małe grupki, ona je rozdziela, czesze, wyrównuje, nadaje im gramatyczny porządek, w prawej ręce ma srebrny grzebień, drugą delikatnie przytrzymuje jego głowę, żeby nagle nie odpadła i nie potoczyła się po podłodze właśnie zamiecionej z resztek cudzych włosów. Przypomina mu się bardzo dawno temu oglądany film, w którym oszalały fryzjer mordował swoich klientów. Gdy ci rozsiadali się wygodnie w fotelu, golibroda-morderca, opatuliwszy wcześniej ich szyje białą chustą, naciskał tajemny pedał i Fotel wraz z klientem gwałtownie i efektownie przechylał się do przodu, oczom przerażonych widzów ukazywała się tajemna otchłań, w którą wystrzelona jak z katapuły ofiara wpadała bezwładnie i bezbrinnie, z tłumionym krzykiem przerażenia lecąc przez ciemny, kręty tunel, prowadzący do głębokiej, tajemnej piwnicy. Kiedy zaskoczona i potłuczona postać usiłowała się podnieść i zrozumieć, co się stało, Fryzjer-rzeźnik już powoli, lecz nieodwołalnie schodził do piwnicy po ukrytych schodach, trzymając w ręku rzucającą srebrny połysk doskonale naostrzoną brzytwę. Potem przerabiał wszystkich na kielbasy, bardzo chwalone w restauracjach, do których je sprzedawał godny zaufania dostawca (szczególnym powodzeniem cieszyły się te grillowane, serwowane z ostrym sosem). Natomiast kości i resztki mięsa, które nie nadawały się do przetworzenia, roztopiał w wielkiej wannie z gaszonym wapnem, ukrytej w ogrodzie gęsto porośniętym chwastami, doskonale zaniedbanym, a więc wymarżonym na te potrzeby. Trumienny ogród Karoliny również zarastał gęstymi chwastami, bo właścicielka wołała chaotyczny porządek przyrody od pedanteryjnego nieporządku ogrodników. Zamiast zajmować się ogrodem, spędzała czas, spacerując po wielkim lesie albo wzdłuż jeziora, szczególnie gdy miejscowość zupełnie się wyludniała, opuszczone zostały pensjonaty i wszyscy turyści wreszcie wrócili do domów, bo następował ostateczny odpływ końca lata. Teraz jednak Karoliny także już tam nie ma, porzuciła Trumny wraz z ogrodem, który niszczy sam dla siebie, chwasty splatają się w śmiertelnych zapasach, ostatnie kwiaty padają pod ciosami barbarzyńców, roślinni Morlokowie wychodzą z ukrycia i pożerają delikatnych Ełojów, gąszcz zaciemnia pejzaż i

szaleją złe moce. Karolina nigdy już tam nie powrócił. Fryzjerka w dwóch palcach trzyma część jego grzywki, precyzyjnie wyznaczając granicę cięcia. To, co jest powyżej tych palców, zostanie ucięte; to, co poniżej, pozostanie. On szukał latami tej granicy, zbliżał się do niej, lecz coś nie pozwalało mu jej przekroczyć, pomyślał przez chwilę o zielonych granicach, nielegalnych górskich szlakach prowadzących na jakąś nieokreśloną drugą stronę - na drugą stronę lustra, na drugą stronę jej ogrodu, który musiał skrywać w największym gąszczu sekretną bramę, na drugą stronę ogrodu ziemskich rozkoszy, których nigdy nie zaznał, doznając jedynie nieziemskich cierpień. Gdzie jest owa sekretna brama, w jakiej skrytce rdzewieje otwierający ją klucz, jakie rośliny rosną po tamtej stronie i jakie zwierzęta się tam przechadzają? Karolina wciąż tam przechodzi i nigdy mnie ze sobą nie zabiera, wraca zawsze milcząca i spokojna, nie poznaje znajomych, wchodzi pomiędzy nich i idzie, nikogo nie zauważając, patrzy, jakby nie widziała, słucha, jakby nie słyszała, mówi, jakby uparcie milczała. Jej ciało przenika ściany i drzwi, jej usta są blade, a chód niesłyszalny, nie czuć od niej żadnego zapachu: perfum, szamponu, ubrania, podniecenia. Potem znów znika i nikt się nie pyta, co się z nią dzieje, czy wyjechała i na jak długo, a jeśli tak, to z kim bądź do kogo, i gdzie jest cel tej podróży, co stamtąd przywiezie - czy ubrania, których tu nikt nie nosi, pachnidła, którymi żadna ziemská kobieta nie pachnie, makijaż, którego nikomu tu wcześniej nie było dane widzieć? A jeśli nic z tych rzeczy, to czy przywiezie przynajmniej wspomnienia, czy też nie będzie pamiętała ani rozmów, które tam przeprowadziła, ani długich, dziwnych opowieści, których wysłuchała, ani tajemniczych miast, które zobaczyła, niepokojących ludzi, którzy w tych miastach mieszkają, dziwnych zwierząt, trzymany w domach, groźnych roślin, pielęgnowanych w ogrodach? Z pewnością jednak niczego, co tam jest, nie wolno jej pamiętać. On też pamięta coraz mniej, choć czasami zdarza mu się nieuważnie powiedzieć: a pamiętasz tamto lato? Mitografia jest *passee*”, słyszy w odpowiedzi, Formuła się wyczerpała i teraz tylko parodiuje samą siebie, nie można pamiętać tamtego lata, pamięć tamtego lata - przez którego gorący środek idzie właśnie młoda Karolina - jest surowo zabroniona. On teraz przypomina więc sobie nielegalnie Karolinę z tamtego upalnego lata jak z filmu (bo wszystkie skojarzenia uparcie ciągną go do filmów i powieści), Karolinę - literacką postać w fizycznej doskonałości. Tyle pomysłów do zrealizowania, tyle wersji do zapisania: Kiedy zobaczył tamtą malarzkę na lotnisku wracającą do niego po miesiącu rozłąki, zrozumiał, że jej nie kocha. Właśnie w momencie, gdy wyłoniła się zza szklanych drzwi z napisem „Granica celna”, przestał ją kochać; albo też właśnie w tym momencie sobie uświadomił, że niczego takiego jak miłość nigdy do niej nie czuł. I nie miało już żadnego znaczenia, że przywiozła mu prezenty - alkohole, których nie chciał pić, zdjęcia, których nie

chciał oglądać, i opowieści, których nie chciał słuchać. A może inaczej: Pewnego dnia wstał i odszedł, nic nie mówiąc.

Albo: Pewnego dnia po prostu nie zadzwonił, mimo że byli umówieni na telefon. Mogliby przecież pójść coś zjeść albo do kina, a potem... Nie, znowu to samo, pomyślał i uciekł. Uciekał pieszo i skradzionym samochodem, który potem porzucił w lesie, przedzierał się przez coraz bardziej niedostępny gąszcz, pokonywał wplaw szerokie, leniwie płynące rzeki, przechodził przez zimne górskie strumienie, w których zacierał swój ślad, zapadał się w puszczańskich trzęsawiskach, biegł dolinami pomiędzy wysokimi szczytami, szedł, skacząc po górach, jechał autobusami, wskakiwał w ostatniej chwili do odjeżdżających pociągów. Padał z wyczerpania, brudny, głodny, niewyspany. Zbierał resztki sił, wstawał i znowu uciekał. Całe moje życie było ucieczką, mówił potem, bo nie potrafiłem zaznać spokoju w miejscach, które były gotowe mnie przyjąć, bo od jednych kobiet uciekałem ku innym, jak ucieka się od miast i krajów tylko po to, by zaraz znaleźć się w innych miastach i w innych krajach. Kiedy od niej uciekał, właśnie czytała *Żywoty najslawniejszych malarzy, rzeźbiarzy i architektów* Giorgia Vasariego albo przeglądała *Ikonologię* Cesarego Ripy, znajdując w pokazanych tam alegoriach jeden wielki emblemat umowności. Zaczęła wymyślać nowe alegorie: alegorię długiego, samotnego sobotniego wieczoru, alegorię strachliwej bezsenności, alegorię zupełnego zwątpienia w miłosne szanse, alegorię ostatecznego odejścia z domu, który nigdy nie mógł stać się ich wspólnym domem. Wyrwałem się z ogrodu pełnego trujących roślin, powiedział, bo lubił takie porównania.

Wreszcie będzie miał dużo czasu na czytanie. Może uda mu się dokończyć kilka rozpoczętych lektur, a także powrócić do książek już przeczytanych, by odkryć w nich niezauważone wcześniej pokłady mądrości bądź sztuki. Wyjedzie na kilka miesięcy do wynajętego domu na wydmach, weźmie ze sobą całe *W poszukiwaniu straconego czasu*, a na przystawkę może nawet przeczyta *Jeana Santeuila*. Odda się lekturze, wyizolowany jak w trakcie choroby, bo tylko dzięki dwutygodniowym grypom, ciągnącym się przeziębieniom, złamanej nodze mógł czytać, przekopywać się przez grube powieści utrwalone na żółknących stronach marnego papieru. Te długie choroby w dzieciństwie kończyły się wraz z ostatnimi stronami książek. Świnka - *20 tysięcy mil podmorskiej żeglugi*, grypa - *Dzieci kapitana Granta* i *Tajemnicza wyspa*, ospa wietrzna - *Klub Pickwicka*, złamana noga - *David Copperfield*, zapalenie oskrzeli - *Studium w szkarłacie* i *Pies Baskerwilów*, liczne przeziębienia - *Pięć tygodni w balonie* i *W 80 dni dookoła świata*, *Rob Roy* i *Waverley*. Później nie chorował tak często, a jeżeli już, to intensywniej, ale krócej - nie starczało czasu na siedmiotomowe dzieła, gwałtowne grypy powalały wysoką gorączką, niepozwalającą

skupić wzroku na rozjeżdżających się literach. Teraz być może przyszedł właśnie na to czas. Czy na wydmach odnajdzie czas utracony? Czy może nawet w tym nieistniejącym miejscu odnajdzie sam siebie? Dom stoi na uboczu, nie leży na trasie pieszych wycieczek kuracjuszy, nie tędy chodzą oni na plażę, taszcząc swe nieodłączne parawany, nie tutaj przechadzają się późnymi popołudniami. Łatwo zatem skupić mu się na lekturach. Może sam zacznie w końcu pisać, bo zawsze chciał stworzyć powieść o miłości i zdradzie. Mógłby wykorzystać któryś z przychodzących mu po głowie pomysłów: Jej mąż wsiada do taksówki i każe się wieźć na ważne spotkanie w interesach. Chwilę po tym, jak samochód rusza spod jego domu, słyszy przez CB-Radio własne nazwisko. Ktoś wzywa taksówkę, podając jego domowy adres. Przez naprawdę krótką chwilę się waha - przejechali już kawałek, a w dodatku grozi mu, że nie przybędzie punktualnie na ważne spotkanie, na które pod żadnym pozorem spóźnić się nie powinien. Zawracamy, mówi jednak do kierowcy, i z bezpiecznej odległości każe śledzić samochód, do którego wsiada jego żona. Nietrudno się domyślić, że odkrywa zdradę, bo żona wysiada przed domem w dobrej dzielnicy (ich dzielnica do najlepszych nie należy, choć nie można jej odmówić uroku emanującego ze starych domów, gęstej zieleni, dzikich win pnących się po ścianach) i dzwoni do drzwi. Otwiera jej elegancki, wysoki, szpakowaty mężczyzna. Całują się przelotnie, choć ten pocałunek zapowiada już coś poważniejszego, on wpuszczają do środka i zamyka drzwi. Mąż - uważny oglądaczy Filmów i skrupulatny czytelnik powieści - domyśla się, co będzie się działo dalej. Tamten przyrządzi jej drinka albo naleje kieliszek wina, puści nastrojową muzykę, jakąś popularną klasykę w pospolitym wykonaniu, bo daleko mu do prawdziwego melomana, jest tylko wytrawnym uwodzicielem.

Albo nieco inaczej: Taksówka jedzie do jednej z gorszych, odległych od centrum dzielnic. On, od urodzenia mieszkawiec luksusowych ulic z domami strzeżonymi na wszelkie sposoby, nigdy tam nie był, więc z trochę podszytą strachem ciekawością patrzy przez okno samochodu, prawie przytyka nos do szyby jak dziecko przed sklepem z zabawkami. Ma wrażenie, jakby znalazł się nagle w jakimś dalekim mieście, znanym do tej pory jedynie z podróźniczych programów, w miejscu, gdzie orientalny urok miesza się z cuchnącą nędzą i chorobą, gdzie ciekawość czasem okupić można życiem, a przynajmniej oFiarą ciała poddanego brutalnej przemocy. Jego żona wysiada przed ponurym, odrapanym domem, wchodzi w ciemną, z pewnością nieprzyjemną, mało bezpieczną klatkę schodową. Jak bardzo musiała stracić głowę, skoro decyduje się na wniknięcie w tę pleśniejącą, grzybiczną otchłań. Jej taksówka szybko odjeżdża, stąd trzeba prędko uciekać. Przez chwilę mąż waha się, ale w końcu wydaje dyspozycję kierowcy, żeby zaczekał, i wysiada, rozgląda się trochę bojaźliwie, lecz drżąca ciekawość i dziwne podniecenie każą mu tu zostać (a może wcale nie wysiada,

tylko obserwuje dom przez szybę samochodu, zadzierając w górę głowę?). Przychodzi mu z pomocą sytuacja zawsze ratująca Filmowców: w jednym z dotychczas ciemnych okien na piętrze zapala się światło i widać sylwetkę jego żony przytuloną do jakiejś męskiej postaci. Później oba ciała się od siebie niechętnie odklejają, ona rozgląda się chyba po pokoju (co czuje mąż? - wciąż nie wiemy, bo nie widzimy jego twarzy na zbliżeniu), on przynosi drinki, mieszkanie jest obskurne jak cała ulica, ale gospodarz na pewno nie należy do tutejszego środowiska złodziei samochodów i chuliganów. Jeżeli coś się zacznie dziać na poważnie, to i tak odbędzie się to poza zasięgiem wzroku męża: albo zgaszą światło, albo położą się na jakimś łóżku lub na podłodze. Ona zbliża się do okna, żeby docenić swoje bezpieczeństwo za drzwiami zamkniętymi na mocną zasuwę, więc mąż się kryje szybko za latarnią lub drzewem i stamtąd ostrożnie się potem wychyla, by śledzić przebieg dalszych wydarzeń. Widzi, jak tamten podchodzi do niej, obejmuje ją od tyłu i podąża za jej skierowanym donikąd wzrokiem. Teraz go poznaje! Pracowali kiedyś razem albo są przyjaciółmi jeszcze ze szkoły. Łączą ich wspólne zabawy w wojnę, gry w piłkę, wyprawy do cukierni na niezapomniane lody, pamięć wakacji i dziewcząt, które razem uwodzili. Wspólnie wychowali się w dobrej dzielnicy, lecz jeden niej pozostał, innego los rzucił w otchłań świata i gdy wypłuł ponownie, nie było już dla niego miejsca w lepszej rzeczywistości. A może ich znajomość miała charakter tylko incydentalny, kilka razy zamienili parę zdań, spotykali się przelotnie na jakichś oficjalnych, nudnych bankietach. Co to zresztą za różnica, czy jego żonę mocno trzyma w swoich objęciach dawny przyjaciel, czy też dalszy znajomy. Zdrada, ta nadzieja kochających, i tak się dokonała. Teraz uświadamia sobie dobitnie, że zawsze pragnął zostać zdradzonym. Nie zdradzać, ale być ofiarą zdrady. Niedorzeczności. Jeszcze inaczej: Znajduje wiadomość od niego na automatycznej sekretarce - dziwna niefrasobliwość, to mało prawdopodobne. Czy tamten nie spodziewa się, że on mógłby odsłuchać tę wiadomość? Nie, tamtemu wydaje się, że tylko ona powinna być w domu, tymczasem właśnie wyszła na zakupy, a mąż akurat do tego domu na chwilę wrócił; klasyczny przypadek: wpadł na moment po jakieś (umowne tutaj) papiery. Właśnie pakuje je to teczki albo raczej jest w łazience, kiedy słyszy sygnał telefonu. No nie, dlaczego teraz?, myśli, szybko zapinając spodnie, i wybiega do pokoju. Gdy podbiega drobnymi krokami do telefonu, wciąż zmagając się z rozporciem, wybrzmiewa trzeci sygnał i włącza się sekretarka. W porządku, myśli, niech się nagra, i w tym momencie słyszy głos tamtego, informacja jest przeznaczona tylko dla niej. Tamten potwierdza spotkanie, nie zmieniła się ani godzina, ani miejsce. Dźwięk odkładałej słuchawki. Skonfundowany? Zaskoczony? Jak się teraz zachowa? Na wyświetlaczu widać cyfrę „jeden”, to właśnie ta wiadomość. Nie skasuje jej, to bez sensu, ona musi ją odsłuchać i

wymyślając jakiś pretekst, najlepiej spotkanie z koleżanką, udać się na *rendez-vous* z tamtym. O potwierdzonej godzinie w wyznaczonym miejscu, lecz on nie wie, która to godzina i jakie miejsce. Kawiarnia, pub, restauracja? Mieszkanie tamtego? Raczej wieczorem czy też dla zapewnienia sobie alibi środek dnia? Temu wszystkiemu będzie musiał się przeciwstawić. Pomoże mu przypadek. Właśnie wtedy, gdy będzie jechał na spotkanie, usłyszy, jak jego żona kilka minut po jego wyjściu zamawia inną taksówkę. Dom stoi na wydmach. Z dużego tarasu widać morze. Od domu dzieli je zaledwie kilkadziesiąt metrów. Nawet nie trzeba ich pokonywać. Wystarczy być na tarasie. Wszystko jest w zasięgu ręki - książka, pudełko papierosami, sok pomarańczowy, morze, dochodząca od niego lekka bryza. W tym czasie Karolina siedzi w samolocie, patrząc na morze przez małe okienko, ale on wcale nie wie, że w tej samej chwili uwaga ich obojga skupia się na morzu - jej na morzu południowym, pełnym drogich jachtów i radosnych delfinów, jego na morzu północnym, chłodnym, raczej pustym, choć czasami po horyzoncie przesuwiają się szare cienie statków transportujących węgiel, ropę naftową, rudę żelaza bądź coś w tym kontekście równie mało ważnego. Od samolotów wolą jednak pociągi. Podróże pociągami są podróżami prawdziwymi, widać wyraźnie mijane miejsca, oddalające się, opuszczane tranzytowe dworce, łatwiej jest przełożyć przestrzeń na czas - kilometry na godziny, mijane miasta i wsie odmierzyć stukotem kół, wsłuchiwać się w rytm życia na stacjach, namacalnie odczuwając ich momentalność. Szkoda, pomyślała, że nie kursuje już Orient Ekspres tnący kontynent na pół jak arbuza. Źle, że nie istnieje pociąg przejeżdżający przez cały świat, pociąg - ruchome miasto, w którym można byłoby podróżować i mieszkać, pracować i spędzać wakacje; w którego wygodnych przestronnych wagonach zmaterializowałaby się metafora życia jako podróży. Skąd wziąć pociąg, którego ciągły bieg wyeliminowałby konieczność przesiadek, sprawiając, że nie byłoby potrzeby wysiadania w Berlinie i wsiadania do wagonu jadącego do Paryża, by stamtąd łapać połączenie do Lizbony, gdzie można by oddać się turystycznej wersji *saudade*, bądź na południe, do Marsylii, a stamtąd do Rzymu; albo przez Wiedeń do Mediolanu i z tej nudnej stolicy mody przez Madryt dopiero do Lizbony bez przymusowych postojów w innych upiornie gorących miastach. Dlaczego ten pociąg nie przemierza Atlantyku, by wspiąć się później ku niebosiężnym Andom i zsunąć się z nich ku preriom i pampom? Dlaczego ona nie jedzie pociągiem zanurzającym się w śnieżny bezkres zimnej północy, ku której właśnie teraz, nie wiedzieć czemu, on zwraca swe myśli, albo pociągiem wolno sunącym wzdłuż morskiego wybrzeża, trzymającym się uparcie linii brzegowej jak Karolina swych obsesyjnych pomysłów. Milano Centrale, Karolina wymienia nazwy dworców, Venezia Santa Lucia, kolejnych etapów jej wiecznej podróży, Wien Sudbahnhof, nie podróży dookoła świata,

Budapest Keleti Palyudyar, ale krótkiej podróży po małej Europie, Kraków Główny, desperackiej próby wypełnienia czymś życia, Berlin Ostbahnhof, choć przecież pamięta, że „wyjechać to trochę umrzeć”, więc kiedy wagony zaczynają powoli wysuwać się spod opiekuńczych szklanych dachów, kryjących perony starych dworców, Karolina czuje, jak uchodzi z niej życie, jak obumierają tkanki, giną gwałtownie szare komórki mózgu, marszczy się skóra, coraz trudniej jej oddychać i trawić, coraz łatwiej odczuwać ból. Potem tkwi jak nieżywa, mijają kilometry i stacje, na których jej pociągi się nie zatrzymują bądź przystają tylko na chwilę, Karolina siedzi nieruchomo, zastygła i trupio blada patrzy martwym wzrokiem na smutne środkowoeuropejskie krajobrazy, słyszy stukot kół, czasami czuje swąd Fabryk, smród rozrzuconych po polach nawozów. Dopiero gdy dobitny komunikat oznajmia, że pociąg zbliża się do stacji końcowej, następuje zmartwychwstanie: Karolina odzyskuje dawną witalność, znów zaczyna jej żywiej krążyć krew w żyłach, policzki nabierają rumieńców, a skóra powraca do swojego naturalnego różowego koloru. Karolina zsuwa z siedzenia nogi, wkłada buty, wstaje, zakłada kurtkę, zdejmuje z półki bagaż, jeśli ma jeszcze trochę czasu - czesze się, potem żegna się ze współtowarzyszami podróży, do widzenia, *goodbye, arriyederici, au-revoir, auf Wiedersehen*, nie spotkamy się już nigdy, wreszcie wychodzi i nikt z pasażerów rzeczywiście nigdy więcej jej nie spotyka.

On stoi z aparatem przy nasypie i widzi mijający go pociąg, który przesłania mu nagle widok morza, niektóre z okien w wagonach są otwarte, gdyby nie ta szybkość, można by dostrzec ciekawe lub znudzone twarze podróżnych. Gdyby pociąg stanął, mógłby wykonać im serię zdjęć, portrety podróżne, zdziwione twarze ludzi, zapis wędrówki ku wieczności, ale nawet nie sięga po aparat, nic go ci ludzie przecież nie obchodzą, interesuje go morze, plaża, las, bezpieczeństwa psy. Już jutro stąd wyjedzie, także pociągiem, ale jadącym w odwrotnym kierunku niż ten, który go właśnie minął, ukazując spienione Fale w pełnej okazałości, wielkie morze nicości. On zostaje jeszcze przez jakiś czas pod nasypem, chyba na coś czeka, a teraz tkwi zawiedziony jak dziecko pełne żalu, że nikt z podróżnych nie wyrzucił mu przez okno czegoś na pamiątkę: paczki po papierosach nieznanej marki, puszki po piwie, starego biletu z nazwami początkowej i docelowej stacji, o których można byłoby bezkarnie marzyć, jakiegoś namacalnego znaku innego świata. Kiedyś może był dzieckiem z czyjś szkicu o pięknie podróżowania pociągami, chłopcem stojącym o zmierzchu na łące, ponad którą pędzi oświetlony skład, skrzydlaty jak we śnie. Dworce to bramy, przesiadki są jak tajemne przejścia, nowe składy przynoszą oczyszczenie. Nazbyt symbolicznie otwiera się przestrzeń, a wraz z nią czas. Karolina leży w wagonie sypialnym i nie może zasnąć, nie przyśnią się jej więc dziwne majaki pełne skrzydlatych pociągów, pędzących o zmierzchu przez łąki, na

których tłoczą się stęsknieni za dalekim światem chłopcy. Nie zasłoniła okna - za jego szybą trwa noc, bo pociąg wyjechał ze stacji początkowej o zmierzchu i ma przybyć na stację docelową tuż przed świtem. Ale dzięki temu, że szyby nie maskuje zasłona zdobiona znakiem Firmy kolejowej, Karolina może obserwować ze swojego posłania, jak owa noc się zmienia, raz czarna i płaska, innym razem poprzekłuwana punktami świateł, rozszarpywana od dołu przez domy mijanych daleko miast, którymi jej pociąg pogardza, lub przez prawie ocierające się o wagony budynki małych dworców, na których jej skład nawet nie zwalnia, pędząc dalej, jakby był prowadzony przez obłąkanego maszynistę ze starych opowiadań Fantastycznych. Czasami udaje jej się zauważyć nazwę mijanej stacji, nic niemówiące słowa nie układają się nawet w najprostszy komunikat, nie określają w żaden sposób miejsca. Taka stacja wydaje jej się absurdalna, wymyślona tylko na potrzeby tej jednej podróży, niczym chwilowa dekoracja, tekturowa Fasada. Dzięki podobnym doświadczeniom dociera do niej jednak wyraźnie, że czas podróży skraca się, a wraz z nim kurczy się przestrzeń konieczna do pokonania. Bo świat to za mało. Zobaczył jej twarz na wystawie sztuki współczesnej, kiedy bez entuzjazmu przechadzał się po pawilonie ekspozycyjnym. Spoglądała na niego uważnie ze ściany, powiększona dziesięciokrotnie, tak monstrualna, że aż groteskowa, niczym portret władcy w kraju spętanym kultem jednostki. Natknął się na nią na wprost wejścia do ostatniego pomieszczenia, jakby dostąpić rzadkiego wtajemniczenia mógł tylko po uprzednim pokonaniu pięciu sal pełnych przemyślnych pułapek i świetnie zamaskowanych zapadni, jakby olśnienia miał doznać celowo dopiero na koniec, w nagrodę za bezbłędne zaliczenie wszystkich nieprzewidywalnych wcześniej zadań, jakby jedynie zniechęconemu do granic możliwości, zupełnie wyczerpanemu, wprost padającemu ze zmęczenia dane było zobaczyć ostatnią widzialną rzecz tuż przed nastaniem wiecznej ciemności. Hiperrealistyczny portret kobiety będącej sugestywną repliką Karoliny, został namalowany przez jakiegoś szwajcarskiego artystę (wiedział to z pobieżnej lektury katalogu). Wielkie obrazy pokrywające ściany pomieszczenia przypominały rysunki kreślone w szkole podstawowej na kartach zeszytów w kratkę przez niekoniecznie uzdolnionych uczniów, których matematyczne i Fizyczne Formuły wyraźnie nudziły, a streszczenia wielkich powieści realistycznych wprowadzały w odrętwienie. To były dbałe o wierność wyobraźni portrety nieistniejących kobiet oraz dążące do nieosiągalnego weryzmu odwzorowania twarzy najprawdziwszych aktorek bądź bohaterek komiksów, a czasami nawet nauczycielek. Rysunki robione były zazwyczaj długopisem, rzadziej ołówkiem, twarze pozostawały jednak płaskie, mimo zmysłowych uśmiechów i grymasów namiętności nie dawały szansy na uwierzenie w swoją potencjalność, okazywały się aż do przesady niewiarygodne. Teraz ogromna twarz Karoliny martwo i płasko spogląda

na niego ze ściany galerii, bardziej przerażając niż intrygując. Gdzie mogli się spotkać artysta i jego piękna modelka? Czyżby była w Szwajcarii, a może do spotkania doszło na zupełnie neutralnym gruncie? Niczym zobowiązani protokołem dyplomatycznym ministrowie obcych sobie krajów podpisali nieważny dokument, dzieło nie przynoszące im obojgu żadnej satysfakcji, coś, co powstało jedynie po to, by nadwrażliwemu widzowi mieszać w zmysłach. Czy ich trasy przecięły się gdzieś w Europie, może na Krete, gdzie artysta spędzał swoje wakacje bądź pracował przy wykopaliskach? Czy narysował ją z pamięci, czy też posiłkował się zdjęciem? Czyżby był na tamtej łodzi z czerwonym żaglem, wyciętej z filmu według scenariusza Alaina Robbe-Grieta? Opalony, nieogolony, modelowy silny mężczyzna z reklam papierosów, pewien nie tylko swojej męskości, ale i niestety - co gorsza - swojego talentu artystycznego; ten, którego zawsze wzywa przygoda, dla którego powstały najgłębsze wąwozy, najszersze kaniony, najwyższe góry, a także spływające z nich najszybsze rzeki. To tylko werbalne rzeki i ich koryta, mówi ona, strumienie słów i rozlewiska zdań. To nic nie znaczy, po prostu woda, która niesie słowa, spada z gór, rozlewając się na nizinach i nieuchronnie zmierzając ku morzu sloganowych fraz. Proste konstrukcje gramatyczne, dużo czasowników w czasie przeszłym, przykra mnogość przymiotników. Prawdziwa podpora kultury oralnej, ale i pożywka dla literatury, naturalna pisarska odżywka. On się uśmiecha, książki i miłość? Nie ma miłości bez książek i nikt by nie pisał książek, gdyby nie istniała miłość, wymądrza się bezsensownie. Dlaczego nigdy nie słyszałem o jakimś Robbe-Grillecie, pyta sam siebie? Okazuje się, że rzeczywiście słyszał niewiele, czytał jeszcze mniej, za to mówić mógł bezustannie i bardzo dużo. Chciała, żeby wreszcie przestał. Pragnęła ciszy, absolutnej bezgłośności, wizji bez Fonii, chwili, w której można kontemplować tylko wyłaniającą się zza skalnego cypla łódź z żaglem tak czerwonym jak okładka książki *Dżin - czerwona wyrwa w bruku ulicznym*.

Potem milczeli, bo nie znaleźli wspólnego języka, a ich języki się jeszcze ze sobą nie splotły. Ser-czekolada-zegarki, powiedziała do niego, wojna-komunizm-

- nędza, odparł błyskawicznie i bez skrępowania, bo refleks i swoboda były zawsze jego mocnymi stronami; nuda-stateczność-przewidywalność, wykaligrafowała swoimi pełnymi, zmysłowymi ustami, porywczosć-głupota-nienawiść, podbił stawkę, chociaż reklamowy uśmiech na jego opalonej twarzy przesłoniła chmura zniecierpliwienia. Może zdecydował się ją narysować, by załagodzić sytuację, gdy rzuciła od niechcienia: bogactwo-bezpieczeństwo-zaufanie, a on jej ripostował: piękno-smutek-inteligencja? Twoja uroda wkrótce przeminie, powiedział jej znów bez żadnego skrępowania z obcesowością typową dla znawcy tematu (obcował już w swoim życiu z wieloma kobietami), ale zanim

przemianie (i zanim ty ostatecznie przemianiesz), mogę cię unieśmiertlić. Niewątpliwie mówił to wcześniej wielu kobietom, a część z nich zapewne już pożegnała się z życiem, bo był przecież pięknym mordercą. Karolinę postanowił jednak dla kaprysu oszczędzić. Dobrze wiedział, że jest ktoś, kto pragnie tego czynu bardziej niż on. A jednak podniecała go myśl o symbolicznym morderstwie, gdy rysował jej portret, od tej pory będzie już naznaczona wyraźnym piętnem śmierci, myślał, czując, że gra z nieznanym w podchody. Za moim znakiem musi pójść mężczyzna skryty w czerniach, stwierdził, stawiając ostatnią, szybką kreskę. Gdzie się jednak spotkali, w jakim miejscu mógł ją znaleźć, na której z literackich wysp udało mu się ją wy-patrzeć? Na Patmos, dokąd uciekła, by samej malować swoją przyszłość w ciemnych barwach, i skąd rozgrzana greckim słońcem pisała w jednym ze swoich długich listów: „Dni mijają mi niezauważalnie, astrach zbliża się jak siedmiogłowy smok”? Gdzie są inne miejsca, w których można ją przyłapać na gorącym uczynku? Czy wszystko zaczyna się na lotnisku w Atenach, a może właśnie tam się naprawdę kończy, bo w tym momencie Karolina ma już za sobą Peloponez, Kanał Koryncki, Morze Egejskie i czeka ją tylko, co najwyżej, lądowanie w zimnym mieście, z którego zawsze próbowała bezskutecznie uciekać i do którego musiała nieodmiennie powracać? Teraz mija drzwi z napisem „Granica celna” i przechodzi obojętnie obok tłumu oczekujących, niepostrzeżenie wymijając rodziny pasażerów, hotelowych pikolaków trzymających nad głowami kartki z nazwiskami gości, narzeczonych z niedrogimi wiązkami w rękach wyglądających swych ukochanych, żony witające mężów powracających z udanych podróży służbowych, okraszonych szybkim romanssem. Tym samolotem nie przybył nikt sławny, więc na lotnisku nie kłębią się dziennikarze, operatorzy kamer nie usiłują zająć najlepszej pozycji, nagłośnieniowcy nie wsłuchują się z troską w szum z sali przylotów, fotografowie nie ustawiają w skupieniu obiektywów. Tym samolotem przylecieli ludzie, których śmierć w katastrofle lotniczej nie wzbudziłaby światowej żałoby, stawka dawno już została wywindowana bardzo wysoko, trudno jej sprostać. Nie wszystko jest, widać, warte odnotowania, niektóre tragedie zdarzają się zapewne tylko na potrzeby zwykłej statystyki, a zawartość czarnych skrzynek daje się z powodzeniem klasyfikować według stopnia atrakcyjności - oglądana po raz setny jak telenowela, też w końcu staje się nudna i ze wszech miar przewidywalna. Przed swoim ostatecznym powrotem Karolina budziła się w sennych miasteczkach, w których wszystko trwało nieruchomo, a dzień zastygał w godzinach obowiązkowej sjesty, zanim na dobre zdążył się rozpocząć. Bezgłośność i bezludność tych ciepłych godzin tylko czasami były przerywane przez agresywny dźwięk motoroweru lub skutera wypadającego na mały rynek z jakiejś wąskiej uliczki i po chwili znikającego

między późnośredniowiecznymi kamienicami, niemal wrośniętymi jedna w drugą. Nim jednak sklepikarze i barmani pozamykali swoje lokale, by oddawać się usprawiedliwionej południowej beczynności, Karolina zdążyła zrobić zakupy w niewiarygodnie przeładowanym sklepie, przesyconym charakterystyczną wonią wędzonych wędlin, i wypić małą kawę w przytulnym, choć zadymionym bistro, gdzie nawet papier porannych gazet nie potrafił uchronić się od nikotynowej natarczywości i najświeższe informacje z całego świata spowijał zapach starego tytoniu. Zdążyła też zobaczyć wędrownego sprzedawcę warzyw i owoców, unoszącego - niczym cyrkowy kuglarz - kotarę plandeki samochodu i przesadnie zachwalającego swój towar, kolorowe, jadalne bogactwo kapust, pomidorów, żółtych i czerwonych papryk, karczochów i cukini, cebuli i arbużów. W jego samochodzie wzniosłość słodkich owoców splatała się z upadłością powszednich warzyw, a świeżość jędrnych jarzyn łączyła się z gwałtownym obumieraniem owocowych skórek. Karolina, trochę przestraszona gwałtownymi okrzykami sprzedawcy, nie kupowała tych rzekomych, nazbyt nachalnie zachwalanych wyjątkowości, ale przystawała na chwilę i patrzyła na zręcznego sztukmistrza z odległości, jak sądziła, bezpiecznej dla swego portfela. On wcale jej nie zauważał, wznosił te swoje krótkie, groźne zawołania, jakby wiódł lud na barykady, a później spuszczał przed oczy widzów kotarę, dając znak, że przedstawienie skończone, wsiadał z powrotem do swojego samochodu, trząskając drzwiami kabiny i głośno ruszał z miejsca, znikając za kolejnym rogiem. Jeszcze nie przebrzmiały jego entuzjastyczne okrzyki, a już ulotny zapach warzyw i owoców ustępował miejsca skłębionej mieszance piachu i spalin. Płatki kurzu wirowały w słońcu, unosiły się i opadały, kręcąc się nieprzerwanie wokół własnych osi w niekończącym się ruchu. Karolina miała kurz na butach, jeszcze przed chwilą błyszczących, teraz nagle zmatowiałych, czuła kurz we włosach, w nosie, w ustach, gdzie mieszał się z papierosowym dymem. Kurz pokrywał ją całą, prawie mumifikował. Karolina zamykała usta i oczy, jej ręce opadały wzdłuż ciała, serce nie pompowało krwi, nerki nie filtrowały płynów. Przystawała oddychać, trawić, wydzielać i absorbować. Stała skamieniała, prawie trzytysiącletnia, choć ciągle młoda, a w kurzu wirowały mikroby, mikroślady na ulicach, mikrokawałki tynku niepostrzeżenie odrywały się od średniowiecznych ścian, rynek był wciąż pusty, pobliski kościół wiecznie zamknięty, okoliczne domy niedostępne - nigdzie żadnego schronienia, świat nie stał już przed nią otworem. Ciepło i senność wirowały wraz z kurzem, owoce i warzywa gwałtownie się starzały, ich skóra się marszczyła, mięśnie miąższu wędły, suchość trawiła owoce i Karolinie zasychało w gardle. Tkwiła w samym środku średniowiecznego miasta w zupełnej pustce, bez słowa i nawet bez wyraźnej myśli, bez pomysłów i bez wspomnień, stała nieruchomo, a wokół powoli zaczynało budzić się życie - barmani

podciągali żaluzje w drzwiach kafeeterii, sklepikarze wypuszczali znów na wolność ponętne serowe i mięsne zapachy, aptekarze na powrót gotowi byli pomagać rozlicznym nieszczęśnikom, a pro-boszcz ponownie brał w opiekę dusze wszystkich mieszkańców, ruszały też znowu samochody i skutery, kurz, który zdążył już spokojnie opaść na blaty stolików, lady sklepów, kostki ulic, teraz jeszcze raz podrywany w powietrze kołami i stopami zaczynał z wolna krążyć dookoła.

To zapewne ostatni dzień Karoliny w tym miejscu, jutro rano ma pociąg, będzie siedziała przy oknie, bo zawsze stara się wybrać to miejsce, żeby móc patrzeć, jak w pełnym słońcu wiruje kurz świata, jak tumany pyłu opadają na mijane miasta, jak pokrywają dachy domów, samochody, liście drzew, pola, uprawy warzyw, owocowe sady czy ciągnące się ku góróm winnice. Po spokojnych, nieruchomych dniach nadchodzą przecież zwykle gwałtowne dni burzowe, wybuchają kurzowe kataklizmy, pyłowe tornada, a straszny wichur gna przed siebie na oślep chmury czasu, by z nich spadał potopem na miasta przyszłości kurz przemijania, a kurz zapomnienia stopniowo pokrywał średniowieczne miasteczka, wiejskie domy, karczmy, sklepy z winem, serami i mięsem, nawet stacje benzynowe. Jej pociąg też znika wielkiej kurzowej chmurze nicości. Karolina robi nieduże zakupy na kolację, wypijajeszczę jedną kawę i szklankę wody, potem wraca do domu, przyrządza sobie kanapkę z wędzoną na surowo szynką albo z serem pleśniowym, potem dokonuje niezbędnych ablucji, być może poiyka pastylkę przeciwbólową, kładzie się do łóżka i bierze do ręki zabraną w podróż książkę. Otwiera ją na zaznaczonej stronie i zaczyna czytać:

Późnym wieczorem po powrocie włączyła radio i od razu trafiła na powieść w odcinkach. Zdziwiła się, wydawało jej się, była niemal całkowicie przekonana, że radiowe lektury już się nie zdarzają, bo długie wypowiedzi nie bronią się teraz w eterze, radiowe fale mają pobudzać, drażnić, ale nie usypiać, nie mogą kołysać delikatnie do snu, jak czyniły to spokojnym głosem deklamowane narracje, na tych wysoki ch falach można, co najwyżej, bez wytchnienia surfować, a nie leniwie się unosić Chciała więc pochl4ać się raczej niskim głosem wokalistów mruczących jazzowe ballady, żeńskim, anielskim wokalizom uzupełniającym triphopowe brzmienia pełne odgłosów sztucznego deszczu (a ten prawdziwy krążył wysoko nad miastem jak wielki latający dywan, ale nie chciał jeszcze spaść i uwolnić mieszkańców od dokuczliwego upału).fednak, zarówno zniechęci do dalszych poszukiwań, jak i z ciekawości oraz dbałości o swoje oczy, których nie chciała zaprzęgaćdo lektury którejsz powieści trzymanyh na wyciągnięcie ręki niczym naładowany pistolet poddała się zmysłowemu dźwiękom dobywającym się z ust lektora. Ciepły głos mówił: "...i oto idę pustą, szeroką plażą, wspominając wszystkie minione miłości, które tak łatwo i szybko się kończyły. Morze trochę

się na mnie boczy, jakbym nie złożył mu dawno obiecanej ofiary (ach moje młodzieńcze samobójcze pomysły, warto byłoby przyoblec je w komediowe kształty filmów) i przeżył zbyt lekkomyślnie te wszystkie lata, które teraz mi tak ciężą. Przyjechałem tu zaledwie trzy dni temu, a wydaje mi się, jakby minęły mies4ce, a może nawet dziesięciolecia, bo widzę przecież siebie, jak idę tą samą plażą, chmurny pomimo słońca, dwudziestoletni, żywcem wyjęty z symbolistycznych lub futurystycznych wierszy, idę młody, genialny, trzymam ręce w kieszeniach, stawiam kroki milowe, zamasy ste jak świat. Idę w słońcu, lecz się od tego słońca i błogiej radości opędzam, tęsknię rozpaczliwie do zbawiennego chłodu pensjonatu, do tytoniu i alkoholi, do rautów i podwieczorków do szampana w łóżku i kolacji w drogich restauracjach, do skandali i życia bez unitaru;przesyt, przepicie, przespanie, oto moje trzy razy tak. Marzę o wstawaniu w południe i wylegiwaniu się w atlasacĄ o pierwszych koktajlach przywracających mnie realnemu światu, a obok mnie sami mieszczanie, skąpani upragnionym słońcem, umiarkowanie poparzeni, wracają z plaży jak pobita armia, ciągnąc za sobą opuszczone sztandary parawanóuś bezgranicznie szczęśliwi, że udało im się ująć rzezi. Rzezi ująć nie sposób walka trwa zawsze, proszę: oto ja - jej najnowsza ofiara. Teraz, po tylu latach, też tęsknię, już nie do rzeczy, ale do zdarzeń, do przepitych nocy i brzasków, gdy głośną gromadą schodzimy na plażę i jest wśród nas ona, uwielbiana i adorowana przez wszystkich.

Teraz znów idę na spotkanie z nią. Wyznaczyliśmy je sobie na wysokości latarni morskiej, dokładnie w tym samym miejscu co wiele lat temu. Nasze przywiązanie do symboli jest naprawdę rozbrajające. Przez ten czas woda wyrwała ziemi kilka metrów, plaża jest węższa niż tamtego pamiętnego lata, a skarpa grozi zupełnie realnym obsunięciem. Na zniszczenie narażona jest także stojąca na niej latarnia, budowla stara i podupadła, pozostawiona chyba sama sobie, bez żadnej nadziei na zbawienną odsiecz. Jej upadek też będzie symboliczny, bez względu na to, czy nastąpi jeszcze przed czy też już po naszej śmierci, która czai się jak piękny tygrys.

Wszystkie powroty mają w sobie coś żenującego, wszystkie są klęską już na samym początku. Moje życie składało się z wyjazdów i powrotów, było podróżą, bo nie potrafiłem zaznać spokoju w miejscach, które były gotowe mnie przyjąć, od jednych miejsc uciekałem ku innym, wolałem nowe plaże nad innymi morzami. Uciekałem więc z pracy i z miast, które w żaden sposób nie umiały mnie zatrzymać, uciekałem od obowiązków i od zobowiązań, nieustająco byłem bohaterem własnego kina drogi, nieudolnie tworzyłem swoją prywatną powieść drogi, moje życie stało się niebotycznie drogie, wydawałem na nie ostatnie pieniądze, zadłużałem się, bankrutowałem, apotem zaczynałem wszystko od nowa, od budowy-wałem

swoje istnienie, inwestowałem w zwykłe akcje cudzych egzystencji, zyski przerzucałem na wschodzące rynki chwilowych związków, by później być świadkiem krachu który tam nieodmiennie następował. Nie oglądałem się na przeszłość, ciągle znajdowałem się gdzie indziej, siedziałem w brasseriach, patisseries i trattoriach, w bistrach i kawiarniach, mówiłem: *cafe latte, cafe au le, espresso, dziś po południu, jutro wieczorem, pojutrze w nocy; bez przerwy powtarzałem: przyjechałem dziś rano, wyjeżdżam jutro po obiedzie, być może wrócę tu za miesiąc; mówiłem prawdę, a jednocześnie kłamałem, tęskniłem za miejscami, które porzuciłem, i czułem zarazem zbawienną ulgę, że nie muszę w nich przebywać Teraz, oczywiście, to wszystko się nie liczy, teraz nie myślę o rachunkach. Idę do latarni spokojnym, wyważonym krokiem, krocę w wieczną przyszłość, teraz jestem tu i nigdy już gdzie indziej nie będę*". Karolinę otula senność. Przycisza radio, zabraną w podróż książkę odkłada na półkę przy łóżku. Ciemność zlewa się z ciszą i Karolina opuszcza to miejsce pod maskującą ochroną ciszy i ciemności, tak samo jak wcześniej znikła ze studenckiej kawiarni otulona papierosowym dymem i herbacianą parą. Teraz mężczyzna stoi w oknie i patrzy niecierpliwie na pustą ulicę. Ona się spóźnia. Wszystko wokół wydaje się spóźnione - godzina, pora roku, podjęta decyzja. Taksówka podjeżdża i staje w miejscu jak czas. W środku niezmienny rytuał, ten trudny moment - kierowca deklamuje kwotę, ona przerzuca bilon w portmonetce, wyciąga pomięty banknot, prostuje go, dorzuca dwie lub trzy monety, jeszcze raz podlicza, zgadza się, jak to dobrze, że coś się jeszcze w tej historii zgadza, wręcza pieniądze, wreszcie wysiada, jak w instrukcji: najpierw obie nogi, potem głowa, tak elegancko, tak ponętnie opuszcza tę taksówkę, ileż to pieniędzy wydaje na te taksówki, ileż rzeczy mogłaby za nie kupić, ile dzięki nim doznać drobnych radości - z perFum, książek, nowej bielizny. Tak, to ona, przez chwilę miał wątpliwości, może to ktoś inny, myślał, wręcz się łudził, że z ulgą skonstatuje jedynie zaskakujące podobieństwo, że kolejny nieprawdopodobny przypadek załatwi sprawę za niego, pewnie po trosze liczył, że to wszystko go ominie, że uda mu się uniknąć tej kłopotliwej wizyty ze wszystkimi jej konsekwencjami. Nikt za niego tego jednak nie załatwi, nikt nie zrobi tego za nią. Czy on się zdecyduje, czy jej wystarczy odwagi? On cofa się od okna w głąb pokoju, przesuwając kieliszki na stole, teraz stoją lepiej, butelka jest już odkorkowana, wino oddycha i nabiera mocy, uwalnia się jego smak i aromat, on też oddycha i stara się nabrać mocy, jest coraz starszy - jak wino, jak czas, jednak nie umie stanąć w miejscu, chodzi nerwowo po mieszkaniu, mimo że usiłuje tę nerwowość ukryć, czuje, że strużka potu wypływa mu spod pachy, że pot delikatnie zrasza mu twarz, układając się w ciepłą smugę nad ustami. A może jednak będzie robił drinki w wysokich szklankach, wódka, sok, lód (lód w kostkach, bez szans na zbrodnię szpikulcem do lodu) lub gm and tonic czy też

tequila sunrise, manhattan albo margerita, wsypuje do miksera garść zamrożonych truskawek, dolewa tequilę i sok z limonek, włącza, czeka chwilę, aż wszystko stanie się czerwoną miazgą, wlewa gęstą, zimną ciecz do kieliszków, wstawia słomki, akurat rozlega się dzwonek do drzwi, przebijający swym ostrzem spokojny dźwięk dyskretnej muzyki. Zawsze znany był z talentu do robienia drinków, niezrównany mistrz proporcji, nienaganny w każdym calu, perfekcyjny w każdym milimetrze, wytrwały co do joty, miał wystudiowane ruchy, wypowiadał wyważone słowa. Nigdy nie pil na umór, bez opamiętania, sączył drinki z całkowitym opamiętaniem, na granicy koneserskiej patologii, nigdy nie mieszał nierozważnie alkoholi, zawsze robił to przesadnie racjonalnie. Był zorganizowany, w szkole zdolny, choć sprawiający też kłopoty, wysokie **ajkiu**, błyskotliwy, lecz zarazem leniwy i krnąbrny, niemożliwością było wbić mu do głowy wiedzę, którą uważał za zbędną, nigdy nie podrywał się gwałtownie na dźwięk dzwonka, kiedy cała klasa wybiegała z wrzaskiem na korytarz, z godnością pakował wtedy książki i zeszyty pełne wierszy i rysunków zdradzających niezdrowe emocje szarpiące jego wyobraźnię podczas lekcji. Pod wpływem nocnych lektur, które zgłębiał z latarką pod kołdrą i z niezdrowymi wypiekami na twarzy, pisywał też opowiadania, z determinacją zapełniając grube bruliony banalnymi Fabułami. Podchodzi do drzwi, otwiera, ona wchodzi trochę nieśmiało, światła są stonowane, jest wszak mistrzem nastrojów i na zawołanie potrafi przyoblec się w smutek, eksplodować śmiechem, pogрузić się w zamyśleniu czy zamilknąć w przerażeniu. Umie kłamać i umie czasami mówić gorzką prawdę. Zazwyczaj jednak kłamie, bo to smakuje o wiele przyjemniej, niczym wytrawny drink, dobrze wysmażony befszytk, bywa lekkie jak wiosenna sałatka i jednocześnie ostre jak meksykańska zupa. Nigdy nie byłam w takiej sytuacji, czuję się skrępowana, może nie powinnam była przychodzić, mówi ona. Czekałem z niepokojem, bałem się, że nie przyjdiesz, zapewnia on. Napijesz się? Tak, chętnie. Oto margerita, krwawa truskawkowa miazga, chyba że wolisz coś innego. Najlepsze białe chablis, jakie jestem w stanie sobie wyobrazić? Albo tokaj aśzu? A może coś mocniejszego? Glennmoragie, dziesięcioletnie z beczki po cherry. Raczej czerwone wino. Pamiętam, że moi rodzice robili wino z dzikiej róży. Było cierpkie i słodkie zarazem, tak ciężkie, że nie można było wypić więcej niż jedną szklaneczkę, ale robiło się od niego cudownie w środku, a ja lubię ten nieporównywalny z niczym stan. Mieli w domu dużą książkę z przepisami na domowe wina. Spośród wielu możliwości (a można było robić wina niemal ze wszystkiego) wybrali właśnie dziką różę. Ty jesteś jak dzika róża, cierpka i słodka zarazem, mówi on i widzi, że ona się krzywi, czyżby wino było niedobre?

Pierwsza taksówka już dawno odjechała, ale druga, która przybyła pod dom zaraz za

nią, wciąż stoi. Zdradzany mężczyzna siedzi z tyłu, przyklejony do szyby jak glonojad, i spogląda w okno, na tle którego przesuwały się powoli dwie postaci. Czyż nie lepiej by było, żeby spoglądał w niebo, patrzył, jak po wielkim granacie przesuwały się pulchne czernie i szarzyzny? Być może, ale on zawsze wolał bardziej karkołomne rozwiązania. Widzi więc, jak ona się zbliża powolnym krokiem w kierunku nieznamym sylwetki, odbiera z ręki tamtego kieliszek, potem się trochę odsuwa, nie za bardzo jednak, może pół kroku lub, co najwyżej, krok, podnosi kieliszek do ust i powoli, jakby bala się ukrytej w nim trucizny, dotyka ustami alkoholu. A może obejmuje delikatnie ustami słomkę tkwiącą w gęstym, czerwonym i zimnym napoju, a krwista czerwień podąża ku niej i za chwilę ją wypełni prawdziwie mocnym i przejmującym zimnem, lodowatym chłodem rozlewającym się szybko w dwie strony: ku smukłym nogom i ku kształtnej głowie. Wróciłem tu, bo nie potrafiłem przestać o tobie myśleć, mówi on, wyraźnie posiłkując się Frazami z kiepskich Filmów albo marnych powieści, a potem eleganckim ruchem zapala papierosa, spogląda przez okno i czuje, jak ona, nie wyjmując z ust słomki, spogląda na niego z zaciekawieniem, z Fascynacją, z podziwem. Dużo podróżowałem, mówi on, przez miejsca, do których nie chciałem już nigdy powrócić, przez kraje, które powinny zniknąć z map, przez świat, który oby zginął w wielkiej katastrofie. Jechałem na oślep, lecz byłem w pełni opanowany, spieszyłem się, lecz nigdy przy tym nie traciłem Fasonu, gubiłem się w labiryntach dróg, lecz dzięki temu szybciej docierałem do celu, zmieniałem pociągi i samochody jak idee i marzenia. Prawie tonąłem w przytłaczających strugach tropikalnych deszczy, zalewały mnie złowieszcze lawy szlamu, przenikało zimno przydługich postojów, trawił mnie głód nowych wrażeń, szedłem ciągle przed siebie, aż wreszcie dotarłem tutaj. Czasami wydawało mi się, że moje życie przypomina jakąś złą powieść. Złe powieści, fatalne Filmy, wokół deszcz, jest przecież pora deszczowa, wszędzie mnóstwo deszczu, grube powieści o deszczu, piosenki o deszczu, płyty w całości skupione na deszczu, wszędzie pada, w tym deszczu pędzą tylko taksówki, nic więcej już nie ma, tylko deszcz i jaw tym deszczu stojący pod opisywanym oknem, niewszystkowiedzący narrator, nabawiający się właśnie przeziębienia, Fundujący sobie potężny katar, mający ochotę na alkohol albo na sen. Jestem tu, a ona jest tam, moja specjalna wysłanniczka, wierna współpracowniczka, nieodłączna w tym literackim *folie d deux*. Bardziej przeczuwam, niż widzę błysk nieistniejącego szpikulca do lodu, bardziej widzę, niż słyszę unoszące się w powietrzu dźwięki muzyki, która ich otumania, bardziej słyszę, niż smakuję alkohol płynący po brzegach szklanek, a potem po ściankach gardeł, przez ich długie szyje prosto do żołądka i krwiobiegu, bardziej smakuję, niż wierzę w marzenia o delikatnym dotyku jej szyi.

Karolina masuje sobie szyję, bo czuje ból zdrętwiałych kręgow. Odrywa wzrok od

ekranu laptopa i przez chwilę spogląda w błękitne niebo, potem kręci głową, żeby rozluźnić mięśnie szyi, i znów pochyła się nad klawiaturą. Siedzi na wulkanicznej plaży na Santorini, ponętnie krzyżując smukłe nogi, i wystukuje na małej klawiaturze listy z pozdrowieniami. Upał leje się z nieba jak wrząca smoła z blanków zamku. Trwa niekończące się oblężenie, śmierć zgodnie z umową zbiera straszliwe żniwo, bo jest czas siania i czas odbierania plonów. Oszaleć zupełnie można z tego gorąca, pisze Karolina, właściwie to zazdroścę wam teraz, że siedzicie w chłodnym pokoju, który przed nagraniem skutecznie chronią wybujałe drzewa za oknem. Mnie przyszło zmagać się ze skałami, wszystko jest wypalone, to popiół, nie ogród. Tęsknię do ogrodów, do drzew, krzaków, wołałabym siedzieć teraz w moim trumiennym ogrodzie, a nie na plaży, której piasek praży jak ogień stosu. Musiałam tu przyjechać, aby zrozumieć, że chcę być tam, gdzie nigdy nie wrócę. Ciekawe, co się tam dzieje, jak się mają nastawione na terażniejszość lasy i przywołujące przeszłość groby, za którymi coraz intensywniej tęsknię, choć wiem, że tej nostalgii nie da się bezkarnie zaspokoić. Czy wasze morze też jest tak niebezpiecznie spokojne jak to, które właśnie oglądam? Czy wasze życie też jest tak groźnie wakacyjne jak moje? Czy nasze miasto wciąż zabija, jak to ma w zwyczaju? Czy także zrozumieliście, że to, co się zwykle uważa za niesprawiedliwe, jest zwykłą koniecznością?

Kończy i wysyła. Potem jeszcze jeden, i jeszcze jeden, następny, kolejny... *Send, send, send*. Ciągłe przecież wierzy w obowiązek reakcji w odpowiedzi na każdą zawiązaną akcję, ciągle liczy na odwet po samoczynnym ataku. Ma nadzieję, że kiedy wieczorem w hotelowym pokoju, popijając chłodną retsinę, włączy podręczny komputer, ujrzy na ekranie wiele listów od beznadziejnie uwięzionych w konwenansach przyjaciół i znajomych. Brakuje mi lasów, pisze, widoku drzew za oknem mojego trumiennego domu, nawet woda wokół nie wygląda na prawdziwą, nie jest podobna do czarnej i cuchnącej cieczy z tamtego stawu, którego tafla może skrywać wszystko. Perfekcyjna, nienaturalna przezroczystość morskiej toni nie pozwala ukryć niedoskonałości ciała, niezgrabności ruchów, niepewnej przyszłości. Trudno uwierzyć, że można się tutaj utopić. Gdzie mógłby się skryć topielec, skoro nie ma podwodnych gąszczy, mułu, a samo morze jest przejrzyste jak woda mineralna w butelce? Kończy i wysyła. Zaczyna pisać następny list: Piję wodę jak smok, by nie wysuszyć się jak tutejsza ziemia i tutejsze kamienie. Dzięki temu jestem gdzieś w połowie drogi między ziemią a wodą, choć nieuchronnie na koniec znajdę się znów w ziemi. Zastanawiam się, co się dzieje z marynarzami pochowanymi zgodnie z morskim zwyczajem. Czy ich ciała dobijają czasami do wytęsknionego brzegu? A może wypływają po kilku dniach albo tkwią zaplątane w wodorosty? Czy leżą samotnie na dnie, czy też nieustannie atakują je żarłoczne ryby? Na

wszelki wypadek biorę odwet i jem ryby bez umiaru. W upale i przejrzystości Grecji myślę o trumiennym chłodzie i ciemności. Kończy i wysyła. Przez chwilę obserwuje morze, spogląda na niebo, a potem kieruje wzrok na laptopa i odczytuje właśnie pojawiającą się na ekranie odpowiedź, wysłaną z miasta, do którego już niedługo wróci, wprost w moje ręce: Wyobraź sobie, że w tym małym, sztucznym jezioru w parku, wiesz, tam, gdzie kiedyś się kąpaliśmy pijani po jakimś weselu, znaleziono ostatnio trupa. Wcześniej wszystkie lokalne media prezentowały zdjęcie studenta, po którym wszelki ślad zaginął; zrozpaczona rodzina, dezorientowani przyjaciele, zapłakana dziewczyna, a on przez ten czas spokojnie spoczywał sobie na dnie płytkiego jeziora. Tu też jest przeraźliwie ciepło, zaskakująco gorąco, upał męczy nawet bardziej niż ludzie. Nic dziwnego więc, że dzieci tłumnie się taplały w wodzie, psy zaś łapczywie tę wodę chleptały, podczas gdy on musiał wydzielać trupi jad. Ciekaw jestem, jak smakuje trupi jad. Być może, któreś z dzieci nawet na niego nadepnęło, bo przecież tam jest bardzo płytko, woda sięga dorosłemu ledwie do pasa, ale jest tak brudna, że nie widać dna. Właściwie w ogóle niczego tam nie widać. Mógł więc sobie leżeć napęczniały jak duża purchawka, niedostrzegalny dla kłębiącego się nad nim tłumu rozwrzeszczanych dzieci i pilnujących ich dorosłych. W tym zgiełku końca świata, w tym skowycie bezmyślnego zadowolenia nikt niczego nie poczuł, niczego nie usłyszał. Wyciągnęli go z triumfem, tak jak odnajduje się zaginionych podróżników - jakieś rozkładające się, brodate trupy z długimi włosami albo szkielety w nędznych resztkach tropikalnych uniformów bądź doskonale zakonserwowane ciała zamrożonych zdobywców najwyższych gór w niemodnych kurtkach, śmiesznych butach, zabawnych okularach. Tym razem jednak media się nie spisały, pojawiły się tylko male notki, które łatwo przegapić w natłoku raportów o umierających z upałów na rozgrzanych chodnikach lub o samolotach uparcie spadających do oceanów, jakby w nich szukały ochłody. Nawet zawsze czujne i gotowe do zmasowanych działań brukowce poprzestały tylko na krótkiej wzmiance. Żadnych efektownych zdjęć, zabrakło nawet zamazanych Fotografii, rozmytych wizerunków, jak słynne wizerunki nieuchwytnych potworów z zimnych jezior. Może dlatego, że lepkość powietrza krępuje ruchy, tak trudno nacisnąć spust migawki czy dosięgnąć palcami przycisków klawiatury. Tutaj wszyscy starają się teraz ruszać jak najmniej ikontemplują rzeczywistość nieruchomo. Całuję cię całym swoim spoconym ciałem. Ja za to się nie pocę, ripostuje ona w poczcie zwrotnej, nigdy się nie pociłam mimo upałów i hektolitrów wypitej wody. Spróbuj się dowiedzieć czegoś więcej o tym chłopcu, lubię historie o zmarłych. Jutro płynę na Krete, zaliczyć lekcję z kultury minojskiej. Mój przewodnik każe mi robić rzeczy, którym nie zawsze łatwo mi sprostać i których niezbędności wcale nie jestem pewna, lecz znalazłam się w niewoli turystycznych

obowiązków i muszę poddać się bez szemrania wakacyjnej hegemonii południowego słońca, zaakceptować architektoniczno-archeologiczne wyzwania, białości i błękity tutejszych domów, przejrzystość wody. Czekam na informację. Ja też się do ciebie tulę, sucha niczym mumia. Kończy i wysyła. Zza skalnego cypla powoli wylania się łódź z czerwonym żaglem i zupełnie nie widać, kto siedzi za jej sterami. On już nie odpisuje, wyobraża sobie tylko jej ciało, jednak nie zmumifikowane, ale leżące na dnie płytkiego, brudnego jeziora, nabrzmiałe wodą, tak jak on jest nasiąknięty wspomnieniami. Wspomina zwłaszcza wydarzenia, które nigdy nie miały miejsca - na przykład tamto huczne wesele, na które poszli razem, ale nie jako para. On, pijany, tańczy z panną młodą i zastanawia się w panice, czy się zaraz przewróci, czy też raczej zwymiotuje, kalając świeżą biel sukni młodej żony, a muzyka przyspiesza i wokół nich zaciska się pętla ciekawskich, wybijających rytm oklaskami jak werble towarzyszące skazańcom, oni wirują coraz szybciej, w końcu widzi, że panna młoda jest martwa i zamiast twarzy ma gołą czaszkę, taniec nie ma końca, bo muzyka gra nieprzerwanie, on wie już, że tańczy ze śmiercią, trzymającą go mocno w ramionach, w bezwzględny uścisku ostatniej chwili. Karolina nie może mu pomóc, jest w drugiej sali, opędza się roześmiana od pijanych zalotników, którzy zmęczeni tkwią przy stołach z niedojedzonymi potrawami, pośród zimnych schabów i gorących strogonów, z poluzowanymi krawatami z włosami zlepionymi potem, ze strużkami śliny ściekającej z kącików ust. Ostatnim wysiłkiem woli udaje im się werbalizować płytkie myśli, opowiadają Karolinie o swoich pożałowania godnych Fascynacjach, a ona śmieje się rozbawiona ich tępotą. Gdy oni kompromitują się na wyścigi, on tańczy ze śmiercią w coraz mniej rzeczywistej sali, krąg ciekawskich się zacieśnia, widzi z bliska ich rozkładające się twarze, klaszczące rytmicznie szkielety rąk, uśmiechy zastygłe na gnijących ustach, dostrzega, jak od kości odpadają im co i rusz resztki mięsa, chce uciec od tego widoku i unosi się nagle ze śmiercią w ramionach, znikając w niebycie. Wyszli razem, pijani i roześmiani, nie wzięli taksówki, bo nie wiedzieli, jak się w niej zachować: czy oboje powinni pojechać do któregoś z nich; czy też on ma ją odwieźć pod jej dom, pocałować w policzek, powiedzieć: dzwoniemy się, a później kazać kierowcy jechać do siebie; czy raczej zapytać klasycznie: do ciebie czy do mnie?; albo po prostu pewnym głosem podać taksówkarzowi adres i położyć rękę na jej udzie. Wybrali spacer, choć czuli słabość w nogach od tańca i alkoholu; idą razem przez park, ona przyobleczona w jasności, on skryty w czerniach. Wyglądamy, jakbyśmy to my wzięli ślub, rzuca on mimochodem, prawie żartem, a ona śmieje się potakująco. Moglibyśmy się wykapać, mówi nagle ona i zdejmuje buty. Właśnie doszli na brzeg jeziora i on pomyślał, że dobrze byłoby usiąść na ławce, położyć głowę na jej kolanach i patrzeć w niebo (koniecznie

rozwieżdzone), ale ona już zdejmuje sukienkę i zaraz wbiegnie do brudnego jeziora. Oszalałaś?, chciał ją zapytać, ale zauważył, że sam też ściąga szybko spodnie, żeby wbiec za nią. Bezgranicznie cię wtedy pragnąłem, jak niczego wcześniej na świecie - miał ochotę jej napisać w liście, który błyskawicznie pomknąłby po łączach na Santorini, gdzie ona właśnie wertowała swój niezawodny przewodnik w poszukiwaniu wiarygodnych informacji o kulturze minojskiej. W końcu oczywiście tego nie zrobił, wołał sam przed ekranem komputera zanurzać się w mętnej wodzie swoich wspomnień i przypominać sobie, jak pluskali się w parkowym jeziorze, potem szybko z niego wyszli, bo jednak chłód stawał się dokuczliwy, a ewentualna interwencja policjantów zwabionych ich śmiechem całkiem realna. A może bali się po prostu o swoje ubrania albo nawet o życie, jakby antycypując ponure wypadki, które kilka lat później doprowadzą młodego mężczyznę na dno tego samego jeziora?

Mieszkała wtedy w cichej dzielnicy starych kobiet i kotów. Lubiła to miejsce, pewnie dlatego że niezupełnie do niego pasowała, wiecznie młoda i tryskająca energią. Nie sprawiały jej przykrości ani uważne spojrzenia zwierząt, ani wścibski wzrok staruszek, lustrującą od stóp do głów, gdy szła chodnikiem, konkurując z cieniami rzucanymi przez potężne kamienice. Woląta to od szybkich, zachłannych spojrzeń dojrzałych mężczyzn czy krótkich, nieśmiałych uwag młodych chłopców. Czasami tylko wspomnienia wracały do niej wezbraną Falą przeszłości, osaczały ją natrętnie, nie dając zasnąć. Karolinę od właścicielek kotów różniło wszystko oprócz samotności. Jednak jej samotność wynikała wyboru, nie z konieczności. Gdyby chciała, w każdej chwili mogłaby wszystko zmienić, przecież dobrze wiedziała, dokąd się udać, by wyzwolić się ze swojego odosobnienia. Jednak zafascynowana samotnością, nie pragnęła wcale się od niej uwolnić, a dopiero co poznani przez nią mężczyźni dowiadawali się zawsze, że wkrótce nastąpi nieuchronny koniec ich znajomości.

Koty były wszędzie: w piwnicach, na drzewach (nie na tyle jednak wysoko, żeby rozprawić się z ptakami, które każdego poranka budziły Karolinę doskonale powtarzalną gamą dźwięków), wylegiwały się na maskach samochodów, szerokich parapetach, gromadziły się w śmietnikach, na podwórkach, dawały się łaskawie dokarmiać, wylizując wystawione w piwnicznych okienkach miseczki z jedzeniem. Kobiety siedziały na ławkach, grzejąc się w słońcu - nieruchawe, stare, grube, ślepe kocury, zupełnie bezsilne, pozbawione marzeń o podróżach, opętane rutyną trwania, trawiły czas na nudnych rozmowach. Z ukrycia dochodził śpiew synogarlic, dźwięk, który Karolina niezwykle lubiła, bo kojarzył jej się (trudno o bardziej nieoryginalne zestawienie) ze szczęśliwym dzieciństwem, z którego pamiętała oczywiście tylko dni słoneczne.

Czasami przez otwarte okna wpadały do jej pokoju pióra gołębi, odpoczywających na

balkonach pomiędzy krótkimi lotami. Gołębie sfruwały ze strychów i dachów ku asfaltowi ulicy, po której dostojnie się przechadzały, przycupując czasami pojedynczo bądź parami. Niekiedy na tej ulicy zostawały na zawsze - nie wiadomo, czy brakowało im siły, by uciec przed nadjeżdżającym samochodem, czy też nie starczało im pomysłów na nowe miejsca kryjówek, gdy stare przestawały być dla nich wystarczająco użyteczne. Czasami Karolina mijiała przyrośniętą do asfaltu kupę piór ptasich samobójców i widziała, jak triumfalnie ku niebu wzbija z niej jedno skrzydło, niczym patetyczny pomnik, gołębia *gloria victis*. Kusilo ją, by za to skrzydło pociągnąć i oderwać je od ziemi, tak jak się odrywa plaster od zagojonej już rany - szybko, jednym gwałtownym ruchem, by sygnał bólu nie zdążył dotrzeć do mózgu. Cała dzielnica oprócz znanego wszystkim od lat zatęchłego zapachu starości w poczet swych woni mogła zaliczyć odór martwych kotów i gołębi, jakby śmierć tutaj była dla nich czymś naturalnym. Kiedy szło się ulicą, czuło się słodki, mdlący zapach gnijącego kociego trupa, zepchniętego pod trotuar albo rozkładającego się w piwnicy mijanego domu. Czasami jednak Karolina zbliżała się do czarnego bezkształtu leżącego na jezdni, by z ulgą stwierdzić, że to nie zwierzęce ciało, lecz tylko stara szmata, cuchnąca smarem bądź pleśnią, porzucona tu bez żalu, bardziej przypadkiem niż rozmysłem. Właściwie niczego więcej, oprócz starych kobiet, korów i gołębi, tu nie było, a w każdym razie niewiele jeszcze rzeczy mogło na chwilę skupić na sobie uwagę: kilka niewielkich sklepów spożywczych, podupadający zakład fryzjerski, zatęchłe bistro, do którego Karolina nigdy nie weszła, bo nie była przecież tutaj przypadkowo zabłąkanym gościem. Sama dzielnica dziwnie pasowała do miasta, którego nieodłączny element stanowiła. Miasto było duże, cuchnące i brudne, więc Karolina uciekała z niego, gdy tylko nadarzała się okazja, by za każdym razem wracać, bo nie potrafiła na dobre wyjechać. A przecież mogłaby w jakimś innym, o wiele atrakcyjniejszym miejscu rozpocząć następne nowe życie po kolejnej umownej śmierci. Wcale nie musiałyby zatrudniać się w podłej knajpie jako barmanka i walczyć z obrzydzeniem, gdy śmierdzący potem gruby właściciel próbowałby kłaść swoją pulchną dłoń na jej niedużych pośladkach. Mogłaby (wierzę w to, bo muszę) znaleźć sobie przyjemniejsze zajęcie, pracować w jakiejś galerii sztuki ponowoczesnej albo nawet skorzystać z atrakcyjnego stypendium, i przesiadywać w czytelniach renomowanych uniwersytetów, odwiedzać elitarne księgarnie i przytulne antykwariaty, prowadzone przez trochę zdziwaczałych mężczyzn w podeszłym wieku. Tutaj, w dzielnicy starych kobiet i kotów, też był antykwariat - niewielki i zawsze pusty, bo tam, gdzie starość stała się zwyczajnością, sfatygowane, używane książki nie budziły żadnego zainteresowania. Właśnie dlatego, że nie był odwiedzany przez klientów, tak bardzo się Karolinie podobał. Nie musiała się o nikogo ocierać w wąskim przejściu między regałami, a sam właściciel, bez

wyglądu wartego opisu, nie sprawiał wrażenia zainteresowanego prowadzeniem tego wątpliwego interesu. Tkwił za ladą unieruchomiony, jakby zahipnotyzowany spojrzeniem jadowitej kobry. Któż miałby tam kupować dawno wydane książki? Stare kobiety, mieszkanki tej dzielnicy, mogły co najwyżej wyprzedawać swoje księgozbiory, oczywiście pod warunkiem że posiadałyby coś więcej niż kilka pozostawionych przez mężów powieści historycznych, za które nikt nie zaoferowałby godziwych pieniędzy. Same czytały raczej kościelne gazetki, rozdawane w niedzielę po sumie, od modernistycznych powieści wołały zaś historie, które opowiadały sobie, siedząc na ławkach. Karolina czuła, że też jest dla nich postacią literacką. To właśnie w tym antykwariacie znalazła ową książkę. Nie od razu wzięła ją do ręki, wcześniej przerzucała kartki czterech, może pięciu innych szablonowych utworów, nieciekawych wspomnień, zdezaktualizowanych reportaży, żadna z tych pozycji jej nie zainteresowała, żadna ani na chwilę nie wciągnęła, całe zresztą szczęście, bo gdyby któraś choć trochę ją zaciekawiała, z pewnością nie natrafiłaby na powieść o mało zachęcającym, wręcz pretensjonalnym tytule *Wydmy wspomnień* lub może *Plaża pamięci*. Wyszłaby z antykwariatu, zapłaciwszy uprzednio znużonemu subiekтови za staroświecką, niewinną w swej wymowie przedwojenną powieść obyczajową. Cały ten pokaźny Fragment nie miałby sensu, gdyby zdecydowała się za niewielką kwotę kupić klasyczną dziewiętnastowieczną sagę, grube tomiszczce w ciężkiej oprawie, może nawet z dedykacją na tytułowej stronie, upamiętniającą odległą datę, bo przecież kiedyś książki wręczano jubilatom na urodziny, kuzynom na imieniny, siostronom pod choinkę, synom w nagrodę za ukończenie szkół, by stanowiły krótkotrwałe pamiątki, które dopiero po przepisowym czasie mogły trafić do antykwariatu niepamięci. Cały ten Fragment nie powstałby także, gdyby Karolina cierpiała na ciągły brak czasu i po prostu nie miała wolnych dni, o które bezskutecznie zabiegają zapracowane urzędniczki, wiecznie zabiegane kobiety interesu czy obarczone domowymi obowiązkami matki. Dla niej każdy dzień był niedzielą, Boże, jak ja nienawidzę tych pustych niedziel, mówiły jej samotne przyjaciółki, płaczące się czasami po kartkach ckliwych romansów, Karolina jednak umiała twórczo korzystać ze swojego wolnego czasu, wprost się nim upajała, nie okładając go żadną klątwą. Cały ten Fragment nie miałby również większego sensu, jeśli nie weszłaby ona do tego dziwnego antykwariatu, który nagle stanął jej na drodze. Stojąc między regałami przesyconymi wonią starego papieru, zaczęła czytać otwartą na chybił trafił *Plażę wspomnień* czy też *Wydmy pamięci: Moje życie składało się z wyjazdów i powrotów, było podróżą, bo nie potrafię zaznać spokoju w miejscach, które były gotowe mnie przyjąć, od jednych miejsc uciekałem ku innym, wolałem nowe plaże nad innymi morzami. Ktoś zasiał we mnie niepokój, poczucie, że każdego dnia tracę więcej niż tylko*

kolejne godziny mojego życia, straciłem miłości, które nie stanęły na mojej drodze, bo skręciłem przecznicę wcześniej, niż planowałem, nie zdobyłem legendarnych fortun, bo nie byłem tam, gdzie być należało, wręcz przeciwnie, bywałem tylko tam, gdzie pod żadnym pozorem być nie powzmenem. Traciłem nie tylko siebie, ale także wszystkich wkoło. Czulem ciągle niedosyt, niekończący się żal, że nie napisałem wzruszających wierszy ani wspaniałych powieści, nie zebrałem nut w tęskne melodie ani nie skomponowałem kolorów które ułożyłyby się w kształty budzące niepokój lub radość Nie odkryłem nowych lądów, bo zaciągałem się nie na te statki, na które należało wchodzić po stromym trapie. Mój metaforyczny statek - niech będzie raz a prawdziwie - jeśli nawet był trzeźwy, to płynął donikąd. Wszystko powtarzało się z nieśmiertelnym rytuałem: wyjeżdżałem, drżąc z podniecenia, gotowy pisać dzienniki i fotografować krajobrazy, a wracałem, mając w pamięci jedynie ciągle poczucie zmarnowanego czasu i straconych szans. Teraz jednak wracam po raz ostatni. Idę plażę, której zapewne nigdy więcej nie ujrzę; powoli zbliżam się do latarni morskiej, której nieistnienie jest już tylko kwestią godzin albo, co najwyżej, dni.

Karolina przestaje czytać. Zdumiona odwraca książkę, spogląda na okładkę, przewraca stronę tytułową, nic jej nie mówi nazwisko autora, uważnie zapoznaje się ze stopką redakcyjną, która nie zawiera żadnej wskazówki. Karolina wciąż czuje lekką woń stęchlizny, prawdziwy antykwaryczny zaduch, nie ulega jednak panice, zagląda na trzecią stronę okładki, gdzie antykwariusz delikatnym ołówkiem wygrawerował przystępną cenę. Poproszę tę, mówi, a w jej głosie słychać niepokój, czy sprzedawca w ostatniej chwili nie wycofa się z transakcji, ale nie, wszystko przebiega pomyślnie. Karolina uiszcza odpowiednią kwotę, a on bez słowa przyjmuje zapłatę, nie dziwi się jej wyborowi, trudno też uznać, że go pochwała, co - choćby ze względu na własny interes - powinien czynić, w dodatku nawet nie zachęca jej do kolejnych odwiedzin. Dziwne miejsce, myśli Karolina po opuszczeniu antykwariatu, zastanawiające, że nigdy wcześniej się na nie nie natknęłam, jakby ten antykwariat dopiero co wyrósł spod ziemi, przecież jeszcze chyba niedawno była tu pralnia albo magiel. Zaskakujące, zupełnie niespodziewany obrót sprawy jak na dzielnicę pozbawioną wszelkiej dziwności; zwykłość, starość, samotność, gołębice i koty - oto wyznaczniki tego miejsca, tych cichych ulic, spokojnych domów, pospolitych klatek schodowych. Jakie bramy mogłyby tu bronić dostępu do tajemnicy? Muszę tu jeszcze kiedyś wpaść, decyduje, ale my już wiemy, że nigdy to się nie stanie, bo oto wkrótce po wyjściu Karoliny z *Plażę pamięci* czy też *Wydmanii wspomnień* w rękę, antykwariusz z równie niewzruszoną miną, jaką tkwił za ladą, opuści sklep, zamknie drzwi, spokojnym krokiem skieruje się w dół ulicy, by nieodwołalnie oddalić się z tej historii, i nikt go, oczywiście, więcej nie zobaczy ani o nim nie usłyszy, a

przynajmniej narratorowi nic o tym nie wiadomo. Kogo by to zresztą obchodziło w tym mieście, które samo siebie nie obchodzi? W tej dzielnicy nie było przecież gwarnych kawiarni, etnicznych restauracji, przytulnych piwiarni, więc nic dziwnego, że nie znalazło się również miejsce dla antykwariatu. Sklepy z jedzeniem, z gwoździami, śrubkami i rurami, sklep z używaną odzieżą i sklep z torbami, nawet sklep zoologiczny z akwariowymi rybkami i jedzeniem dla świnek morskich oraz chomików - to jeszcze można sobie jakoś wyobrazić, dziwią się starsze kobiety nagabywane przez narratora na ławce przed okazałą kamienicą, ale sklep ze starymi książkami? Kto by pomyślał; byli już tu i krawiec, i szewc, ale oni dawno zamknęli swoje zakłady (choć, ściślej rzecz biorąc, tego pierwszego najpierw zamknięto w trumnie, a tego drugiego w dożywotnim więzieniu, bo na zapleczu jego warsztatu znaleźli łupy, które przynosił z mieszkań, zostawiając w nich tylko zwłoki samotnych starych kobiet). Życiorys, jakich wiele, pisze on, ociekając potem, a Karolina czyta potem tę wiadomość, siedząc z laptopem na tarasie, z którego widać turkusowe morze (a może po prostu błękitne lub też kolorystycznie niejednolite przełamane; wszak muszę pamiętać, że jestem narratorem niewszystkowiedzącym, wiedzę czerpię ze sztampy Folderów). W szkole przeciętny, niczym się nie wyróżniał jak większość innych uczniów, chociaż mówiono, że był uzdolniony plastycznie. Nie wiem, co to oznacza; być może najlepiej z całej klasy rysował samoloty. Wyobraź sobie tego Fokkera Czerwonego Barona, latającą Fortecę z biuściastą *pin-up girl*, wy-malowaną na dziobie, albo zeppeliną „Hindenburg”, no i wszystkie słynne myśliwce z 2 wojny światowej. Zapewniał nimi całe zeszyty, zamiast wsłuchiwać się w głos nauczycielki interpretującej *Zbrodnię i karę* lub referujący którąś z rzędu zasadę aerodynamiki. Mógł też rysować kobiety, dbałe o wierność wyobraźni portrety nie-istniejących piękności oraz odwzorowania twarzy jak najbardziej realnych aktorek bądź bohaterki komiksów, a czasami nawet nauczycielek; zapewne kochał się w którejś z nich, na przykład w nauczycielce Fizyki, dlatego wkuwał bez protestu zasady rządzące mechanicznym światem, a jego ciało trzymane było pod napięciem i poddawane działaniu na przemian prądu stałego i prądu zmiennego. Lecz to za mało, by zostać artystą. Jak wszystkich interesował go weryzm. Razem z innymi udawał, że wymyślane na poczekaniu historie przynależą do rzeczywistości. W każdym razie nie poszedł na Akademię Sztuk Pięknych, postanowił zostać prawnikiem, dokonał pragmatycznego wyboru, a może nie był to wybór samodzielny? Pewnie chciał mieć własną kancelarię i bogacić się dzięki intratnym sprawom. Zapewne chciał specjalizować się w prawie cywilnym i gospodarczym. Ach, kuszą wielkie pieniądze, wszyscy umarli tęsknią do wielkich bogactw. Nieżyjący projektują swoje kolosalne dochody i kosmiczne wydatki. Jego spuchnięte ciało było ubrane w garnitur, a szyję uciskały mu do spółki krawat i kołnierzyk

niebieskiej koszuli. Tyle o nim. Nic więcej nie zostało, oprócz paru zdań w prasie. Najdroższy, pisałaby w odpowiedzi ona, jak dziwnie używa się takich słów, skoro nic nas, prócz zażyłej przyjaźni, nie łączy, może tylko sympatyczne wspomnienie pijanej kąpieli w tamtym jezioru, zaledwie parę wspólnych kadrów przypominających jakiś stary Film o hipisach. Jakże dziwnie brzmi to nieszczęsne słowo, godne jakiejś Kareniny w futrach i muflach, zwłaszcza teraz, kiedy wygrzewam się jak jaszczurka lub żmija na kamieniu. Czy mam w sobie coś gadziego? Czy wiesz, że bywam jadowita? Zdarza się, że pożeram małe ssaki, które później czynią mój brzuch ciężarnym, a mnie leniwą. I jestem spokojna tylko dopóty, dopóki ta napięta skóra nie wróci do swych normalnych rozmiarów, a potem znów błyskawicznie uderzam. Tak więc, najdroższy (uparcie tego słowa używam, nachalnie odwołując się do literackiej konwencji), leżę i tracę cenny czas. Powiedziałabym, że przemijam, ale to zabrzmiałoby zbyt pretensjonalnie, więc wolę napisać, że trwam. Wciąż widzę (roziskrzonymi oczyma wybujałej wyobraźni, oczywiście), jak wyciągają tego studenta z *mulistego dna płytkiego jeziora*, więc unikam raczej zbyt bliskiego kontaktu z wodą. Nie zobaczysz zatem, jak nurkuję w krystalicznie czystej, absolutnie przejrzystej wodzie, jak wyciągam z niej pękniętą amforę albo jakiś antyczny posąg, jak pływam nago po bezludnej stronie wyspy (wiedząc, że jakiś podglądacz musi ukrywać się w przybrzeżnych zaroślach, bo na tym przecież opiera się mało wyszukana literatura). Pamiętaj, najlepsze ali-bi ma zawsze morderca, bez tego nie ma suspensu i znika przyjemność lektury. Kończy list i wysyła. Spogląda w jasne niebo, sięga po szklankę z retsina, niedbale przerzuca kartki niezawodnego przewodnika. Jest prawie doskonała, aż trudno uwierzyć w jej człowieczeństwo. Zawija za uchem kosmyk włosów, w tym momencie wygląda bardzo Filmowo, powinna znaleźć się na okładkach kolorowych magazynów, jest dotykalna, prawie żywa. Przechwytywałem tę pocztę, otwierałem listy nad parującym czajnikiem, jak nakazują stare Filmy sensacyjne, polowałem na pocztowe gołębice, włamywałem się do wielkich serwerów, by podejrzeć elektroniczną korespondencję, urządziłem zasadzki na umyślnych posłańców, których ciała później zakopywałem w trudno dostępnych zakamarkach lasów, a wszystko po to, by samemu w przebraniu te listy dostarczać, skrzętnie skrywając twarz i wryte na niej cierpienie. Moje studia minęły bezśmiertnie, ominałem (często zapewne nawet o tym nie wiedząc) liczne pułapki. Mojego ciała na razie nikt nie wyciągał z dna płytkiego jeziora (zapewne robi się to jakimiś hakami na długich drągach, co może przypominać wyławianie upolowanego rekina) ani nie wy dobył z rozpadliny skalnej (z oporem, jakby wrywał ząb, którego korona jest zupełnie spróchniała, lecz korzeń pozostaje zdrowy i mocny), ani nie wyjął ze środka samochodu zgniecionego jak puszka po piwie (pomoc nadeszła w ostatniej chwili). Nikt mnie

nawet nie wyciągnął z rozpacz, a w niej tkwiłem jak alpinista w rozpadlinie - długo i bez nadziei na ratunek. Nigdy nie założyłem garoty niebieskiego kołnierzyka ani szubienicy krawata. Zakładałem za to różne wersje wypadków: on prowadzi, oczywiście zbyt szybko, ona obok, samochodowe kolumny pulsują muzyką, oboje roześmiani, alkohol i brawura, jak podają zawsze telewizyjne komunikaty, może wyjątkowo niesprzyjające warunki atmosferyczne (skąd w takim razie ta radość i beztraska?) albo zwykły przypadek, bo ponoć na nim wszystko się zasadza. Może jednak lepiej pasowałby tu wagonik kolejki górskiej, który sunie w pełnym słońcu na sam szczyt, nagle urywa się jak barwna bombka choinkowa i spada wraz z nimi (do końca w objęciach) w czeluść. Zawsze trwa to tylko chwilę, chwilo, trwaj, myślę, i chwila trwa, rozciąga się jak ciepła mozzarella, wszystko rozgrywa się przeraźliwie wolno i kontempluję ten moment godzinami. Ku ziemi pikuje czarterowy samolot, którym postanowili wybrać się na niezapomniane wakacje, i nie ma już żadnej szansy, żadnej nadziei, śmierć bierze ich w swoje nieodwołalne ramiona, a oni ciągle przytuleni, poddają się jej razem (czy czarna skrzynka zachowuje w pamięci ostatni krzyk pasażerów?). Mogłoby się to także zdarzyć podczas wspólnego wieczornego spaceru po nadmorskiej promenadzie - grupka pijanych bandytów, o co chodzi, mówi on, najpierw ostro, choć już widać w jego słowach i oczach strach, ona cała w nerwach (jak się to wszystko dalej potoczy, sprawdzić można w wycinkach z lokalnej prasy). Proces morderców będzie trwał długo, aż niecierpliwa widownia się nim na dobre znudzi. Rodziny będą dopominać się surowych wyroków, a opinia publiczna po raz kolejny pozostanie głęboko wstrząśnięta. Nie, nie, raczej zginą na morzu, gdy któryś z tych przeciążonych azjatyckich promów (może gdzieś między Sumatrą a Borneo) pójdzie na dno, a wśród turystów, jak podadzą agencje, znajdzie się kilkoro Europejczyków, w tym dwo-je młodych (czyżby świeżo poślubionych?). Karolina, jednak wciąż żywa, siedzi z właśnie poznanym, opalonym, młodym globtroterem, który wygląda, jakby właśnie zszedł z reklamy modnej wody kolońskiej w magazynie dla bogatych mężczyzn. Piją martini lub margeritę. On (prawie czuję, że pachnie grubym, lakierowanym papierem, wyswobodzony nagle z eleganckiego towarzystwa wiecznych piór Mont Blanc, srebrzystych jaguarów, dwunastoletniej whisky Talisker, bielizny Kelwina Klajna) na chwilę się zamyśla, a potem zaczyna nagle mówić: „Moje życie składało się z wyjazdów i powrotów, było podróży, bo nie potrafiłem zaznać spokoju w miejscach, które były gotowe mnie przyjąć, od jednych miejsc uciekałem ku innym, wołałem nowe plaże nad innymi morzami. Spływałem Orinoko, przedzierałem się przez gęstą, dziewiczą puszcę amazońską, wspinałem się w zimnych Andach, spałem w świątyni Majów, odkrywałem tajemnice Inków. Teraz chcę wreszcie odpocząć, właśnie tego potrzebuję, nie wiem, co

będzie później, nie potrafię przewidzieć, czego jeszcze będę chciał”. Czy ona mu wierzy? Wszystko zależy tylko od niej, bo Karolina, jeśli tylko chciała, potrafiła przyjmować rzeczy na wiarę, brała za dobrą monetę wszelkie wróżby i przepowiednie, nie wątpiła w magię liczb, w karty tarota, w Fusy, plotki, pomówie - z nią, a zarazem nie zawsze ufała w szczerść intencji, dobre chęci, politykę, gospodarkę, historię najnowszą, w siebie i w swoje życie. Czy więc teraz uwierzy, że on: naprawdę chce odpocząć, skoro odpoczynek nie istnieje? Czy zmęczyły go noclegi w zarośniętych świątyniach w towarzystwie jadowitych węży, czy znużyło go raczej puste życie? Czy te frazy nie wzbudzą w niej jakichś uzasadnionych wątpliwości? Czy nie zabrzmia jej dziwnie znajomo, nie przypomną filmowej kwestii wypowiedzianej w popularnym serialu, w którym sprytny przestępca uwodził kobiety podobnymi zdaniem, tuż przed postawieniem wieńczącej je kropki wbijając swoim ofiarom w serce kodę sztyletu. A więc tylko Ameryka Południowa, zauważa ona przytomnie, a ja zacieram ręce i wsłuchuję się teraz w ten dialog uważnie. Trudno tu mówić o ucieczce, wygląda to raczej na objazdową wycieczkę z biurem nie-zrealizowanych podróży, skąd ci się to wzięło, widziałeś ostatnio jakiś program podróżniczy? A może czytałeś kiedyś w młodości powieści iberoamerykańskie? Swego czasu były dość modne, choć nie przypominam sobie nich żadnych świątyn Majów, zapelniali je głównie nieszczęśliwie zakochani, piękne, ale papierowe kobiety, sfory dyktatorów i bezwzględne tajne policje. Poczekaj, mówi on zniecierpliwiony, nie dałaś mi skończyć kwestii. To nie popularny serial telewizyjny, jakimi zapewne się żywisz w swojej medialnej bulimii, tylko prawdziwa epika najwyższej próby. Posłuchaj więc, skup się na chwilę: były inne kontynenty, o których istnieniu nie miałem wcześniej pojęcia, kraje nie występujące na żadnych mapach, miejsca obce najdokładniejszym atlasom, drogi, których nigdy nie przemierzał żaden pojazd. Na nic lekcje geografii, pobierane przeze mnie kiedyś z takim zaciekawieniem, i lektury, na których strawiłem środkowoeuropejskie jesienne noce. Nic po zamiłowaniu do powieści podróżniczych i przygodowych, żałowałem, że prenumerowałem kiedyś pismo zachęcające do poznawania świata, są rzeczy, których nie powinno się poznawać, trzeba naprawdę trzymać się od nich z daleka. Bo to były krainy, których lepiej żeby wcale nie było. Przedzierałem się w nich przez malaryczne bagna, dławiąc się powietrzem ciężkim jak senne koszmary, zapadając się w trzęsawiskach jak w nocnych lękach, opędzając się od krwiożerczych owadów, straszniejszych niż deliryczne zjawy, przedzierałem się donikąd, nie znając celu swojej podróży i nie widząc w niej żadnego sensu. I naprawdę były chwile, gdy opuszczała mnie najmniejsza nawet nadzieja, ciemne niebo zlewało się z mroczną topielą, a mnie już w swoje ramiona brała czarna rozpacz. Wybierałem trakty nietknięte nigdy

wcześniej stopą obcego, ścieżki, po których wędrują tylko zjawy zmarłych podróżników, zagubione we mgle autostrady, nie wiadomo skąd i dokąd prowadzące, boczne drogi, przy których stoją wyjęci z horrorów autostopowicze. Wynajmowałem przewodników, czując, że nie zaufałym im, nawet gdyby mieli przeprowadzić mnie bezpiecznie przez ulicę w tym mieście, do którego powróciłem z taką ulgą. Dosięgały mnie najgorsze choroby, o których słyszeli tylko najwybitniejsi epidemiolodzy, a z którymi nie poradziłoby sobie tutejsi najznamienitsi lekarze. Ludzie wybierają sobie różne drogi życia, ja wybrałem sobie drogę śmierci. Dlatego właśnie teraz wystarczy mi zupełnie ta najzwyczajniejsza plaża, na której znalazłem niezwyczajną ciebie, i już cię nie opuszczę aż do śmierci. Może to jednak wyglądać zupełnie inaczej, mniej przerażająco, choć nie mniej niszczycielsko. W końcu przecież nie można łatwo wyzwolić się z pęt rozgorączkowanej, zwyrodniałej wyobraźni, podsuwającej coraz to nowe obrazy. Dotknięty syndromem stałego bywalca śródziemnych salonów prasowych, zniewolony urokiem kolorowych pism pachnących nieistniejącym życiem, znowu puszczam wodze niewybujałej fantazji. I tym razem wszystko odbywa się według przewidywalnego scenariusza, inspirowanego reklamą z masowego tygodnika: ona wychodzi o poranku na balkon z Filiżanką aromatycznej kawy (nawet czuję, jak ten aromat wciska się we wszystkie zakamarki mojego mieszkania), po drugiej stronie wąziuteńkiej uliczki, na innym balkonie pojawia się on ze swoim modnym, trzydniowym zarostem i reklamowanym papierosem. Spoglądają na siebie uważnie, lustrują się wzrokiem jak dwaj wojownicy świadomi swej wartości. Uliczka jest tak wąska, że gdyby wyciągnęli do siebie ręce, mogliby uścisnąć dłonie. Narasta pomiędzy nimi lekkie erotyczne napięcie i wydaje się, że któreś z nich będzie musiało je rozładować. On się uśmiecha tym uroczym, pustym uśmiechem reklamowych donżuanów, ona odpowiada mu w ten sam sposób, i oto napięcie opada, już nic między nimi nie iskrzy, oboje są z papieru i w ogóle ich nie ma. Nie pada żadne słowo, następuje tylko wstępne rozpoznanie, lecz już wiadomo, że żadnej walki nie będzie. On zauważa, że jego papieros domaga się popielniczki, więc uśmiechając się przepaszająco, opuszcza balkon, zamiast strzepywać popiół pod nogi lub na ulicę i patrzeć na nią pożądliwie, ona dopija aromatyczną kawę, zdobywającą rynek w oszałamiającym tempie, i też wycofuje się do swojego pokoju. Odstawia pusty kubek, zagłębia się wygodnie w fotelu, sięga po leżącą na stoliku grubą, prawie siedmusetstronicową książkę, otwierają na zaznaczonej stronie i zaczyna czytać: *Było ich pięciu co pewnie nie ma żadnego znaczenia, bo magia liczb jest niczym wobec magii słów.* Anna Kis urodziła się w 1968 roku w Komdrom, w roku paryskich utopii i dalekich strzałów na placu Tlatelolco, jako córka lekarki (specjalność radiologia) i inżyniera - fachowca w dziedzinie sprzętu medycznego. Rodzice poznali się kilka

lat wcześniej w budapeszteńskim szpitalu, gdzie matka Anny kierowała oddziałem chorób reumatologicznych, a jej przyszły mąż przybył służbowo z ramienia prężnie wtedy działającej firmy Medicoi by ostatecznie sfinalizować zakup aparatu rentgenowskiego najnowszej generacji. Po ślubie wyjechali jednak z Budapesztu do nadgranicznego Komdrom, bo matka ojca Anny zmarła, pozostawiając mu tam duży dom. Mieli już (czemu trudno się dziwić) dosyć ciasnego mieszkania w bloku w Kispeszcie. W Komdrom urodziła się Anna. Imię rodzice nadali jej na cześć kawiarni „Anna” przy zatłoczonej,

pełnej turystów Vdci utca, gdzie spotkali się na pierwszej randce. W Komdrom Anna spędziła swoje dzieciństwo i młodość - „czas naznaczony nudą niewielkiego miasta, z którym trudno było wiązać swoją przyszłość. Niełatwo jej było także zrozumieć rodziców, którzy wybrali prowincję, dobrowolnie rezygnując z uroków metropolii i perspektyw stwarzanych przez stolicę. Na tym tle w rodzinie Kisów dochodziło czasami do „spięć. Matka Anny twierdziła, że marnuje w Komdrom swoje „życie, a w tamtejszym szpitalu grzebie bezpowrotnie szansę na karierę. Podobnie uważała Anna, dlatego postanowiła porzucić miejsce swego urodzenia i przenieść się do Budapesztu, miasta jej prenatalnej przeszłości i - w co bardzo mocno wierzyła - świetlanej przyszłości. Postawiła na swoim, studia hungarystyczne rozpoczęły nowy rozdział jej życia. Nie przypuszczała jednak, że będzie to dla niej najprawdopodobniej rozdział ostatni. Zsuzsa Mikszdth urodziła się w 1970 roku w Miskolcu jako córka dwojga szeregowych pracowników kąpielisk państwowych w Miskolc-Tapolca. Do Budapesztu przyjechała po raz pierwszy z wycieczką szkolną. W czasie jazdy czerwona linia metra w ciemnym tunelu, chyba pomiędzy stacjami Blaha Lujza tér i Astorią, przeczuła, że w tym mieście spędzi resztę życia - nie pomyliła się, choć miejsce zakończenia tego życia było od linii metra oddalone o wiele kilometrów. Z Anną Kis poznały się na uniwersytecie, a dokładniej na treningach judo w akademickim klubie. Zsuzsa studiowała pedagogikę i mieszkała w akademiku, niezmiennie obiecując rodzicom powrót do Miskolca. Oczywiście, obietnicy tej nigdy nie miała zamiaru spełnić. I rzeczywiście nie spełniła. Marta Krudy, rówieśnica Zsuzsy, przyszła na świat Debreczynie, była córką nauczycielki matematyki i milicjanta drogowego. Wyjątkowo uzdolniona muzycznie i ruchowo, do trzynastego roku życia uchodziła za wschodzącą nadzieję narodowej gimnastyki artystycznej. Niestety, skomplikowana kontuzja kolana pokrzyżowała sportowe plany i postawiła ją oraz jej rodziców przed wyborem: jeśli nie sport, to co? W poszukiwaniu sukcesu i szczęścia Marta zdecydowała się wyjechać do Budapesztu. To, co jej się przydarzy, to raczej straszne nieszczęście.

Agnes Móricz, urodziła się w 1971 roku w Sekeszfekerwar. Pochodziła z rodziny

inteliżenckiej, która swoimi korzeniami sięgała złotych lat Królestwa Korony św. Stefana. Skąd jej rodzice wzięli się w Sekeszfekerwar - nie wiadomo. Być może, chcieli mieć bliżej nad Balaton, gdzie spędzali każdy wolny weekend w swoim letnim domu w Siofók. Sama Agnes wolala raczej jeździć do Góyr, bo tam mieszkał jej poznany na dyskotecce w Sekeszfekerwar chłopak. Tak czy owak, do Budapesztu miała blisko, jak na wyciągnięcie ręki. Po zawodzie miłosnym i ostatecznym rozstaniu z narzeczonym postanowiła wyjechać właśnie do tego miasta, by rozpocząć w stolicy nowe życie.

Przodkowie Eriki Kosztoldnyi zasłużyli się swoimi śmierciami dla wolności kraju. Ginęli ponoć już pod sztandarami Hunyadyegą, ginęli pod Mohaczem i w Sekeszfekerwar u boku Zrinyiego. Nie wiadomo, skąd się wzięli też w Siedmiogrodzie Istvdna Bocskaia, by jako wolni hajducy ginąć w walkach z Austriakami. Z austriackich rąk ginęli oczywiście także półtora wieku później. W późniejszych latach ginęli już co najwyżej od noża lub umierali na marskość wątroby. Erika miała braci którzy bili się już tylko z rówieśnikami na ulicach i pod knajpami. Ona sama urodziła się w lecie miłości 1969 roku, nie wiedzieć czemu w Pécs, a nie na przykład gdzieś Budię, gdzie jeździłaby codziennie autobusem linii 11. Ale do Budapesztu przyjechała jednak dość wcześnie, bo już po szkole powszechnej. Jej rodzice wiedzieli, że jeśli ma zrobić jakąś karierę - a przecież zrobić musiała - to tylko w stolicy. Dlatego zamieszkała u swojej babki w Zugló i jeździła tramwajem. Kim miała zostać? Najlepiej artystką. Skrzypcom, które na urodziny sprawili jej rodzice, niczego nie brakowało: doskonałości brzmienia ani wysokości ceny, za jaką je nabyli. Jej jednak brakowało motywacji. Zabrakło jej też szczęścia. Co je wszystkie skusiło do podjęcia tej dziwnej wyprawy? Nuda miasta? Rutyna podróży tramwajem 67, czerwoną linią metra, trolejbusem 75, zieloną kolejką HEy? Przekleństwo powtarzających się przystanków, przesiadek coraz bardziej znajomych współpasażerów, z którymi zaczynały już wymieniać stosowne półśmiechy? Razila je nieprawdziwość tych podróży, ledwo co zaczętych, a już się kończących, drażnił zbyt przewidywalny widok za oknem przez te kilkanaście bądź kilkadziesiąt minut, czuły niechęć do irracjonalnego tracenia czasu w zatłoczonych autobusach grzęznących w korkach. Nie miały także dla kogo zostawać bo potencjalni mężczyźni życia nie pojawili się jeszcze w zasięgu wzroku, nie spotkały ich ani na zajęciach z filozofii, ani w czytelnicy podczas oczekiwania na książki Léyi-Straussa, ani w kinie na filmie Woody Allena, ani w piwiarni „Rackert”, ani nawet w trakcie trwania Sziget Festival. Przygotowały się do pierwszej prawdziwej podróży bardzo solidnie, gromadziły szczegółowe mapy, dokładne przewodniki, niezniszczalne obuwie, wodoodporną odzież, wytrzymałą bieliznę, konieczne lekarstwa, niezbędne marzenia. Ich tajemnicze zaginięcie wstrząsnęło

opinią publiczną przyzwyczajoną do codziennych miejskich podróży, zelektryzowało cały naród, tak nieskory do dalekich wypraw, poruszyło obywateli, którzy od podziwiania Jukatenu, Islandii albo atlantyckiego brzegu Portugalii wolą niedzielne wypadki na działkę, spędzane w doborowym towarzystwie przenośnego telewizora i z nieodłączną butelką kadarki. Ich zniknięcie zrobiło na czytelnikach gazet większe wrażenie niż zaprzepaszczenie potężnych kwot z budżetu państwa, skandaliczne zachowanie przewodniczącego rządzącej partii czy kolejny międzynarodowy sukces wpiłce wodnej. Ich zbiorowe zdjęcie zrobione na pół godziny przed odjazdem pociągu z dworca Keleti obiegało nie tylko łamy krajowej prasy, ale także ekrany światowych stacji telewizyjnych, bo właśnie rozkwitał w pełni sezon ogórkowy i straszliwie brakowało sensacyjnych wiadomości - samoloty uwzięły się i nie chciały spadać, statków nie sposób było zmusić do zatonięcia, lasy nie płonęły fotogenicznie, a terroryści dopiero przyczajali się w ukryciu, czekając na jakiś zło wróżbny znak.

Tak, widziałam to zdjęcie, wystukuje Karolina na klawiaturze laptopa, siedząc znów na jakiejś rozgrzanej do białości plaży, nie dalej jak wczoraj w lokalnej gazecie, pozostawionej w ciasnej kafejce, do której poszłam, by czegoś się napić i odpocząć od zabójczego słońca. Mocno niewiarygodna, choć, muszę przyznać, wielce atrakcyjna wydaje mi się historia z aparatem fotograficznym, który gubią od razu na początku. Mało prawdopodobne, aby zostawiły go na peronie, a jakiś uczciwy znalazca odniósł go akurat do redakcji poczytnej gazety, gdzie po wywołaniu filmu okazało się, że była na nim tylko jedna klatka: one na tle dworca. Chociaż z drugiej strony, historia mojego życia także wydaje mi się czasami mocno naciągana - jak fabuła telenoweli, choć materiału wystarczyłoby na niewiele odcinków. Nie będzie na pewno odcinka trzysta siedemdziesiątego piątego, w którym artretyczna, posiwiata Karolina wychodzi do parku okalającego dom spokojnej starości i przysiadła cicho pod drzewem, by poprzez nitki babie-go lata spoglądać w swoją przeszłość; nie nastąpi część czterysta dwudziesta trzecia, w której zgarbiona, pomarszczona Karolina w starym poprzecieranym płaszczu resztką sił pcha przed sobą wózek z makulaturą. Teraz właśnie rozgrywa się odcinek zaledwie dwudziesty piąty i powoli zbliżamy się do łatwo przewidywalnego finału. Kurz wirował w pełnym słońcu, pot wręcz tryskał ze wszystkich porów, zalewał mi oczy, piłam łąpczywie wodę i z nudów przeglądałam porzuconą przez kogoś gazetę, pisze Karolina, nie potrafiłam nic zrozumieć, interesowały mnie tylko fotografia i typografia, szkoda, że nawet zapach druku już wyparował, lubię woń świeżej gazety, ta zaś, niestety, nie emanowała urokiem nowości. Oglądałam zdjęcia nieznanymi mi polityków ściskających sobie dłonie z zawodowym uśmiechem, wizerunki sportowców wyrzucających w górę ręce w zwycięskiej pozie, zafrasowanego policjanta wskazującego

komuś drogę ewakuacji, pokiereszowane ciała rannych zabieranych z miejsca jakiegoś wypadku, widziałam zmniejszone, uśmiechnięte, puciołowate twarze felietonistów kulinarnych. I zobaczyłam wreszcie ręce tych dziewcząt dziwnie posplatane, wstydliwie chowane albo zbyt eksponowane w geście pozdrowienia (ostatniego, jak wiemy), i oczywiście te uśmiechy, których się nie zapomina. Szybko uleciały z mojej pamięci wymuszone uśmiechy Felietonistów, ale na zawsze zapamiętałam naturalne uśmiechy tych dziewczyn. To zdjęcie przyciągnęło moją uwagę, porzuciłam dla tych kilku kobiet wszystkich polityków, sportowców i policjantów, a nawet pięknych aktorów i przystojnych piosenkarzy. Patrzyłam na tę piątkę, nic nie rozumiejąc, bo przecież nie potrafiłam przeczytać artykułu, do którego zdjęcie zostało dołączone, czułam jednak, że słowa obcym języku mówią do mnie coś groźnego, że kryje się za nimi straszna inFormacja. Tylko ten budynek wydawał mi się aż nazbyt znajomy, jakbym ja też już kiedyś z nim obcowała, pozowała przed nim do Fotografii albo z kimś się tam w jakimś dziwnym celu spotykała; jakby był on bramą nie tylko na brudne, śmierdzące perony, ale przejściem na drugą stronę lustra. To bardzo tajemnicza historia, usłyszałam nagle za plecami ciepły głos. Zdanie zostało wypowiedziane gładką angielszczyzną. Odwróciłam się i oniemiałam. Wyglądał, jakby właśnie umknął z jakiegoś billboardu, z powodzeniem mógłby reklamować wodę kolońska lub kawę (co ciekawe, kawę pije się tu bez względu na panujący upał, ja jednak na samą myśl o gorącej mocnej kawie dostaję palpacji). Odniosłam wrażenie, że jest doświadczonym globtroterem, więc od razu zastanowiłam się, co mógłby tu robić, przecież to nie miejsce dla poszukujących prawdziwych przygód podróżników, ale raczej azyl dla takich samotnych, pretensjonalnych turystek jak ja. Mężczyźni jemu podobni zaszywają się raczej niedostępnych dżunglach, w niedosiężnych górach, smukłych łodziach na rzekach szerokich jak morze lub rwących jak ból, na malarycznych bagnach i bezkresnych pustyniach, łudzących swoją Fatamorganą, krajach, których nie ma na mapach ani nawet w programach stacji Discovery. Gdy myślę o tym, co się mogło stać, czuję dreszcz, powiedział, a mnie od razu na całym ciele wystąpiła gęsia skórka, gwałtownie zrobiło mi się zimno, jakbym poczuła od niego niespodziewany chłód krypty, mimo że upał nie ustępował, a temperatura nie obniżyła się nawet o jeden stopień. Nie wiadomo, co się z nimi stało, cały świat spekuluje, po prostu zapadły się pod ziemię, w jakąś bezdenną otchłań pod tym dworcem na zdjęciu, powiedział. Nie wiadomo, co się tam mieści, może to któreś z tajemnych przejść do piekła? No bo niby dlaczego miałyby się ono znajdować, jak chcą nie zawsze wiarygodni demonolodzy, na jakiejś meksykańskiej pustyni, w kraterze wygasłego wulkanu albo na jednej z niezliczonych greckich wysp czy pod słynnym klasztorem Mont-Saint-Michel? A może właśnie pod tym dworcem tysiące ludzi

codziennie przekracza piekielne bramy, by nigdy już stamtąd nie wrócić, choć ich ciała jeszcze latami pozostają wśród żywych, cisną się w wagonach metra, jedzą kolacje z rodziną, nawet miewają przelotne romanse. Piekło to nie inni, piekło to my, dodał dobitnie, a ja powiedziałam cicho: piekło jest w nas. I tak się spleliśmy w piekielnym uścisku, ale nie czułam od niego woni siarki, miał nad wyraz zgrabne stopy, a jego włosy nie skrywały żadnych wypukłości. Był jednak prawdziwym diabłem - narcystycznym, zepsutym, inteligentnym, nieśmiertelnym Asmodeuszem, dandysowatym aniołem śmierci, prawdziwym demonem lubieżności, który pojawił się tylko po to, by zaraz zniknąć bez śladu. Nie zobaczę go już nigdy, bo nigdy tu już nie powrócę, a jeśli spotkam go jeszcze gdzie indziej, będzie kimś zupełnie innym, a i ja pewnie będę też inną kobietą. Wtedy on stanie przede mną jako Balaam i o pięknej lubieżności nie będzie mowy. Dlatego że to tylko literatura, nic więc nie jest trwałe, a bohaterowie wciąż przyjmują inne imiona, twarze i inną wciąż mają pamięć swojej przeszłości.

Ta gazeta już żółknie, pisze Karolina, kurz wkrótce pokryje archiwalne zdjęcie, wszystko wokół pokrywa się kurzem; kurzem się żywię i kurzem oddycham, przewlekle choruję na kurz, z kurzu co rano powstaję i w kurz się wieczorem obracam, ta historia przejdzie pewnie do annałów kryminalistyki, a więc zostanie zapomniana na zawsze i zapewne nikt nigdy do niej nie powróci, nie okaże się warta rozpatrzenia nawet w opuszczonym zakątku biblioteki. Być może znałam którąś z nich, a w każdym razie mogłam znać, dlaczegoż by nie? Przecież trasę tramwaju 67 znam jak swoje życie - nic nadzwyczajnego, ale i ona ma swoje ciekawe odcinki, zdarzają się także przystanki, do których czuję niekłamaną sympatię, chociaż są i takie, przy których chcę zamknąć oczy, czasami zresztą nawet to robię. Tyle że nie ma już tramwaju 67, dawno stał się on Fragmentem doskonałej przeszłości. Sentymentem darzę również czerwoną linią metra, tak często nią jeździłam, że mogłabym pracować jako maszynistka prowadząca podziemne wagony. Niewykluczone, że znałam te dziewczyny z widzenia, pierwszą z prawej na tym zdjęciu mogłam widywać gdzieś w okolicach Hfljyidck tcr, bo wszyscy jeździliśmy tam wtedy na rowerach, oczywiście na csepelach, innych przecież nie było; nie musiała zresztą koniecznie jeździć na rowerze, mogła przesiadywać na ławce i po prostu wzbudzać podziw mijających ją rowerzystów. Była bardzo ładna, chciałabym być taka ładna jak ona. Jesteś piękna, przerywa on banalnie, jesteś piękna jak eleganckie samobójstwo, mam już nawet sposób na to, żebyś się nigdy nie zestarzała, nie zobaczą cię jako zgarbionej, zniedołężniałej staruszki z końcowych odcinków ponurej telenoweli, już moja w tym głowa. Dlaczego widzę wszystko zwielokrotnione i powiększone, zas tanawia się Karolina, skąd znam te

prześladujące mnie od niedawna twarze? Drugą dziewczynę ze zdjęcia rozpoznaję na basenie w głośnym, półnagim tłumie brzydkich ciał, właśnie pokonuje ze śmiechem i bez oporu sztuczne Fale, tak jak ja przeskakuję przez sztuczne fale mojego życia. Dostrzegam także tę trzecią: w chłodne, lecz pogodne przedpołudnie robi nieduże zakupy w osiedlowym sklepie, zaopatruje się w jogurty, twarożki, soki owocowe, wodę mineralną, kawę rozpuszczalną, jest zdrowa, smukła i wygląda. na szczęśliwą. Za chwilę przed moimi oczami wyłoni się również czwarta, zarumieniona, spocona i zmęczona, właśnie schodzi do szatni po lekcji wychowania fizycznego, w ręku trzyma sportową bluzę, wchodzi do przebieralni, siada na poczemniałej drewnianej ławce, z wysiłkiem lub niechęcią rozsznurowuje buty, lecz ich nie zdejmuje, a potem się powoli prostuje, opiera plecami o ścianę i patrzy w przestrzeń, czyli w ścianę naprzeciwko, jakby przez jej nieprzezroczystość widziała jakiś niewidzialny świat, świat zaginiony, swoją literacką, a może nawet filmową przyszłość, a przynajmniej zwykłą przeszłość, i trudno mi powiedzieć, w jakich barwach jest ta przyszłość, a czym się mieni przeszłość. Wszystkie koleżanki już wyszły, w szatni została tylko ona, która patrzy, ale tak naprawdę nie widzi. A ja widzę, teraz widzę tę piątą; widzę ją równie wyraźnie jak siebie w lustrze. Siedzi w nocy przy biurku i pisze list albo kolejny odcinek dziennika, pisze uważnie, mocno trzyma w dłoni długopis, jej palce bieleją z wysiłku, marszczy ciemne brwi, bo pewnie uparcie zbiera rozproszone myśli, kaligraFuje nieprzerwanie, samotnie mierząc się ze swoimi dorosłymi problemami: *21 marca. Wiosna się gryzie z zimą, ale to na mnie pozostają ślady zębów dowody tej walki, nabiegłe krwią owale, zadrapania, to ja jestem po tej walce wyczerpana, czuję zmęczenie bliskie rezygnacji, nic mnie nie jest w stanie zmobilizować do czegokolwiek. Wszystko, co mi przychodzi do głowy, brzmi jak gorliwa modlitwa ateistki, wszystko jest pięknym słowem, pustym jak choinkowe bombki. Zostaje mi tylko tęsknota i codzienny strach. Łudzę się, że ten ból to tylko przesilenie wiosenne, wyczerpanie nerwowe, przemęczenie, a nie ostatni sygnał alarmowy. Chciałabym stąd wreszcie wyjechać czuję, że jeśli tego nie zrobię, to umrę. Dawniej bardzo pragnęłam tu mieszkać, wierząc, że to miejsce mnie uspokoi, i nie jest wykluczone, iż kiedyś znowu zapragnę tu wrócić. Będę chciała przejść się znowu po znajomych ulicach, posiedzieć w miejscach, do których mnie zapraszano, albo sama przychodziłam, szukając przygód, a może nawet miłości a znajdując tylko banal trywialność pleonazm i tautologię. Być może jednak nigdy już tu nie wrócę i rozpocznę zupełnie nowe życie, osiadę w dalekim kraju, zmienię nazwisko, a nawet imię. Mogłabym przez resztę swojego życia przedstawiać się jako Sophia Buzzati lub Maria Luiza Fuentes, ewentualnie Anażś Miller, a może zostanę na przykład lady Esterhdzy. Poszukam innej siebie w średniowiecznym miasteczku albo na dalekiej, samotnej hacjendzie, na przystani jachtów*

na Riwierze albo w nieogrzewanej górskiej chacie z dala od ludzi. Tylko jak wyrwać się z tego pokoju, w którym teraz spisuję swoje chaotyczne myśli?

Karolina przerażona patrzy na te pedantycznie stawiane litery, charakter pisma wydaje jej się dziwnie znajomy. Za chwilę jednak inny szczegół przykuwa jej uwagę: dziewczyna podnosi nagle głowę znad kartki, odwraca się powoli i uśmiecha do Karoliny, jakby od początku wiedziała, że jest obserwowana. Szkoda, że nigdy jej nie poznałam, myśli Karolina, bo nie wie, że zna ją lepiej niż ktokolwiek inny. Biografowie Karoliny będą zapewne spekulować, przerzucając po świecie kapitał swoich podejrzeń, czy ona rzeczywiście nie istniała. Może nie trzeba od razu skazywać jej na niebyt, może dać jej jednak szansę godnego unicestwienia. Przypuśćmy, że po prostu nie uda się zrekonstruować ciała spalonego na węgiel w tunelowej kraksie - strażacy dotarli do miejsca katastrofy dopiero po czterech dniach, temperatura osiągała tysiąc stopni, a na zewnątrz panowała wyjątkowo piękna zima, kludy bielą wiecznie ośnieżone góry, po drugiej stronie masywu mknęli smukli narciarze, wyciągi i kolejki pracowicie wywoziły ich na szczyty; szczyty, których ona nigdy nie osiągnęła. Wścibscy dziennikarze zwrócą z pewnością uwagę na nadzwyczajne Fakty, pójdą utartym torem Fałszywych śladów i zaczną zachłannie cytować nieprawdziwe dokumenty, odkryte dzięki dwuznacznej uprzejmości osób zaangażowanych. Pełni niejasnych przeczuć, biografowie będą gubić się w domysłach, tonąć w drobiazgowych przypuszczeniach, szperać w literackich archiwach, uparcie tropić Karolinę - niepochwytny owoc domniemania. Kto wie, jakie sensacje wyjdą przy tym na jaw, jakie wstydlive szczegóły ujrzą światło dzienne, jakie nieudolne kłamstwa od razu wypłyną na powierzchnię jak tłuszcz w zupie, jakie ekscytujące rewelacje znajdą się na pierwszych stronach gazet. Czeką nas masa intrygujących ustaleń. Może Karolina nieprzywiązywała zbytnej wagi do stroju, nosiła pocerowane rajstopy lub pończochy z oczkami od bioder po kostki, zakładała spódnice niepasujące do bluzek, przywdziewała buty jak u żołnierza piechoty górskiej po miesięcznej walce, z reguły nie sprzątała i nie zmywała naczyń, rzadko myła zęby, nigdy nie goliła nóg, nie dbała o fryzurę i paznokcie, nie stosowała maseczek ani peelingu, nie mówiła o dezodorantach, nie podejmowała wałki z popękkanymi naczynkami i nie reagowała na cełulitis? A może popadała w zgubne znajomości, odbijające się długotrwałymi depresjami bądź niepokojącymi ciągotami autodestrukcyjnymi? Może była nieposkromioną w swoim apetycie bulimiczką albo, wręcz przeciwnie, anorektyczką toczącą wieczny Armagedon z urojonymi kaloriami, nieobliczalną psychopatką nadużywającą alkoholu bądź zajadłą w swoich lękach neurotyczką uzależnioną od leków? Co jeszcze mogła mieć na swoim koncie? Kompromitujące orgie na przyjęciach kończących się masową degrengoladą i spektakularnymi womitacjami? Narkotyki

i wyuzdany seks z przypadkowymi mężczyznami? Czy też raczej częste romanse z kobietami (co usiłuje zasugerować mało wiarygodne zdjęcie, ukazujące Karolinę w namiętym, jak można przypuszczać, długim pocałunku z pewną intrygującą brunetką)? Może jednak krótkie, lecz gwałtowne przygody z żonatymi mężczyznami, ewentualnie długoletni, co jakiś czas przerywany związek z nieciekawym, dużo od niej starszym, nudnawym urzędnikiem, który nieustannie mamił ją obietnicą rozwodu? Albo wreszcie jakieś barwne polityczne opętanie, udział w zakazanej manifestacji, głoszenie radykalnych haseł na publicznych wiecach lub zbliżenie do marginalnej partii trockistowskiej (poniekąd za sprawą mężczyzny, którego poznała nietypowo na przypadkowym przyjęciu - stoły uginały się od wyrafinowanych potraw i drogich alkoholi, nuda jak bezkresne morze przelewała się wysokimi falami przez salony, słowa płynęły powoli i wytrwale jak miejskie ścieki; wygląda pani na równie zde gustowaną i przytłoczoną jak ja, powiedział, nachylając się do jej małego, zgrabnego ucha; nie bądźmy jednak okrutni dla śmiesznych rewolucjonistów: wcale nie poczuła dobrej wody kolońskiej, on zupełnie nie pachniał i nie był bardzo dokładnie ogolony, ale okulary naprawdę miał w drucianej oprawie; potwornie, powiedziała i oboje cicho się roześmieli, a ciąg dalszy każdy może sam sobie dopowiedzieć, za taksówkę płacił oczywiście on)? Przypuszczalnie dałoby się też wykazać dwuznaczne zaangażowanie w działalność jakiejś organizacji pozarządowej, pozbawioną efektów pracę u podstaw, podejrzany wolontariat, *street wark* stanowiący przykrywkę dla brudnych interesów. Cóż jeszcze dałoby się jej wyciągnąć? Myślowne plagiaty, bezwstydnie kradzieże cudzych pomysłów, kopiowanie nie swoich pomysłów na życie? Brak poczucia humoru, niespecjalnie lotne spostrzeżenia, mało błyskotliwe uwagi w towarzystwie, wywołujące milczące zażenowanie? Czy opinię publiczną zbulwersowałaby wiadomość o jej przyrodniej siostrze, jakby to była co najmniej nieślubna córka z przez lata ukrywanego związku?

Nie miały ze sobą prawie żadnego kontaktu, żyły właściwie obok siebie, krążąc jak planety wokół zapomnianego, wypalonego słońca. Nie spotykały się, nie rozmawiały przez telefon, nie wysyłały sobie świątecznych kartek ani pozdrowień z wakacji. Nie plotkowały razem o mężczyznach, nie chodziły na wspólne zakupy i ze śmiechem nie przymierzały najdziwniejszych ubrań w najbardziej ekstrawaganckich sklepach, w których wcale nie miały zamiaru niczego kupować. Nie wymieniały się książkami, ubraniami, kosmetykami, nie zamieniały się sukienkami, nie czytały tych samych banalnych powieści o miłości ani nie chodziły wspólnie do kina na najnowsze filmy o samotności. Chciałabym z tobą spędzić trochę czasu, powiedziała Karolina przy pierwszym spotkaniu, gdy wreszcie przełamały długoletnie milczenie. Piły herbatę, siedząc na podłodze słuchając neurastenicznej muzyki

lansowanej właśnie przez niezależną wytwórnię płytową. Potem każda z nas pójdzie w swoją stronę, dodała. Tamta się skrzywiła (za dużo cytryny?, myśli Karolina), bo nie zmierzała w żadną stronę - bezpiecznie tkwiła w miejscu, nigdzie się już nie wybierała, Karolinę zaś od zawsze gnało w świat. Teraz też gdzieś go przemierza, kroczy przed siebie bez celu, a ja, zdesperowany i rozgoryczony, bezskutecznie się na nią zasadzam, licząc, że w końcu mi się objawi. Może kiedyś rzeczywistość znudzi się Karoliną, zmęczy jej mądrością na pokaz i wypchnie ją przez jakieś okno prosto w moje rozpostarte ramiona, i wtedy wreszcie po raz pierwszy wszystko naprawdę będzie w moich rękach. Nie zaprzyjaźniły się, nie spotkały się więcej, uwierzyły w odmienny porządek własnego istnienia, jakby trawienie, spaniej trwanie mogło w istocie czymś się różnić. Skoro jednak biografów interesuje tylko życie Karoliny, zostawmy jej przyrodnią siostrę w upragnionym spokoju. Cóż nam po niej? Niech przepadnie w odmętach czasu. Tylko Karolina domaga się unieśmiertelnienia, to za jej sprawą każdy szczegół staje się wart upamiętnienia: krótkie dni i długie noce, zimne poranki i ciepłe zmierzchy, szybkie podróże i powolny rytm pobytów w domu, kiedy za oknem szybko robi się ciemno, a ogromne stada wron podrywają się nie wiadomo skąd, by z głośnym krakaniem krążyć nad okolicą. Och, jak ona pięknie urnie pozować do literackich portretów: kiedy gotuje wodę, zalewają ją korzenną herbatę i z gorącym kubkiem w dłoni siada w Fotelu, by oddać się lekturze, albo podciąga pod brodę kolana i patrzy przed siebie; gdy skulona śpi w swetrze i skarpetkach, bo właśnie jest środek mroźnej zimy i lodowaty wiatr przeciska się przez szpary w oknie; kiedy coraz szybciej kłuje palcem przyciski na pilocie od telewizora i na ekranie wszystko się błyskawicznie zmienia - miłość w nienawiść, życie w śmierć, pokój w wojnę, a zdrowie w ciężką chorobę. Ponadto trzeba koniecznie uwiecznić ją w ruchu i w zastygłym trwaniu, sfilmować kamerą z ręki i ze statywu. Może uda się również uchwycić ten ważny moment, gdy rano otwiera oczy i przeciąga się rozkosznie, oraz tę niepowtarzalną chwilę, kiedy nocą zamyka oczy nie wiadomo czy je jeszcze kiedykolwiek otworzy. Chciałabym kiedyś rzeczywiście stąd uciec, mówiła do swojej przyjaciółki z dzieciństwa i wczesnej młodości, gdy widziały się po raz ostatni, przeciąć nic, czy raczej raz na zawsze rozplątać gordyjski węzeł, no nie wiem, w każdym razie nic tu po mnie, zostawię tylko smugę tajemniczego cienia, moja twarz bez śladu rozplynie się we mgle albo w miejskim smogu. Zmyślę pogoń i zacznę wszystko od nowa, bezbłędnie imitując Salingera lub Pynchona - żadnych zdjęć, wywiadów, żadnych sygnałów namacalnego istnienia, tylko wściekłość nachalnych paparazzich i bezsilność dociekliwych czytelników, jedynie domysły na temat mojego wyglądu i zajęć, którym bez zahamowań się oddaję, misternych planów, które nieprzerwanie snuję, i przedsięwzięć, które wprowadzam w życie tam, gdzie bez nici Ariadny

nie mają się po co wybierać wścibscy reporterzy i psychopatyczni mordercy. Nigdy więcej jej nie widziałam, mówi przyrodnia siostra, do której w końcu dotarli uparci biografowie, bezwzględni tropiciele szczegółów, skrupulatni lokalizatorzy cytatów, prześladowcy zbędnych przecinków i konsekwentni korektorzy historii. Powiedziała, że chciałaby spędzić ze mną trochę czasu, i natychmiast znikła. Nie jestem nawet pewna, czy mówiła to do mnie, być może miała na myśli kogoś zupełnie innego, być może właśnie do tego kogoś pojechała, wyglądało, jakby się bardzo spieszyła. Nie zdążyłam jej odpowiedzieć, wymknęła się niepostrzeżenie i bezpowrotnie. W ogóle nie zależało mi na jej obecności, bezgraniczna rozpacz niech udziela się domniemanym kochankom lub wierzyicielom. Nigdy nie byliśmy do siebie podobni, rio może prócz upodobania do muzyki lansowanej przez pewną niezależną wytwórnię płytową, swego czasu w niektórych kręgach bardzo modną. Ten sam ojciec to jednak zdecydowanie za mało, żeby zrozumieć, co ją naprawdę gnębiło. Wspólna, rozrzedzona krew nie wystarczy, by odkryć, co kłębiło się w jej wnętrzu.

Na co jeszcze mogą natrafić uparci literaccy detektywi? Czy zainteresują ich dni ciągnące się w nieskończoność jak psychodeliczna muzyka? Czy przykuje ich *uwagę* pewien pocałunek wieczorem w dzień Wszystkich Świętych na cmentarzu w świetle płonących zniczy. w szumie spadających liści i pod baczynym okiem owalnych, sepiowych portretów na nagrobkach? Całować się w obecności martwych krewnych - to zbyt manieryczne, powiedział jej ów mężczyzna, z którym szła pod rękę zasypaną liśćmi aleją. Raczej romantyczne i pretensjonalne, stwierdziła Karolina, odczuwam grafomański pociąg do wyeksploatowanych literacko motywów. Ciekawe, czy jeszcze kiedyś tu wrócę? Nie wróciła. T dlatego on musi samotnie poddawać się tradycji wiecznych powrotów do wydarzeń, które jeszcze nie zaistniały. Do jakiej nieuchronnej zguby doprowadzi ta wieczna młodzieńcza melancholia, która przecież z wiekiem powinna ustąpić trzeźwym nłyśłom, ten nieusuwalny spleen, nieokiełznana tęsknota, ta jej „nuda ogromna jak to całe idiotyczne morze”, jak kiedyś pisała w jednym liście, ten tandetny bowaryzm. Dlaczego jesteś smutna, zapytał zupełnie inny mężczyzna, zapalając papierosa, o czym myślisz, co wspominasz? Martwi mnie to, co się dopiero zdarzy, chyba zaraz się popłaczę, odpowiedziała, i dalej patrzyła przez okno, za którym właśnie przekwitała wiosna. Ścieżka, którą idziesz, jest kręta i prowadzi tuż nad przepaścią, powiedziała jej kiedyś zaprzyjaźniona wróżka. Naprawdę myślał o tym wszystkim w czasie swojego samotnego pobytu nad morzem, kiedy skończyło się lato i wybrzeże się wyludniło. Czas dzielił sprawiedliwie na lektury i przechadzki, każdej z tych czynności oddając po połowie czasu. Chadzając na samotne spacerki do odległej o kilka kilometrów od jego pensjonatu latarni morskiej, przypominał sobie czasami (z czymś w rodzaju

marcepanowego rozczulenia) tę jednak przecież pretensjonalną scenę, kiedy idą wspólnie zasypaną suchymi liśćmi aleją, pod czujnym sepiowym wzrokiem porcelanowych nieboszczyków. Najstraszliwsze jednak było to, że historia urywała się jak droga nad przepaścią, a przecież każda historia powinna mieć swój wyraźny koniec, o morale z niej płynącym nie wspominając. Tamten spacer od grobu jego dziadków (kiedy już odetchnęli i wypalili papierosy) nie kończył się, nie pamiętał bowiem, aby ponownie przekroczyli bramę cmentarza, za którą już dawno zwinęli swoje stragany odpustowi sprzedawcy baloników i słodczy. Moment, gdy ją przekraczali, mijając w przejściu ostatnich wychodzących z odwiedzin, spieszących na późne obiady, na rosoly i kotlety, owszem, ale ponownego przejścia jego pamięć nie zarejestrowała. Tak więc zapewne wciąż chodzą w obrębie tego szarego muru, nie mogąc znaleźć wyjścia, i mimo że on jest tutaj, nad zimnym morzem, wyludnioną po sezonie plażą idzie w kierunku latarni morskiej, a ona właśnie siedzi na rozgrzanej, kamienistej plaży morza gorącego, to nadal nie opuścili tamtego cmentarza i niewykluczone, że nigdy go już nie opuszczą. W drodze powrotnej ze spaceru do latarni morskiej zachodzi na deptak i odwiedza jedyną w okolicy księgarnię. W takich miejscach można czasem nieoczekiwanie znaleźć coś interesującego, czego nie kupiłoby się w renomowanej księgarni uniwersyteckiej. Pochyliła się więc nad ladą z przecenionymi książkami, przerzuca mało zachęcające edycje sprzed kilku lat, kartkuje obyczajowe powieści, rozliczne kryminały i kiczowate romanse (tych ostatnich jest najwięcej), płody pisarzy, których nazwiska nigdy nawet na chwilę nie zagościły w jego pamięci. Przegląda nietrafione szlagiery wielkich komercyjnych wydawnictw i książki wydane przez małe oficyny, publikujące miejscowych autorów drukujących w lokalnych pismach literackich. W pewnym momencie sięga po jedną z mniej wyeksponowanych pozycji, zaintrygowany pretensjonalnością tytułu. *Wydmy wspomnień*, trudno wyobrazić sobie bardziej kiczowaty tytuł, myśli, choć nie, mogłaby być też na przykład *Plaża pamięci* czy coś równie niedorzecznego, konstatuje w duchu. Ani się spostrzega, a już jest przy kasie i kupuje tę książkę za śmieszne pieniądze. Nie liczy na tanią rozrywkę, tym bardziej nie pragnie zaspokajać jakichś wstydliwych tęsknot. Kieruje się raczej impulsem, zwykłym kaprysem czy też zakupistyczną potrzebą wydania na coś pieniędzy. Niech to będzie coś w rodzaju rutynowej pamiątki z wakacji, mniej oczywistej niż przesłodzona pocztówka i bardziej wysmakowanej niż długopis-statek, statuetka mewy zrywającej się do patriotycznego lotu czy termometr w kształcie latarni morskiej, którego zakup, trzeba szczerze wyznać, przez chwilę nawet rozważał. Przynajmniej bohomas ma okładce wydaje się bardzo w stylu *camp*, można sobie czasem pozwolić na odrobinę przewrotnej ekstrawagancji.

Gdy wychodzi z księgarni, znów zaczyna siąpić posezonalny deszcz, więc umiarkowanie wściekły na pogodę postanawia skryć się w pobliskiej kawiarni. Wybiera stolik przy oknie (zawsze tak robi, jeśli tylko są wolne miejsca), siada i powolnym ruchem sięga po ta-czej mało atrakcyjną kartę rutynowych możliwości. Zanim złoży zamówienie, dokładnie przyjrzy się ospalej kelnerce, nieoczekiwanie wyrwanej z błogich rozmyślań, zapewne pogrążonej w marzeniach o nierealnym świecie - kserokopii z kolorowych tygodników. Żeby umilić sobie oczekiwanie na herbatę z rumem i szarlotkę, otwiera książkę na chybił trafił i zaczyna czytać: *Wszystko powtarzało się z nieśmiertelnym rytuałem: wyjeżdżałem, drżąc z podniecenia, gotowy pisać dzienniki i fotografować krajobrazy, a wracałem, mając w pamięci jedynie ciągle poczucie zmarnowanego czasu i straconych szans. Teraz jednak wracam po raz ostatni. Idę plażą, której zapewne nigdy więcej nie ujrzę; powoli zbliżam się do latarni morskiej, której nieistnienie jest już tylko kwestią godzin albo, co najwyżej, dni.* Na chwilę przerywa, bo właśnie blada kelnerka stawia przed nim herbatę i ciastko, dziwny zbieg okoliczności z tą latarnią, myśli, słodzi napój, przewraca kartkę, sięga po szklanę, pociąga łyk, robi mu się przyjemnie ciepło w piersiach i jaśniej w głowie, może wrócić do przerwanej lektury: *Trzeba mieć jakiś cel w życiu, skoro nie zostały nim ani wzruszające wiersze, ani wspaniałe powieści, ani nieodkryte lądy, teraz zastępczo staje się nim ta latarnia morska na skarpie, która wkrótce osunie się do morza (jest więc to cel szlachetny, bo bez przyszłości). Odbylem tyle podróży, zwiedziłem tyle miejsc, a czuję się, jakbym nigdy nie opuścił swojego pokoju, jakbym jedynie oglądał albumy ze zdjęciami albo telewizyjne programy podróżnicze, nie towarzyszą mi nawet najmniejsze emocje ani wspomnienia budzące dreszcz. Właściwie pamiętam tylko ją, nie musiałem tak wiele podróżować, żeby ją spotkać bo zetknęliśmy się ze sobą w mieście, którym się urodziłem i wychowałem. Okazuje się więc, że wszystko, co nastąpiło później, nie miało już większego znaczenia. Dziwne spotkanie, które nastąpiło nie w Bombaju, Hawanie, Rio, Kuala Lumpur czy Sydney, ale w mieście mojego cukierkowego dzieciństwa. Cała historia jest raczej dziwna a momentami nawet, muszę przyznać dość pretensjonalna. Można ją tylko usprawiedliwić tym, że jest prawdziwa. Ponury wniosek z tego płynie: życie jest pretensjonalne, ale innego życia nie ma.*

Nosiła mało popularne, niemal od razu zapadające w pamięć nazwisko (tylko czasem, gdy zamawiała taksówkę, musiała je dla pewności powtarzać kilkakrotnie). Jej samej również nie sposób było zapomnieć: smukła, wiotka i nieco melancholijna (albo raczej znudzona nadmiarem atrakcji oferowanych przez rzeczywistość), a zarazem - zdarza się tak dość często zaskakująco silna i pełna życia. Mam jej zdjęcie, na odwrocie którego zapisała mi swój numer telefonu (przepraszam, to wygląda okropnie kiczowato, ale naprawdę nie mam żadnej

wizytówki, zresztą co miałabym na niej napisać: „Miss Karolina w ciągłej podróży”?). Fotografii jest zresztą w moim życiu aż za dużo, nie wiem, skąd mi się ich tyle wzięło, chyba ktoś je złośliwie zmultiplikował jak komórki nowotworowe. Zdjęcie z numerem telefonu na odwrocie przedstawia ją stojącą na tle jakiegoś dworca, skąd rozpoczynała swoją kolejną podróż kolejową. Była prawdziwą fanatyczką pociągów, zagorzałą orędowniczką dworcowych poczekalni i peronów, miała obsesję ciągłej podróży, ucieczki donikąd, sama chyba nie wiedziała przed czym się tak usilnie broniła. Nie potrafiła długo przebywać w jednym miejscu, ale zawsze wracała do swojego miasta, z którym łączyła ją jakaś dziwna mieszanka miłości i nienawiści - uczucie, którym obdarza się miejsca, a nie ludzi. Marzyłem, by stać się tym miastem, ale byłem dla niej tylko człowiekiem, ze wszystkimi tego faktu bolesnymi dla mnie konsekwencjami. Niezmiennie ode mnie uciekała, choć pewnie nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. Skąd mogła wiedzieć że ciągle na nią czekani? Wsiadała do pociągu i znikala przy akompaniamencie stukotu kół. Żalowałem, że nie darzyła sentymentem samolotów byłoby mi łatwiej ze świadomością, że wypełniony po brzegi boeing po prostu wpadł do morza, a ciała pasażerów zaspokoili nieposkromione apetyty rekinów. Samoloty mnie nużą, powtarzała, wsiadasz do takiej podłużnej puszki, zamykają cię w niej hermetycznie na kilka godzin, dla ponurego żartu nazywa się to pokładem, jakby to był prawdziwy transatlantyk albo przynajmniej prom, a przecież nie możesz tam poczuć ożywczej bryzy, wiatr nie rozwiewa ci włosów, a wzroku nie daje się zaczepić na rozkołysanych falach. Nic od ciebie nie zależy, nie masz żadnej drogi ucieczki, nie możesz nawet nacisnąć na hamulec ręczny, a potem wyskoczyć, zanim zjawi się konduktor i biec przez pole do lasu, gdzie już cię na pewno nie dopadną. W dodatku musisz jeść to okropne plastikowe jedzenie, które ci tam serwują, kupujesz bezcłowe perfumy, bezcłowy alkohol i bezcłowe papierosy, potem zaś czeka cię to straszne lądowanie, kiedy nie wiesz, czy samolot tylko kołuje, czy też po prostu spada - jakby ci chciał zaoferować niepowtarzalną okazję nabycia bezcłowej śmierci. Poza tym zbrodnie w pociągach wydają mi się o wiele bardziej eleganckie i wyszukane niż terrorystyczne zamachy na samoloty.

On odkłada książkę i skupia się na szarlotce, kończy pić stygnącą herbatę, spogląda przez okno (widok jest prawie tak samo interesujący jak z okna pociągu), z zaciekawieniem obserwuje, co się dzieje na ulicy (widać o wiele więcej niż przez bulaj okrętu czy malutkie okienko samolotu). Deszcz przesunął się w głąb lądu, co więcej, pojawiło się nawet nieśmiało blade słońce, więc bez chwili wahania płaci i wychodzi, chowając książkę do dużej kieszeni kurtki.

W tym samym czasie Karolina siedzi w bistro i pije powoli ciepłą cenicę latte, od

niechcenia wodzi wzrokiem po ścianach obwieszonych artystycznymi zdjęciami lat pięćdziesiątych (przedstawiają przede wszystkim mężczyzn, kobiety i skutery), zagląda do lustra nad barem, jak gdyby spodziewała się zobaczyć tam kogoś nieznanego (a widzi przecież tylko swoją niedościgłą literacką piękność), wpatruje się (momentami zbyt natrętnie) w gości wpadających na chwilę, by wypić swoje szybkie espresso, przejrzeć nerwowo gazetę i wypalić papierosa. Nieodłączny międzynarodowy *Rozkład jazdy na liniach autobusowych, okrętowych, kolejowych i lotniczych* spoczywa obok grubej szklanki z *caffè latte*, niczym wyraźne usprawiedliwienie jej obecności w tym miejscu, wśród wiecznie się spieszących przechodniów, bezimiennych bohaterów dnia codziennego: niepozornych urzędników, być może piszących skrycie pornograficzne powieści; głośnych, pewnych siebie maklerów; schludnych, powściągliwych pracowników biur turystycznych; tych wszystkich, których można by z powodzeniem zamknąć w jednej dłoni i rzucić w powietrze, by spadali potem powoli jak kolorowe konfetti. Karolina dopija szybko prawie wystygłą *caffè latte* i sięga po *Rozkład jazdy na liniach autobusowych, okrętowych, kolejowych i lotniczych*. Jeżeli wszystko dobrze pójdzie i zdąży na odpowiednie promy z Neapolu do Marsylii, stamtąd do Barcelony i dalej koniecznie pociągiem, to po-jutrze będzie się już wylegiwać na tarasie specjalnie dla niej przeznaczonego mieszkania w Madrycie, gdzie planuje kolejny przystanek w drodze bez wyznaczonego celu. Nigdy nie wydawała dużych pieniędzy na zakwaterowanie, bo albo niezawodny przewodnik bezbłędnie wskazywał jej miejsca nie tylko wygodne, ale i tanie, ale dlatego też, że potrafiła wykorzystywać znajomości oraz słynny, szczerbaty uśmiech losu. Zdarzało jej się pomieszkiwać w wiejskich domach miejskich profesjonalistów, w londyńskim apartamencie w wymarłym Docklands naprzeciwko Canary Wharf (jego właściciele od miesięcy usiłowali bezskutecznie sprzedać to lokum, więc co kilka dni otwierała drzwi jakiemuś przesadnie grzecznemu agentowi nieruchomości i pokazywała mu puste pokoje), rozkoszowała się spokojem i zielenią na jakimś kampusie pośród studentów letniego uniwersytetu (żaden z nich nie widział jej jednak nigdy na zajęciach), zajmowała może i przytulne, ale z pewnością nie komfortowe, a na dodatek zimne poddasze w Paryżu, spała przez kilka dni w zabałaganionej, cuchnącej farbami i rozpuszczalnikami pracowni malarskiej na berlińskim Kreuzbergu (tyle że nie było tam już żadnych artystów ani nawet anarchistów). Teraz też nadarzała się wyjątkowa okazja, bo hrabia Melancholik, który każde lato spędzał na Wyspach Kanaryjskich, postanowił udostępnić jej swój apartament za symboliczną opiekę: nieustającą walkę z natrętnym kurzem, wyjmowanie poczty z pustej skrzynki i podlewanie nieistniejących kwiatów, ponieważ hrabia Melancholik czuje wyraźną awersję do roślin, kocha za to zwierzęta, mimo że jest uczulony na ich sierść. Fascynuje go

też muzyka i literatura, kolekcjonuje rzadkie wykonania barokowych utworów, ma też okazały zbiór numerowanych egzemplarzy albumów z szokującymi rycinami. Ceni poezję Rilkego i Trakla, chętnie powraca do Józefa Rotha i Roberta Musila, czasami sięga również po Hermanna Brocha, choć uważa tę lekturę za nieco męczącą. Wydaje mu się, że za czymś tęskni, ale, niestety, nie potrafi Karolinie powiedzieć za czym, nie urnie, mimo usilnych próśb, wskazać jej w Madrycie żadnych ciekawych miejsc. Wszystko, co jest dla mnie interesujące, znajduje się w tym pokoju, mówi, wykonując prawą ręką półkolisty ruch, a to, co najciekawsze, trzymam tutaj - wskazującym palcem dotyka prawej skroni. Zanim hrabia opuści swoje mieszkanie na długie tygodnie, zdąży jeszcze zaprosić Karolinę na wystawną kolację. Każe przynieść najlepszą rioję, zada kilka grzecznościowych pytań o rodzinę (zawsze lubiłem twojego ojca, zresztą mam wobec niego dług wdzięczności, uratował mi kiedyś życie, twoja matka za to była, ciągle dobrze ją pamiętam, niezwykle piękną kobietą, jesteś zresztą do niej bardzo podobna) i z równą atencją wysłucha nudnego i w dodatku kłamiwego sprawozdania (ojciec zawsze miło pana wspomina, matka trzyma się świetnie i wciąż ołśniewa wszystkich swoją urodą). Po powrocie z Wysp Kanaryjskich hrabia jeszcze raz spotka się z Karoliną, odbierze od niej klucze, serdecznie ją pożegna i udzieli jej niezbędnych wskazówek przed dalszą podróżą do Lizbony. Sam zaś, jak co roku, wyruszy do Londynu, a stamtąd do którejś ze szkockich posiadłości zupełnie niemelancholijnego przyjaciela. Będzie się przechadzał wzdłuż uroczych brzegów Loch Katrine, nadając temu jezioru własną nazwę - Loch Karoline, i choć nigdy się do tego nie przyzna, to przecież marzy o niej młodzieńczo i chciałby stanąć z nią objęty nad brzegiem jeziora. Nie przestanie o niej rozmyślać, gdy będzie siedział samotnie na pokładzie starego parowca „Sir Walter Scott”, z turkotem grzęznącego w wodach Loch Katrine-Karoline, oraz gdy spocony będzie się wspinał na szczyt Ben Venue, czując, że brakuje mu już oddechu i ból w klatce piersiowej zaczyna poważnie niepokoić. Mówi więc do siebie trochę panicznie: po co mi to, zaraz dostanę zawału, i wtedy myśli o niej jeszcze intensywniej, bo myślenie o Karolinie chroni przecież od śmierci. Hrabia więc nie umiera, a jeśli nawet umiera, to się nie poddaje, martwy brnie przez swoje życie z mozolnym turkotem, jak „Sir Walter Scott”, zdobywa szczyt Ben Venue, bo jest zdobywcą: wcześniej zdobywał kobiety, zaszczyty, bolesne doświadczenia, próbował nawet zdobyć życiową mądrość, ale tej nie udało mu się zniewolić, może to i dobrze, myśli hrabia, siedząc na pokładzie „Sir Waltera Scotta”, może głupota uratuje mnie od nicości, a jeśli nawet ona nie podoła, to zasmakuję ciszy; spokoju jeziora nie będzie burzyć turkot statku, nie będę słyszał swojego płytkiego oddechu, nie będę nawet słyszał głosu Karoliny i nawet muzyka będzie płynęła bezszelestnie, odtąd już zawsze monodia będzie bezdźwięcznie wygrywała z

polifonią, w głuchej ciszy system dur-moll pokona niepostrzeżenie harmonikę modalną, bez oporu zapanuje bezgłośnie *seconda pratti ca*.

Na razie jednak Karolina będzie miała okazję spędzić gorący jak dantejskie piekło miesiąc życia, zasiadając w piątym, przeznaczonym dla melancholików kręgu. Wysypia się do woli, potem, gdy już wstanie, robi sobie kawę z mlekiem i wychodzi na balkon z kubkiem, zamyślona, spogląda przed siebie. Po drugiej stronie wąskiej uliczki na innym balkonie pojawia się jakiś mężczyzna. Ze swoim modnym, trzydniowym zarostem i billboardowym uśmiechem dobrze pasowałby do reklamy papierosów. Przyglądają się sobie uważnie w ten sam sposób, nie pada jednak żadne słowo. Przypomina to pierwsze rozpoznanie terenu przez dwoje dzikich zwierząt. Nagle on spostrzega, że jego papieros domaga się popielniczki, więc opuszcza balkon. Ona zaś dopija swoją kawę i wraca do pokoju, włącza którąś z dowolnie wybranych płyt hrabiego, wielbiciela włoskiego baroku, i snuje się trochę po mieszkaniu, potem wychodzi na miasto, zjada gdzieś paellę, a wieczorem idzie do tablao, kupując najtańszy bilet, uprawniający do najgorszego miejsca i tylko jednego kieliszka kwaśnego wina. W nocy podąża tropem filmów Almodóvara, pewnie kręci się po Plaza Mayor albo chodzi do dyskotek dla transwestytów, poznaje dilerów narkotyków, ale nie korzysta z ich usług, zaprzyjaźnia się z bywalcami nocnych klubów, ale z nimi nie sypia, bo woli zasypiać jedynie w towarzystwie swoich wyobrażeń. Wraca późno, ale w Madrycie nie znaczy to tego samego co w miejscu, z którego Karolina pochodzi. Tutaj nigdy nie jest na nic za późno, nigdy nie ma mowy o spóźnieniu, wszystko, co się mówi i co się robi, może zawsze poczekać, nigdy nie bywa tu przeraźliwie ciemno i zimno, nigdy z premedytacją nie zaczyna deszcz zobowiązujący do rychłego powrotu ani nie siecze wiatr przypominający o niezrealizowanych zamierzeniach. Lecz Karolina, uwięziona w gorącym Madrycie, jakoś dziwnie tęskni do świata, w którym tak łatwo wpaść w prawdziwą melancholię albo ciężką depresję. Nagle bardzo chce wrócić do miejsca, które niedawno bez żalu opuściła, znów chciałaby tam być, ale w żaden sposób nie umie wrócić, uwięziona w gorącym Madrycie. Na razie nie pozostaje jej nic innego jak czekać w mieszkaniu hrabiego Melancholika na jakieś decyzje. W oczekiwaniu na ostateczną decyzję umila sobie czas, słuchając muzyki. Co ciekawe, mimo wielu artystycznych uzdolnień zupełnie brakuje jej wrażliwości na muzykę klasyczną, a bogata płytoteka hrabiego robi na niej wrażenie raczej swoją liczebnością i elegancją okładek niż wybitną zawartością. Puszcza zatem którąś z przypadkowo wybranych płyt, madrygały unoszą się jak dżin z odkorkowanej butelki wina, którą znalazła w kuchni, i dzwoni do przyjaciół, nabijając hrabiemu pokazny rachunek telefoniczny.

Czasami wydaje mi się, że wracam do miejsc odwiedzanych przecież po raz pierwszy,

mówi Karolina do słuchawki. To *deza wu* dopada mnie coraz częściej jak migrena, właściwie nieustępliwie prześladowuje, bo nie ma miasta, którego fragmenty nie wydawałyby mi się znajome, bliskie są mi poszczególne ulice, skwery, skrzyżowania. Czasem w jakiejś małej uliczce znajduję znajomy sklep ze słodyczami i alkoholami, przez którego ciasnotę - jestem tego niemal pewna - już kiedyś się przeciskałam, w dodatku spotykam tam kogoś dobrze mi znanego, poznaję go po zapachu, mam niemal psi węch, nigdy nie zapominam raz przenikających mnie woni. To może być również snobistyczna kawiarnia, gdzie stali bywalcy rozsiewają woń najnowszego Guerlama lub Cartiera; i mimo że nie znam na całe szczęście żadnego z nich, to samo miejsce z pewnością już mnie kiedyś gościło (choć przysięgam, jestem w tym mieście od wczoraj!), opowiada komuś przez telefon Karolina, patrząc na pusty balkon naprzeciwko. Tylko ja wiem, że po drugiej stronie ulicy nie ma jednak żadnego balkonu nie ma tam nawet domu, rozpościera się za to piękny widok na park, po którym nikt się nigdy nie będzie przechadzał. Dziwne, Karolina znów zwraca się do swego rozmówcy po drugiej stronie łączy, próbowałam kiedyś słuchać Brahmsa, delikatnie, najpierw tria, potem symfonie, szczególnie drugą, bo ponoć jest najlepsza, potem zabrałam się za Schuberta i Haydna (choć może powinnam mimo wszystko obrać jakiś inny porządek, na przykład alfabetyczny - zacząć od Bacha, bo, wybaczyć, Albéniza i Albinoniego można jednak sobie chyba darować, i dojść do Zelenki; oczywiście, na pewno pominęłabym Bartóka, bo boję się Sinobrodego). No i nic z tego nie wyszło. Czytałam jedynie biogramy kompozytorów i listy opusów, gubiłam się w numerach, pięciolinie trzymały mnie na uwięzi, a klucze wiolinowe były jak narzędzia tortur, tak naprawdę słucham z przyjemnością jedynie Hildegardy z Bingen, bo sama żyję jak mniszka. W dodatku trudno mi uchwycić tutejszy *Zeitgeist*, bo niestety hrabia ma chyba w pogardzie całą kulturę hiszpańską, nie znalazłam tu płyt z flamenco, na próżno szukałam także Cervantesa czy Lorki, są też u niego w nielące jayier Marias i Antonio Munioz Molina, a pism Ortegi y Gasset w ogóle nie uświadczysz. Ogród hrabiego jest zdecydowanie włoskiego kroju. Szkoda, że nikogo tu nie znam, jestem postnowocześnie wyobcowana, prawdziwa Baumanowska wędrowniczka. Ktoś się bardzo stara, żebym skrzętnie omijała dziwne miejsca, konsekwentnie nie odpowiadała na zaczepki, nawet na jednoznaczne uśmiechy billboardowych mężczyzn z reklam papierosów i wód kolońskich, prawie ogóle nie paliła, piła umiarkowanie, nie brała narkotyków, była cudownie niewinna i na tyle mało atrakcyjna, żeby można mnie było w każdej chwili z naprawdę czystym sumieniem skazać na niebyt. Ciągle jednak mam nieodparte wrażenie, że kręcę się w kółko jak nakręcona zabawka. Najgorsze, że nie bardzo wiem, co chcę robić dalej, dokąd pojechać, a przede wszystkim nie wiem, jak do ciebie wrócić. Kiedyś wszystko było

łatwiejsze, cel był jasno wyznaczony przez autora i bohaterowie literaccy nie musieli się martwić o jego osiągnięcie. Nie przejmuj się, mówi on po drugiej stronie linii telefonicznej, damy sobie radę. Pozwól, że zacytuję zdanie z pewnej książki: „Niechaj pan Robbe-Grillet nie poucza nas, jak robić powieść”. Przecież my i tak nieźle robimy swoje. Szkoda tylko, że się niebezpiecznie ode mnie oddalasz. Na tamtej wyspie, na której oczarował cię widok łodzi z czerwonym żaglem, wydawałaś mi się o wiele bliższa. Czuję, że mi się wymykasz, wyslizgujesz jak trzepocząca się ryba, już cię nie dosięgam, już cię coraz gorzej widzę, już prawie nie czuję twojego zapachu. Opływasz ode mnie sunącą po niebie łodzią z czerwonym żaglem i nie słyszysz mojego wołania. A kiedyś każda moja myśl była twoją myślą w mojej głowie. Zajrzyj, proszę, do tego *Rozkładu jazdy na liniach auto busowych, okrętowych, kolejowych i lotniczych* i zdecyduj się na jakieś dobre, szybkie i elektryzujące połączenie, byle bliżej mnie. Nie umkniesz przed swoim przeznaczeniem, dobrze o tym wiesz, zanim wyjechałaś, zdążyłaś przecież przeczytać mnóstwo książek. By cię odnaleźć, będę prowadził metodyczne, drobiazgowo śledztwo albo miotał się, zdając się na zbawienny przypadek. Mamy jednak coraz mniej czasu, bo z potworną szybkością zbliża się do nas galaktyka Andromedy. Jest ogromna, kilkakrotnie większa od tej zamieszkiwanej przez nas, wydawało się zaś, że już tutaj jest wystarczająco dużo miejsca, by nigdy nie było nam dane się spotkać, a przecież jeszcze nawet nie wyszliśmy poza Układ Słoneczny. Nasz wspólny układ jest, przynasz to z pewnością, bardziej księżycowy. Za raptem trzy miliardy lat dojdzie do wielkiego zderzenia, wspaniałej fuzji, z której narodzi się ósmy cud wszechświata, pomyśl, że moglibyśmy ten multimedialny fajerwerk zobaczyć razem na żywo, stojąc na brzegu bezkresnego morza. Być może wszystko przestanie kiedyś istnieć, zapadnie się pod ziemię jak dzielnica Zugló w pewnym opowiadaniu, które czytałem podczas podróży tramwajem 67 dworca Keleti. To, czego nie zdąży zniszczyć literatura, obróci wniwecz kosmiczna katastrofa. Może przeniesiemy się wtedy wreszcie w inny wymiar, wyemigrujemy do świata równoległego, odbierzemy klucze do mieszkania w zapomnianej przyszłości albo w oczekiwanej przeszłości. Poczekamy, aż wszystko się kompletnie wymiesza: czas z przestrzenią, twoje wspomnienia z moimi projekcjami, obejrzone przez nas filmy z naszymi wspólnymi snami, wysłuchane przeze mnie płyty z przeczytanymi przez ciebie powieściami (oddawałaś się zawsze bardzo wnikliwej lekturze, do dziś pamiętam notatki na marginesach i podkreślone ołówkiem zdania). Będzie prawie tak jak w pewnym powieściu, które niegdyś rozpałało moją wyobraźnię: *Dotknąć ziemi innego świata, wciągnąć głęboko w nozdrza woń tamtych roślin, zobaczyć wyraźnie i bez świadomości, że uczestniczy się w filmowym spektaklu, jak jedno pomarańczowe słońce chowa się za horyzontem, a drugie właśnie wstaje*

na niebie, ale uczynić to naprawdę. Poznać tamte kobiety, spędzać z nimi nieskończenie długie wieczory nad brzegiem bezkresnego morza, nad którym świecą blado dwa księżyce, może nawet obejmując jedną z nich, powiedzieć: dzieś tam daleko jest moja planeta, gdybym mógł, zabrałbym cię na nią, żeby pokazać nasze morza, nasze słońca i księżyce. Moglibyśmy w ciepłe dni siedzieć na plaży, pić piwo i patrzeć na zbliżający się z każdą cichą falą moment rozstrzygnięcia. Moglibyśmy spacerować po gęstych lasach i stromych wzgórzach, albo jeździć na nartach, a gdy już zatoczyłoby się kolo i znów stanęlibyśmy w obliczu lata) tym razem pojechalibyśmy do któregoś z naszych legendarnych miast, które na milionach turystów robią kolosalne wrażenie. Mamy naprawdę cudowne miejsca) w których pieczołowicie przechowujemy kości świętych, groby królów i nieznanymi żołnierzy, mamy gotyckie katedry i barokowe pałace strażników w historycznych strojach, skanseny sztuki ludowej, mnóstwo rodzajów muzyki, mamy literaturę będącą wyrazem naszych odwiecznych, niespełnionych tęsknot, marzeń i miłości, i mamy alkoholeś którymi się otumaniamy, gdy już nam literatura nie wystarcza.

Oczywiście nie mam zamiaru poznawać tamtych kobiet, nie będzie innych kobiet, będziesz tylko ty, I z tobą będę tylko ja, zresztą pewnie nie będzie już nikogo więcej. W każdym razie będzie mi żal tramwaju linii 67. Nie będzie zapewne tego upalnego Madrytu, w którym teraz się grzejesz (wciąż mnie prześladują ajbardziej perwersyjne sceny z filmów Almodóvara, ty, niestety, w tych scenach w roli głównej), i Londynu, do którego wkrótce raczy udać się hrabia Melancholik (widzę, jak tłum Hindusów pędzących na zakupy - jest czas sezonowych wyprzedazy - traktuje go na Oxford Street), zresztą, jak się domyślasz, hrabia Melancholik też raczy już wtedy nie istnieć i nawet jego płytoteka się nie osranie. Jakbym to gdzieś już czytała, albo w każdym razie coś podobnego, pisze Karolina, chyba nawet w *Plaży wspomnień*. To szło jakoś tak: *Oto zatrważająco szybko zbliża się wielka ognista kula) która już za chwilę pochłonie cały wasz dokładnie uporządkowany świat - wasze życia) a wraz z nimi wspomnienia) zamknięte w rodzinnych albumach zdjęcia ze ślubów i poślubnych podróży, zazdrośnie chronione plany na przyszłość, wstydlive tajemnicę, genialne pomysły i głupstwa jakich mało. Przybędzie i pochłonie tę latarnię morską wraz ze skarpą, na której stoi, wraz z plażą, na którą runie, i wraz z morzem, które najpierw wystąpi z brzegów, by potem także zostać pochłoniętym. I ani mnie, ani jej już nie będzie.*

Czyżby wpadła ci w ręce ta dziwna książka o pretensjonalnym tytule? Czyżbyśmy czytali te same książki? Wydawało mi się, że od czasu *Gry w klasy* (Boże, kiedy to było!) nasze literackie upodobania zaczęły się szybko rozjeżdżać w przeciwne strony (bo jak wiadomo mody przychodzą i odchodzą, jak - nie przymierzając - miłości), a tu wygląda na to,

że jednak czytamy te same książki! Eureka! Alleluja! Odkryłam twój słaby punkt, nieusuwalny guzie mojego życia, nabrzmiały tętniaku mojej podróży, nowotworze moich smutnych dni! Nie sądziłam, że mamy taki zbiór wspólny! Mam cię! I mam nadzieję, że czujesz się przynajmniej tak, jakby złapano cię w damskiej bieliźnie. Mój egzemplarz został w domu, zbyt to jednak byłoby niesmaczne, gdybym wszędzie z nim jeździła, ale wygląda na to, że do niego wrócę, o tak, teraz wrócę na pewno! Tymczasem Karolina znowu znika bez śladu, przepada jak kamfora albo jedyny dowód w powieści kryminalnej, ulatnia się niczym eteryczne wspomnienie szczęśliwych wakacji. Nie wiadomo, kiedy spakowała swoje cenne rzeczy, zabierając ze sobą nieodłączny *Rozkład jazdy na liniach autobusowych, okrętowych, kolejowych i lotniczych*. Czy wsiadła w pociąg do Lizbony? Czy podążyła w kierunku Gibraltaru? Czy udała się do Tangetu? Czy poleciała na Majorkę? Na razie wszelki ślad się po niej urywa w gmatwaniu madryckich ulic. On, bezwzględny najemnik fabuły, ustawia ostrość w swoim nikonie, jak celownik w snajperskim karabinie, czeka cierpliwie, aż Karolina się pojawi na linii ognia. Zaczają się na nią gdzieś w najmniej oczekiwanym miejscu, licząc, że wyłoni się z wilgotnej mgły spowijającej świat, wyjdzie z gęstego lasu, z którego dobiegają niewyraźne odgłosy dawnej przeszłości: krzyki żołnierzy ginących w krwawych bitwach rozegranych setki lat temu, spokojne kroki morderców ciągnących po leśnym poszyciu zwłoki swoich ofiar, płacz zrozpaczonej dziewczyny biegnącej na oślep przez gęstwinę, prowadzone cichym głosem rozmowy spiskowców gotowych na wszystko, monologu rozgorączkowanych szaleńców. Czekają, aż ona wyjdzie z kamienicy, wysiądzie z metra, wyskoczy z zatłoczonego autobusu, wynurzy się z oddali. On musi być we wszystkich miejscach naraz, nie może przeoczyć momentu, w którym Karolina wysiada z tramwaju na pętli linii 67 albo zamyka za sobą drzwi małego bistra, wychodzi z Muzeum Prado prosto w zabójczy lipcowy upał, zatrzymuje się na chwilę przy jakimś straganie na Portobello Road, je na stojąco w gorącym, zatłoczonym arabskim snack-barze, tkwi zaklinowana w kolejce do kasy w sklepie z orientalnymi przyprawami, przysiada w pustej restauracyjce na Zatybrzu, wypoczęta i opalona opuszcza po południu piaszczystą plażę, wylania się nagle zza rogu starego domu w Alfamie, płynie łodzią z czerwonym żaglem, wysiada w Luksorze z autokaru, którego pasażerów nie dosięgnął jeszcze bogobojny ogień terrorystów. On poprawia ostrość, dotyka delikatnie spustu migawki, jakby gładził cyngiel. Niezniechęcony, uparcie tkwi na posterunku. Czekają cierpliwie, bo wytrwałość jest cechą snajpera. A Karoliny ciągle nie ma w żadnym z tych miejsc. Ciekawe, jaką nagrodę wyznaczono za jej literacką głowę. Czy w ogóle jest warta zachodu? Niewygodnych podróży autobusami, monotonnych kolejowych tras, krótkich nocy w motelach z widokiem na nigdy niecichnącą szosę, warta płatków

kukurydzianych, mleka i dżemu na śniadanie? A czy gdyby - co przecież było marzeniem wielu - udała się na Wschód, gdyby zamiast na peronach Amsterdamu, Budapesztu czy Wenecji wysiadała na przepelnionych dworcach Bombaju, Kalkuty i Delhi, czy warta byłaby wschodu? Jego mądrości, kadzidel, kuchni, warta Kamasutry, Gilgamesza i chicken tikka masala? Podnosi się, bo leżał w zaroślach na wydmie, otrzepuje z piasku ubranie, opuszcza swoje stanowisko, schodzi w dół na plażę albo wraca przez las do wyludnionej miejscowości, wchodzi do wynajętego pokoju pensjonacie, szybko wrzuca do torby podróźnej swoje rzeczy, zostawia w drzwiach klucz, zbiega po schodach i wychodzi na ulicę, kierując się w stronę dworca. Stoi nad brzegiem kilkunastometrowej przepaści, zmienia film w aparacie, a potem zawzięcie ustawia obiektyw, nagle poślizguje się na mokrym kamieniu, ledwie uchodzi z życiem. Ostrożnie cofa się na czworakach z brzegu dachu, podnosi się, chowa sprzęt do Futerału i przez strych schodzi na dół, opuszcza dom, wsiada do samochodu i odjeżdża bez pisku opon. Krąży po Madrycie, wreszcie odnajduje odpowiedni adres, przechadza się po wąskiej uliczce. Na balkonie stoi młody mężczyzna o wyglądzie globtrotera z modnym, trzydniowym zarostem i papierosem w dłoni, jakby wycięty z wielkonakładowego tygodnika. Nikt taki tu nie mieszka, odpowiada dobitnie mężczyzna na pytanie o hrabiego Melancholika, na pewno bym wiedział albo zauważył, jestem piekielnie spostrzegawczy, przed moim wzrokiem nic się nie ukryje. Wszystko na nic, trzeba szukać dalej. Przemierza kolejne miasta, korzysta z podziemnych kolejek, podróżuje tramwajami, zamawia taksówki, wypożycza samochody, wsiada do autobusu linii 7 jeździ od pętli do pętli, z bezmyślnym uporem snuje się po osiedlach, uważnie lustruje mijane ulice, włóczy się po przedmieściach, odwiedza mało atrakcyjne dzielnice starych kobiet i kotów, miesza się z tłumem ofiar sezonowych wyprzedaży, godzinami przesiaduje w przytulnych kafejkach, ale ciągle nie może dojść do celu. Stara się nie zwracać na siebie niepotrzebnej uwagi, chowa się za płachtami gazet, przemyka niepostrzeżenie, co rusz gubi się w tłumie. Żadnego efektu nie przynosi wystawanie przed wejściem do stacji metra Bond Street w Londynie, Montmartre w Paryżu i Centraal Station Amsterdamie, gdzie każdy (jak widać, oprócz niej) musi się w końcu pojawić. Wyjeżdża upokorzony z Madrytu, Lizbony, Rzymu, Budapesztu, Berlina i Aten. Poszukiwania się nadmiernie przeciągają, nie dając spodziewanego rezultatu. Zleceniodawca coraz bardziej się niecierpliwi, a jemu brakuje już detektywistycznej inwencji. Chyba naprawdę nie ma na świecie miejsca, którym można byłoby ją spotkać, jej obecność nigdzie nie jest pewna i bezdyskusyjna, tak oczywista, że aż namacalna. Czy jej istnienie nadal pozostanie czystą spekulacją, intelektualną grą, słynną zabawą w pogoń za króliczkiem? Oplacony przeze mnie zabójca nie wywłazuje się z zadania, po raz pierwszy ponosi

spektakularną klęskę. Ten, któremu nie oparli się gwiazdorzycy kultury masowej i politycy z pierwszych stron gazet, nie potrafi sprostać powieściowemu wyzwaniu. Gdzie jest w takim razie Karolina, skoro nigdzie jej nie ma? W czym jest gorsza od bohaterek sag rodzinnych, filmowych melodramatów i czarnych kryminałów, kobiet z powieści o dojrzewaniu, nastoletnich piękności starzejących się przykładnie z rozdziału na rozdział, postaci, których losy są nierozzerwalnie splecione z najważniejszymi wydarzeniami w historii świata? Czy dla uwiarygodnienia siebie samej musi koniecznie przeżywać płomienne romanse rozgrywające się w przebogatych sceneriach wojen i rewolucji? Czy zawsze wystarczającą gwarancją istnienia powinno być niemowlęctwo, dzieciństwo, młodość i niezaprzepaszczona dorosłość? Jakby dowodem w sprawie nie mogły być te wszystkie kanapki, które zjadła, te wszystkie herbaty i kawy, które wypila w kawiarniach i bistrach, te wszystkie papierosy, które samotnie wypaliła. Może jednak kiedyś ratownicy wyciągną jej wiotkie ciało z kłębowiska żelastwa, tyle że pewnie i tak nie uda się go rozpoznać, bo w temperaturze tysiąca stopni żadne ciało nie zachowa swojej powabnej wiotkości. Dlaczego wstała tak rano, miała przecież szansę zaspac na ten nieszczęsny kurs, wczoraj wypila za dużo caberneta w gwarnej knajpie pełnej opalonych narciarzy, rano bolała ją głowa, gdy gwałtownie wstała, żeby pójść do łazienki, przed oczyma zatańczyły czarno-czerwone plamy, musiała złapać się szafę, żeby nie upaść, i przez chwilę pomyślała, czy by trochę nie odpocząć, poleżeć, pójść na stok trochę później, ale jednak szybko się ubrała i wyszła. Czy naprawdę nie da się jej gdzieś ujrzyć w obcisłych spodniach narciarskich, polarze i czerwonej kurtce? Musiałaby wspaniale wyglądać z rozwianymi do tego włosami, których z powodu pośpiechu nie zdążyła związać. Jak zwykle wzięła narty i poszła szybkim marszem w rozpiętych butach do kolejki, bo przecież szkoda dnia, szkoda życia, szczególnie teraz, gdy jasne jak przyszłość słońce tak subtelnie farbuje czystą biel śniegu. W ostatniej chwili zdążyła właśnie na tę kolejkę. Zawsze potrafiła zdążyć, nie spóźnić się na wykład, nie stanąć w bezsilnym ośmieszeniu przed dopiero co zamkniętymi drzwiami autobusu, umiała wskoczyć w ostatnim momencie do wagonu metra, wyrobić się na każdy samolot, przybyć na czas na umówione spotkanie, punktualnie zawitać do znajomych. Pomoc idzie z całego kraju, a także z zagranicy, poszczególne rządy składają szczerze wyrazy współczucia deklarując wsparcie. Rzecznik prasowy służb ratowniczych obiecuje, że badania DNA zostaną przeprowadzone tak szybko, jak tylko się da. Ale czy uda się niezbitnie stwierdzić, że ona też znajdowała się w wagonikach kolejki? Naprawdę wszyscy pracują bez wytchnienia i z najwyższą ofiarnością, proszę nam wierzyć, robimy wszystko, co w naszej mocy, i niechaj moc będzie z nami. Jak wyjaśnić tajemnicę, której wyjaśnić się nie da? Gdzie znaleźć to delikatne ciało? Skąd wiadomo, że jest nieodwołalnie martwe? Czy to

nieszczęśliwy wypadek, czy też czyjeś zamierzone okrucieństwo? Czy można liczyć na badania DNA przeprowadzone tak szybko, jak się tylko da? Jak się uwolnić od tej pamiętnej, porażającej doskonałości, wkraczającej w przejmujący chłód uniwersyteckiego budynku? Może wcale niekoniecznie trzeba ją od razu wynosić na noszach, przechowywać czarnym plastikowym worku, wieźć długim, słabo oświetlonym korytarzem do kostnicy, wystawiać na widok publiczny w otwartej trumnie, towarzyszyć jej w ostatniej drodze do krematorium. W końcu może się przecież nie znaleźć na żadnej liście pasażerów, gości, turystów, jej charakterystyczne nazwisko wcale nie musi figurować w książkach meldunkowych agencji wynajmujących pokoje. Da się to sprawdzić bardzo skrupulatnie: nie nocowała w żadnym prywatnym pensjonacie, żadna jednostka specjalna nie zarejestrowała jej obecności w żadnym przeklętym miejscu w żadnym Feralnym czasie. Nie było jej zatem w tej kolejce, nie było jej na tym promie, w tym tunelu, na tej autostradzie. Znowu nigdzie jej nie było, a ja podążałem Falszywym tropem. Gdzie więc jest Karolina, skoro nie ma jej w szpitalach, kostnicach, na katafalkach cmentarnych kaplic? Dokąd teraz planuje kolejną podróż, uważnie wczytując się w gęsto zadrukowane strony *Rozkładu jazdy na liniach autobusowych, okrętowych, kolejowych i lotniczych*, w tabelki z godzinami odjazdów i przyjazdów? W jaki przemyślny sposób chce mi się po raz kolejny wymknąć? Przecież właśnie kończy się lato i najwyższy czas rozpocząć wiwisekcję kawiarnianych pogawędek, trepanację najświeższych plotek. Pora już powrócić z sezonowych ucieczek prosto w ramiona znajomych, w kleszcze codzienności, w lobotomię telefonów, w pętlę czasu, która niezauważalnie owija się wokół szyi. Spokojnie na nią czekam, bez ruchu, zakamuflowany, niech tylko złoży mi niezapowiedzianą wizytę, a przyjmę ją ciepło i wyrozumiale.

Zawsze dziwnie lubiłam ostatnie dni lata, pisze Karolina w długim jak grudniowa noc liście. Nie wiadomo jednak, gdzie ten list został napisany. Adres, spod którego go wysłała, należy do wielkiego międzygalaktycznego serwera, więc mogła go napisać gdziekolwiek, w jakiejś internetowej kawiarni tonącej w fioletowym świetle albo w wielkiej bibliotece, do której poszła, by poprzeglądać *Żywoty najslawniejszych malarzy, rzeźbiarzy i architektów* Giorgia Vasariego oraz *Ikonografię* Cesarego Ripy w poszukiwaniu alegorii swojej nieustającej podróży czy też nawet alegorii swojego doskonałego nieistnienia. Moja pozbawiona inwencji wyobraźnia nakazuje jej pisać elektroniczne listy w czytelni jakiegoś legendarnego angielskiego lub Francuskiego uniwersytetu, a potem spacerować wzdłuż kanału, po którym pływają płaskodenne łodzie, sterowane przez dorabiających sobie w ten sposób studentów, ubranych w śmieszne kapelusze i dobrze czujących się w roli przewodników po legendarnej Alma Mater. Ta sama nieoryginalna wyobraźnia każe mi

patrzeć na nią, kiedy przystaje na moście, spogląda na wodę, a potem na łodzie, siedzi w herbaciarni i odgarnia ręką włosy, pochyla się nad jakąś książką (nie wygląda mi to raczej na modną powieść, nic nie poradzę, ale mam nieodparte wrażenie, że to jednak turystyczny przewodnik) albo skupiona nad widokówką, stara się na niewielkiej powierzchni zmieścić jak najwięcej banalnych wiadomości.

Pewnie jednak siedziała wtedy na jakiejś wyspie laptopem na kolanach, a w kadrze pojawiła się oczywiście sunąca powoli łódź z czerwonym żaglem. Mogła też ten list przewrotnie napisać i wysłać z miejsca, do którego nigdy, mimo usilnie ponawianych prób, nie udało jej się dotrzeć. Zawsze lubiłam ostatnie dni lata i spontaniczne ucieczki, pisze Karolina w tym długim liście, przypominam pewnie jakiegoś małego gryzonia albo owada, któremu instynkt podpowiada, jak uniknąć zagrożenia. Dzięki temu nieomylnemu wyczuciu sytuacji moja rodzina nie musiała dotąd wydawać pieniędzy na nekrologi w prasie, składać się na symboliczny pochówek tych nędznych resztek, które udałoby się wydobyć z jakiejś górskiej kolejki, albo towarzyszyć ostatniej drodze napuchniętej topielicy, wyciągniętej zimnych odmętów Morza Północnego, czy też rozpaczać nad rozkładającym się ciałem odnalezionym przez śmierdzącego kloszarda w śmietniku. Gdybym nie podejmowała ciągłych prób ucieczki, zostałabym w końcu gruntownie opisana i pochwycona w sidła ciasnej rutyny. Byłyby już teraz przede mną tylko przewidywalne cele: perspektywa ewentualnego awansu w biurze, długo odwlekane kupno nowych butów, coraz głośniejsze uderzenia zegara biologicznego, ostatnia szansa na bezpieczne macierzyństwo... Ale nie znaczy to wcale, że uciekałam przed dorosłością i odpowiedzialnością, przed wszystkimi ośmi stającymi w gardle, potrafiłam się zachowywać w sposób wielce godny i dojrzały, choć zdarzało się, że rzucałam się w wir nieodpowiedzialności, poznawałam mężczyzn niewartych poznania i pieprzyłam się z nimi tak, że potem mdlałam w autobusach. Moja wiedza jest tak bardzo ograniczona, tak niewiele wiem, więc zmyślam nieudolnie, niezgrabnie spekuluję, nieszczęśliwie składam słowa. Do następnych zdań już nie docieram, list ciągnie się wszystkimi nocami, nad ranem pismo się rozmywa, wszystkie wyrazy znikają, a kartka kruszy się w rękach i rozsypuje w proch. Brakuje mi pracowitości benedyktynów rozpaczy, spędzających długie wieczory i całe noce, aż po świt, na tworzeniu bezbłędnych rozkładów jazdy, dzięki którym można bezpiecznie wsiąść do tramwaju linii 67 wsiąść na długiej półkuli, w pamięci zachowując wszystkie możliwości przesiadek. Dopada mnie senność, nim złożę słowa w opowieść, zapadam się w ciemność i śni mi się Karolina. Na jakie manowce mnie tym razem wyprowadzi, do jakich bezkresnych wrzosowisk obłądu przywiedzie? Powoli dochodzę do siebie, znajomym mówię: dajcie mi spokój, potrzebuję czasu, niech będzie

choćby Formie płynnej, zamknięty w srebrnej puszcze z napojem energetyzującym, niech się otrząsnę z tej słabości, niechaj zrzucę z powiek senne wcielenia Karoliny, jej Fryzury, których nigdy sobie nie ułożyła, erotyczne tatuaże, jakich nie zrobiła, ubrania, których nie założyła. Jako narrator niewszystkowiedzący bezskutecznie dociekam niemożliwych do ustalenia Faktów, zasypując siebie i innych chaotycznymi pytaniami: gdzie się tak pieprzyła i z kim, czy to były czasy, gdy zobaczyłem ją pierwszy raz, jak w ten upalny dzień, w białej bluzce wkroczyła w chłód uniwersyteckiego budynku. Dlaczego brakuje mi czasem powietrza do oddychania, a dziwny niepokój podstępnie wkrada się w leniwe myślenie? Z kim Karolina mogła się żegnać na lotnisku w Heraklionie, skąd miała połączenie do Aten? Kto siedział za sterem łodzi z czerwonym żaglem, pojawiającej się tak nagle, cicho, niemal bezszelestnie i równie szybko znikającej? Co mogło nadawać jej bieg: człowiek? wiatr? jakaś myśl? W ostatnie dni lata czułam się zawsze taka bezbronna, pisze Karolina w swoim długim liście, nie obawiałam się jednak nadchodzącej jesieni, zimna nie pozwalającego mi zasnąć, wiatru budzącego mnie przed świtem, zmierzchów o czwartej po południu, paraliżującego chłodu nocy i dusznej bezsenności rzucającej mną po ulicach. Nie przerażało mnie to męczące wyczekiwanie na dobrze znane niewiadome. Jakkolwiek by to nie zabrzmiało, niech będzie wreszcie powiedziane - czułam się bezbronna wobec czasu. Nie wiem więc naprawdę, dlaczego lubiałam schyłki lata, przecież nie powinno się lubić swojej bezradności. W ostatnie dni lata powinnam była trząść się ze strachu, a przynajmniej skulona w kącie cicho płakać, widząc, że moje kolejne dni nieodwołalnie mijają, znikają w mętnej głębi czasu jak tonące kamienie. Dlatego może uciekałam, choć nigdy nie ogarniała mnie panika. Nigdy nie wyjeżdżałam w pośpiechu i zawsze wracałam powoli. Wszystko miałam zaplanowane, zarezerwowane i wykupione. Pakowałam się, nie zapominając o czekach podróżnych, kartach kredytowych i nieodłącznym *Rozkładzie jazdy na liniach autobusowych, okrętowych, kolejowych i lotniczych* - bez niego nigdy nigdzie bym nie dojechała. Udawałam się więc na najbliższy dworzec, wsiadałam do międzynarodowego pociągu, wysiadałam w jakimś mieście, przymusowym przystanku w podróży donikąd, odbierałam w kasie zarezerwowany bilet i kierując się wskazówkami zawartymi w *Rozkładzie*, podróżowałam bez wytchnienia, byle dalej, bo jeśli już wracać, to naprawdę z daleka. W istocie wyjeżdżałam tylko po to, by móc wrócić, wsiąść w taksówkę, spokojnie podawać kierowcy adres, a potem zamknąć się na chwilę w muszli milczenia i z uwagą patrzeć przez okno. I znów widziałam znajome ulice, domy, klatki schodowe, drzwi, te same meble, tę samą pogodę, ten sam zmierzch przed tym samym porankiem. Od jakiegoś czasu wozilałam również ze sobą tę dziwną książkę o pretensjonalnym tytule, ślad po miejscu, którym kiedyś przez jakiś czas mieszkałam. Zgubiłam jej okładkę, a

potem niefortunnie podarła się strona tytułowa, ale miałam nieodparte wrażenie, że *Plaża wspomnień* (a może jednak były to *Wyspy pamięci*?) ocalałaby z każdej katastrofy, nie unicestwiłby jej nawet wielki meteor, za którego sprawą nasz świat zniknąłby bezpowrotnie. W dzielnicy starych kobiet i kotów nie było żadnych plaż, żadnych wydm, żadne morze prócz morza czasu nie wznosiło groźnie swych Fal. Myślałam o tym, żeby napisać kiedyś powieść. Oczywiście pomysł z góry skazany na klęskę, choć być może niektórzy jeszcze pamiętają moje wiersze zamieszczone w studenckim piśmie. Choć być może jest właśnie na odwrót - oni najszybciej zapomnieli o tych nieudanych sonetach, bo po co mieliby pamiętać Frazy moich wierszy, skoro mogli zapamiętać noce ze mną. Pewnie wspominają tylko (mam nadzieję, że nie cytują publicznie!) ci, których nie dopuściłam bliżej niż na wyciągnięcie drżącej ręki z zapalniczką. Zawsze gubiłam zapalniczki i musiałam później grzecznie prosić o ogień, zbiegali się jak gołębie do nakruszonego z okna chleba - cuchnący stęchlizną, szarzy, wszyscy tacy sami i jak gołębie roznoszący choroby. Być może jednak przy okazji przeżyłam też jakąś miłość. Nie pamiętam, pamiętam tylko miejsca lub ich wyobrażenia. Nie ma rzeczy, są tylko ich idee, nie ma miejsc, jest tylko pamięć po nich. No i ja jestem - na centralnych placach nieistniejących miast, szukająca zlikwidowanych połączeń, zagłębiająca się w spokojne ulice wymarłych dzielnic, wchodząca do pustych barów albo zatłoczonych pubów, czytająca nigdy nienapisane książki, korzystająca z połączeń, których nikt jeszcze nie wymyślił. Nie, nie ma tu żadnej sprzeczności, jako upadła poetka wiem, że mogę to porównać do metafory - powstaje z rozmysłem, ważą się wszystkie za i przeciw, dobiera się odpowiednie słowa, a potem jest już tylko entuzjazm, że to tak pięknie brzmi i niesie ze sobą ważki przekaz. No tak, mógłby się ten akapit znaleźć w *Plaży wspomnień*. Mogłabym nawet napisać jej ciąg dalszy - *Plażę odzyskaną*: oto wszystko się w pierwszych zdaniach odwraca, zakończenie jest tylko początkiem, z łatwością wstają zmarli bohaterowie, cofają się fale morza, bo co łatwo przyszło, równie łatwo odchodzi, z ruin powstaje latarnia morska i pnie się ku błękitnemu niebu, hotel rozbrzmiewa radosną muzyką, pleśń się osuwa po jego ścianach i znika bez śladu, kurz znika z mebli, nie ma już żadnego kurzu, nie ma żadnej pleśni. To miała być jednak powieść o dzielnicy miasta, które nie leży nad słonym morzem (a jedynie nad bezbrzeżnym morzem czasu), więc nie ma tam żadnych latarni morskich, ani nawet hoteli rozbrzmiewających muzyką. Chciałam napisać książkę o dzielnicy obrosniętej pleśnią i pokrytej kurzem, o dzielnicy, w której to wszystko mogło się zacząć, choć przecież nie wiem, gdzie to wszystko się zaczęło, i nie wiem, gdzie i kiedy się skończy. Jeżeli bowiem istnieje coś naprawdę, to tylko moja niepewność. I nie jest to jedynie banalna niepewność jutra - jest także niepokojąca niepewność przeszłości. To, co się zdarzyło, być

może wcale nie miało miejsca, chyba że tego miejsca i tych zdarzeń nie pamiętam. Miałam napisać powieść o jednym z niewielu miejsc, które jeszcze pamiętam, o smutnych porankach i przerażających zmierzchach przy skwerze imienia bohatera walk narodowowyzwoleńczych, o pustce tamtych ulic, o gorących letnich dniach w dusznym ogrodzie domu, w którym mieszkałam i do którego wciąż myślę powrócić, choć z pewnością nie zdążę, bo czuję, że czas się gwałtownie kurczy i marszczy, a zabójca jest coraz bliżej. Zaczęłam nawet pisać tę książkę, któregoś z tych dni, gdy za nic nie chce się wychodzić z domu (macie tu hipotetyczni recenzenci śmiertcionośną broń do ręki - rzecz pisana z nudów, dla zwykłego zabicia czasu) i zamieniać postrzępionego szlafroka na nic okazalszego, gdy żywi się wyłącznie mocną kawą i mentolowymi papierosami. Tak oto brzmiały pierwsze zdania: *Dzielnica tajemna. Ze śródmieścia wiedzie tam wybrukowana droga, po któ rej jedzie się głośno, z charakterystycznym szumem wydobywającym się gdzieś spomiędzy ulicznych kostek, szpar pomiędzy nimi, zamieszkiwanych przez mikroskopijne stworki. Jeżeli nie samochodem, a żółtym tramwajem, to klekoczącym 67, którego pudło, koleb4c się na boki, mozolnie pokonuje Thokoly Utca, przedziera się przez zatłoczone skrzyżowanie z Hungaria kii rnt i całą siłą mięśni motorniczego ipasażerów dąży w kierunku Alei Króla Ludwika Wielkiego. Po prawej stronie aorty odchodzi żyła, która kiedyś nazywała się ulicą Lumum by, a dziś ma zupełnie inne imię. Ulica Lumumby, a przed nią kilka wąskich, zasypanych liśćmi uliczek z narostami killkurodzinnych, dwu i trzypiętrowych domów. Tych przy Taller ut., i tych przy Videk ut., w których chyba od zawsze mieszkały te same rodziny, gdzie stare, wypielęgnowane z dokładnie utrefionymi siwymi włosami, wspartymi na rusztowaniach szpilek i spinek kobiety, karmiły koty, hodowały w klatkach koło śmietnika wielkie leniwe króle, a potem umierały na raka w wieku stu, lub stu pięćdziesięciu lat, ich synowie włóczący się po ogrodzie w przetartych dresach lub spędzający całe dni przed telewizorem, popijając białe wino rozcieńczone wodą z syfonu z wymiennymi nabojami jak pociski artyleryjskie, apotem umierający przed swymi telewizorami na zawały. Ich żony, wciąż, od dziesięcioleci nieprzerwanie zmywające naczynia i szykujące w ekspresie małą, cholernie czarną, i córki, wnuczki, bo to planeta kobiet, wspinające się po drzewach, przebiegające szeroką Thókóly tuż przed nosem tramwaju i rozwartą, wściekłą paszczą samochodu, do sklepu po drugiej stronie po słodycze i „Traubisodę” jeżdżące z zawrotną szybkością po tych wszystkich krótkich, zakręcających pod kątem prostym uliczkach na rowerach, właśnie tych błyszczących metalicznie, z dzwonekami i trąbkami, które później zardzewieją wpiwnicy, tak jak skrzypce Eriki czy kimono do judo Zsuzsy.*

Nigdy nie potrafiłam wyjść poza te parę zdań zachowanych w starym brulionie,

jakbym pisała powieść marynistyczną i nie wiedziała, co zrobić po skreśleniu pierwszego zdania: „Sztorm szalał całą noc”. Nic, żadnego kroku, zupełny paraliż, całkowita niemoc. Nie umiałam opisać ani miejsca, ani czasu, poniosłam całkowitą i kompromitującą klęskę mitograficzną. Bo być może tego się po prostu opisać nie da, to miejsce, gdzie zupełnie nic się nie dzieje. To byłaby powieść bez żadnej akcji, bez fabuły, lektura dla kilku zaledwie osób. T przy odrobinie nieszczęścia także dla hipotetycznego recenzenta, którego znużenie powoli przechodziłoby rozdrażnienie, początkowa pobłażliwość w rozsierzenie, i który z zajadłością pisałby później na odpowiednich łamach: *Najgorzej, kiedy autor (tutaj autorka) cierpi na nadmiar wolnego czasu i próbuje go zabić w literacki sposób. Gdy czytanie cudzych książek - czynność niewątpliwie szlachetna - przestaje już niestety wystarczać i samemu próbuje się zostać pisarzem, co jest już okrucieństwem. To chyba najgorsza motywacja, jaka może się niespełnionemu pisarzowi przytrafic z taką też niestety mamy do czynienia w przypadku Plaży odzyskanej, powieści, która co najwyżej mogłaby zdobyć laury w kategorii największego nudziarstwa na rynku czytelnicy; nudziarstwa, dodajmy, skrajnie wręcz pretensjonalnego. Pomyślmy, co by się stało, gdyby wszyscy niewymownie cierpiący na nadmiar wolnego czasu - emeryci, renciści, bezrobotni, przewlekle chorzy - zaczęli na potęgę pisać, i co gorsza, wydawać powieści. To byłby prawdziwy kataklizm - istna lawina meteorytów tunguskich spadająca nam na głowy! A przecież jest tyle pożytecznych rzeczy, którymi można się zająć, zamiast zajmować czas innym, za-miast znęcać się nad czytelnikami swoją bardzo wątpliwą jakością wirtuozerią. Można być piel ęgniarką w szpitalu (choć nie wiem, czy to najlepszy pomysł, bo jeśli autorka równie nieumiejętnie jak kleci metafory, miałyby wbijać igły z za-strzykami - Boże, miej w opiece jej pacjentów!), można poświęcić się pomocy ubogim i bezdomnym, których liczba w naszych miastach rośnie w zastraszającym tempie (ci nieszczęśnicy w jednym są szczęśliwsi ode mnie - nie musieli czytać Plaży odzyskanej), można wreszcie zaopiekować się porzuconymi psami, i im prosię deklamować swoje wynurzenia - ludzi proponowałbym zostawić w spokoju. Zawsze mi się wydawało, że wolny czas to dobrodziejstwo. Po lekturze Plaży odzyskanej zrozumiałem, że to przekleństwo. Bo Plaża odzyskana to landsza# najmarniejszej jakości, suknia źle skrojona, z najtańszego materiału, a mimo to udająca - jakże nieudolnie - suknię balową. Suknię na pierwszy bal pensjonarki.*

Któż by dokładnie po takiej recenzji przeczytał tę nieszczęsną powieść? Kto bez wstydu sięgnąłby po nią na księgarskiej ladzie? Być może tylko ten, który idzie za mną krok w krok, którego postać wciąż gdzieś widuję: w parku, na plaży, w wąskiej uliczce, na przeciwległym balkonie, przy innym stoliku w kawiarni, na pustym peronie, na zatłoczonym

lotnisku, na nabrzeżu, do którego dobija mój prom, w drugim wagonie metra, na końcu tramwaju, gdy dyskretnie odwrócony tyłem udaje, że uważnie obserwuje ulicę. I choć czuję, że przyczyny, dla których podąża moim tropem, są apolityczne; choć z całą pewnością mogę stwierdzić, że nie stoją za nimi żadne utopie ani resentymenty, etatyzm ani liberalizm, kosmopolityzm ani ksenofobia, nie śledzi mnie z przyczyn socjalistycznych ani nacjonalistycznych, to drażni mnie jego ostentacyjne poszukiwawcze umiarkowanie. Choć może jego metody też nie będą drastyczne? Będą umiarkowane, jak moje jedzenie i picie, jak polityczne poglądy moich rodziców, umiarkowane jak zachmurzenie nad całą Europą Środkową.

Karolina, melancholijna mieszkanka Europy Środkowej, nad którą nieco się chmurzy (pewnie zaraz znowu zacznie padać), siedzi nad Filizanką kawy i opowiada. Opowiada i kłamie; ponieważ nie potrafiła stworzyć przejmujących wierszy ani wspaniałych powieści, próbuje przynajmniej opowiadać wielkie kłamstwa, bo jeszcze pamięta, że na początku była literatura oralna. Niektórzy jej wierzą, inni tylko wiarę udają, wszyscy jednak słuchają z prawdziwym zaciekawieniem. Karolina potrafi być wiarygodna, mogłaby być cudowną oszustką, oddawaliby jej ostatnie pieniądze, przepisywali na nią limuzyny i nieruchomości, a ona znikałaby później w oślepiających blaskach przechwyconej biżuterii, w grudniowym świeżym śniegu, w listopadowych mgłach, w kłębach wyskakujących spod kół samochodu październikowych liści, w ciepłych promieniach wrześnieowego słońca, w sierpniowych upałach i lipcowych nocach. Tak trudno jej zaufać nawet mimo najlepszych chęci, gdy po kolei wciela się w Annę Kis, Zusę Mikseth, Martę Krudy, Agnes Moricz i Erikę Kosztolenyi:

Roześmiana stałam na dworcu Keleti, mówi, i beztrąsko pozowałam do zdjęcia. Szykowałam się do podróży, z której bardzo chciałam wreszcie wrócić. Tymczasem wracają tylko natrętne obrazy - klekoczący, stary, żółty tramwaj linii 67, dziwna łódź z czerwonym żaglem, która pojawia się uporczywie i zastanawiająco, a ja naprawdę nie wiem, kto siedzi za jej sterem, i aż boję się domyślać. W dzieciństwie byłam jak chłopcy, wiecznie z potłuczonymi kolanami, potrafiłam wspinać się na drzewa, nawet grać w piłkę. Nigdy nie bałam się myszy ani karaluchów, nie brzydziłam się żab, nie uciekałam przed potworami czającymi się w ciemnościach, nie cierpiałam nawet na strach przed podróżą, niepokoiły mnie tylko literatura i muzyka. Dziś zaś lękiem napawają mnie niektóre natrętne powracające obrazy, wzdrygam się na samą myśl o nieudanych metaforach i przeszarżowanej fabule, szepcze zmysłowym głosem Karolina-oszustka, obawiam się niebezpiecznego splotu wątków i wywrotowej akcji, która w pogoni za atrakcyjnością będzie gotowa zepchnąć mnie na boczne tory pokrętej opowieści albo nawet spisać na straty bezowocnej lektury. Dla

wciągającej fabuły gotowi są nade mną bezlitośnie znęcać, okłamywać mnie bez skrępowań, gwałcić, mordować, ćwiartować moje ciało i dźgać szpikułkami mózg, profanować zwłoki i sakralizować moje najpodlejsze wspomnienia. Wszystko w imię fabuły, literatura afabularna w kraju, gdzie wszystko jest literackim zmyśleniem, nie ma prawa do istnienia. Moje życie nie jest wcale wciągającą historią literackiej klęski, większej niż wszystkie słynne militarne klęski, których doświadczyli dzielni przodkowie Eriki Kosztolenyi, moralne klęski rodziców Anny Kis, miłosne przegrane Agi czy sportowe Marty, a nawet te wszystkie klęski, których nie było, a przecież mogły tak dobrze wyglądać i dawać się z rozrzewnieniem wspominać. Mogłabym skupić się na krótszych formach, opowiadaniach obrazując, że rzeczywiście najpiękniejsze są chwile naszych klęsk. Pisałabym to pod wy-dumanym pseudonimem, może nawet dla niepoznaki z męskim narratorem, i dawała temu eleganckie tytuły, na przykład *Pamiętnik mordercy*. Pisałabym tak: *Miałem wtedy ledwo ponad dwadzieścia lat, a więc przeżywałem boleśnie radosny wiek artystycznych uniesień. Dni spędzałem na uniwersytecie, przysypiając na wykładach i ćwiczeniach, bo noce rezerwowałem dla knajp, w których spierałem się o principia. Mocnymi, szybkimi kopnięciami obalałem uznane sławy, zrzucałem z pomników spiżowe wielkości, przekreślałem jednym celnym jak strzał w potylicę słowem dokonania najtęższych umysłów paliłem biblioteki i obracałem w perzynę gmachy uczelni. Bywałem patetyczny ipijany, wrażliwy i brutalny, byłem wprost archetypalny. Budziłem się, gdy inni zasypiają, układałem się do snu, gdy zmęczeni robotnicy i urzędnicy szli do pracy. Żyłem poza czasem, więc czas na wszelki wypadek też trzymał się ode mnie z daleka. Potrafiłem dać w mordę i umiałem też namiętnie całować. Moje krótkie dni i długie noce miały się jak szybkie pociągi, tak rozmyte, że nie sposób było zauważyć kto stoi w oknie naprzeciwko, co się maluje na jego twarzy: melancholia podróży, zmęczenie życiem, tęsknota za domem, pragnienie ucieczki? W tych krótkich chwilach, które nie były ani dniem, ani nocą, musiałem znajdować czas na wszystko pozostałe: czytanie i pisanie wierszy oraz opowiadań, w których zbyt mocno objawiały się zmory obudzone alkoholem i lekkimi narkotykami. A raz obudzone, nieodwołalnie”popadały w bezsenność snuły się po brudnych ulicach, w nieustającym deszczu, w zabójczej mgle, w niegdysiejszym śniegu, miały się, zawodząc potępieńczo po zakurzonych zakamarkach mieszkania, jęczały w mroku cuchnącej klatki schodowej.*

Cieszyłem się wtedy niejaką sławą, sławą lokalną, bo ograniczoną jedynie do tego głośnego belkotliwymi okrzykami środowiska, z którym się tak często upijałem i lekko narkotyzowałem, i które w konsekwencji poznało niektóre z moich wierszy i opowiadań. To było małe środowisko i ja też byłem mały, choć wydawało mi się, że jestem wzniosły, żywcem

wyjęty z symbolistycznych lub futurystycznych wierszy, że idę młody, genialny, trzymam ręce w kieszeniach, stawiam kroki milowe, zamaszyste jak świat. Chciałem pić i chciałem się bić, i robiłem to, bo tak naprawdę nic innego nie potrafiłem. Marzyłem o laurach i o kobietach, a więc marzyłem o nieśmiertelności. Nie ma straszliwszych marzeń. Moja mała nieśmiertelność uciekała każdego świtu, wyswobadzała się z mych bezwładnych ramion, wysuwała spod koldry, cicho się ubierała i dyskretnie wychodziła. Każdy dzień stawał się coraz bardziej samotny i pusty, zupełnie jak w głupich piosenkach. Nienawidziłem tych piosenek, wyrzucałem przez okna radia i magnetofony, łamałem i deptałem płyty. Czytałem klasyków, bo chciałem ich pobić, ale jak z przerażeniem zauważyłem, jedynie ściągałem z nich nieudolnie. Gdy trzeźwiałem, świat stawał przede mną w swej najbardziej porażającej postaci więc by świat zwyciężyć upijałem się. Wtedy znów walczyłem, ze światem, zżyciem, z literaturą, i w tej walce pięknie ginąłem. Budziłem się skostniały w nieogrzewanych akademikach i próbowałem znów nieudolnie ten świat oswoić Świata jednak oswoić się nie dało: nie chciał skakać na dźwięk bata przez płonącą obręcz, nie aportował, nie łasił się i nie szedł przy nodze. Warczał i gryzł, więc i ja gryzłem i warczałem. Kiedy chciałem ochłonąć w spokoju leniwych popołudni włączałem tę muzykę, której jeszcze nie znieawidziłem. Szukałem w niej pocieszenia, bo w niczym innym pocieszenia nie było. Wtedy jednak słyszałem głos piosenkarza śpiewającego melodyjnie: IF ju must write prose/poems, the words You use should be your own. A słowa, którym kazałem być literaturą, to nie były moje słowa, mówiłem cudzymi językami, choć wydawało mi się, że oto właśnie z moich ust wypływają świeżym górskim potokiem mądrości. Lecz to wypływała lawina banałów, bzdur, głupot. Wieczorami byłem wzniosły, porankami upadły. I znowu się z tej upadłość wznosiłem, by ponownie upaść Zdradzałem, ale na Boga, któż nie zdradzał! Zdradzałem tajne plany i zawodziłem zaufanie. Z prawdziwą wręcz rozkoszą dokonywałem zrad, bo zdrady są barwne. Przystawały do czasów. Kłamałem - wszyscy kłamali. Mówiłem fałszywe świadectwa, obgadywałem przyjaciół kobiety, znajomych i nieznajomych. Trwał wiek 20, a ja wraz z nim. Teraz to już się nie liczy, bo nie ma rachub, które by podolały. Któż jednak nie kłamie? Umarły? Ale kto mu uwierzy, nawet jeśli wróci, by dać świadectwo? Wolne żarty. Ach, żarty! Potrafiłem się śmiać - śmiech ponoć przedłuża życie, tak jak sen leczy rany. Czy kradłem? Wierzyłem raczej w nagłe porn nożenie z niczego - stąd moje projekty: podróży, domów, związków. Czytałem, a później kłamałem. Czytanie to wstęp do kłamania. W bibliotekach, które wcześniej chciałem palić, teraz znalazłem siłę, która pozwoliła mi kłamać Nie powiem, że biblioteki są świątyniami - jest w nich mądrość niepocieszenia. W świątyniach jest tylko zbawienne zimno, który pozwala odpocząć w gorący dzień. Mówiłem fałszywe świadectwa,

mijałem się z prawdą, mijałem się o włos lub szerokim rozjazdem. Kiedy prawda wsiadała do lewej windy i jechała w górę, ja wysiadałem z windy prawej na parterze. Jedyne, co potrafiłem, to znajdować obrazowe porównania. Nie znajdowałem szczęścia - ani w miłości, ani w grach losowych. Oglądałem w telewizji gry zespołowe i losowania gier liczbowych. Nudziłem się. Świat jest nudny ze swoją powtarzalnością. Świat jest nudny jak buddyjska mantra. Nie znałem umiarkowania w jedzeniu i piciu. Kiedy nie piłem alkoholu, objadałem się słodyczami i opijałem nektarami brzoskwiniowymi, koktajlami truskawkowymi. To był hedonizm, choć wcale nie czułem przyjemności. Upadlałem się, ale łatwo potrafiłem sobie przebaczyć. Zapominałem o tym, o czym chciałem nie pamiętać. To proste. Proste jak szybki ruch ręki. To jest eskapizm. Bo ponoć przecież uciekamy - od śmierci, od zobowiązań. Uciekałem więc od nudy, od mantry świata.

Nie objawił się we mnie jednak rozgorączkowany modernistyczny prozaik, nie pisałam też prozy kobiecej, ani szokującej, ani jedwabście delikatnej, nikt więc nigdy nie miał okazji nazwać mnie prowokatką, grafomanką, ani nawet przedstawicielką literatury menstruacyjnej. Nie stworzyłam również żadnych poetyckich miniatur, nie udało mi się poprzez Fragment pokazać całości, bo nie byłam koronczarką słów. Tak naprawdę nic mi się nie udało pokazać, choć wszyscy na mnie patrzyli z wyczekiwaniem, że za chwilę coś ujrzą. To czekali ci rozliczni chłopcy ze studiów, w których tak nieprzyjemnie mieszał się alkohol z literaturą, którzy przychodzili na zajęcia skacowani po brudnych nocach w akademikach, a potem do tych swoich nor wracali, by pisać nieudane wiersze. No cóż, ja też wtedy pisałam wiersze, ale nie byłam aż taka ostentacyjna. Poza tym nie spędzałam brudnych nocy, moje noce były czyste jak dusze zwierząt. Nie dość więc, że nie pisałam takich opowiadań, to potem nie pisałam już też wierszy; wy-paliłam się jak zapałka, nie byłam zarzewiem oczyszczającego ognia, który przetarłby drogę czemuś nowemu. Zamiast tego pisałam elektroniczne listy z wiecznej podróży. Skoro nie epika, to epistolografia, i to taka w dodatku, która nie ma szans na przetrwanie, bo przecież jeśli nie wykasuje się zbioru starych listów, to w końcu pojawi się jakiś wirus, który tę sprawę załatwi bezboleśnie. Nie potrzeba będzie już złośliwych krytyków, nie przetrwa żadne zdanie, żaden landszaft najmniejszej jakości, żadna suknia źle skrojona. Moje suknie będą z najprzedniejszych, najlżejszych materiałów, szyte przez mistrzów ścięgu, moje obrazy namalują geniusze, moje dni będą zawsze słoneczne, ale nie przetrwają w niczyjej pamięci, jak te opowiadania, których nie napisałam. Czy większą szansę na przetrwanie miały bilety kolejowe, schematy połączeń, rozkłady jazdy, długie tabele z cenami, spisy przysługujących zniżek i plany miast, które Karolina z zapamiętaniem gromadziła w swoim wymyślonym pokoju, zamieniając go w istną wieżę

Babel? Cały papierowy świat - papierowe miasta i kraje, słynne tekturowe katedry i tłumnie zwiedzane muzea, starożytne świątynie z brystolu, przechadzki po celofanowych bulwarach, nad rzekami z cynfolii spiętymi kartonowymi mostami, kolorowe jak papier do wyklejanek miejskie pejzaże, zmyślane kawiarnie i nieprawdziwi klienci pijący swe pozorowane drinki przy iluzorycznych stolikach, papierowi bohaterowie wsiadający do 6kcyjnych taksówek. A co będzie, jeśli papier zniknie, rozsypie się, spali lub rozmoknie, bo przecież ogień i deszcz przychodzą na przemian i domagają się ofiar? Dlaczego nie zostałam ofiarą życia, śmierci, miłości, ideologii, chorób, zobowiązań, buntuje się Karolina, dlaczego złożono mnie właśnie na powieściowym ołtarzu? Czym sobie zasłużyłam, by być literacką Mary Keily: wszystko osobno, choć pedantycznie ułożone nos, uszy, piersi, serce, nerki i jelita zwisające z ram obrazu. Kiedy ona gromadzi bilety kolejowe i promowe, reklamy przewoźników, taryfy i połączeń lotniczych, morderca gromadzi dowody w sprawie. Rozkłada pojedyncze zdjęcia, z których nie bardzo daje się odczytać jakąś historię: Karolina na lotnisku w Atenach (zaraz po przylocie z Heraklionu, a jeszcze przed kolejną przesiadką), na promie z Ostendy do Doyer (stoi na tylnym pokładzie, a wiatr gwałtownie szarpie na niej kurtkę i ciągnie brutalnie za włosy), na klifach Moher w scenerii godnej Caspara Davida Friedricha (samotna Karolina siedzi nad urwiskiem w aureoli skrzeczących mew, woda uderza w skały, a ona, zamyślona, spogląda w niebo, omijając wzrokiem przepaść otwierającą się pod jej stopami), na polu słoneczników (stoi w nich po pas z rozkrzyżowanymi ramionami, jakby chciała powiedzieć: spójrzcie, to wszystko moje, i być może w pewien sposób to do niej należy), z dorodną kiścią winogron (podnosi ją prawą ręką w górę i zbliża do szeroko otwartych ust), z małym, puchatym psiakiem (uśmiechnięta, tuli go z czułością do policzka i wierzę, że tuli z prawdziwą miłością). Czy zamiast Karoliny mogłaby iść przez to pole słoneczników Anna Kis, czy objadać się winogronami nie powinna Agnes Móricz, czy w roli miłośniczki zwierząt lepiej nie wypadłaby Marta Kródy? Wśród skrzętnie, niemal patologicznie gromadzonych pamiątek jest mnóstwo innych zdjęć z najróżniejszych miejsc oraz dodatkowe, ważne dla śledztwa dowody: kserokopia kartki z książki meldunkowej w alpejskim motelu „Edelweiss” (mogła spędzić tam upiorną noc, głębszą i czarniejszą niż kosmiczna dziura), koperty z pocztowymi pieczętkami z najdziwniejszych rejonów (z całą pewnością poczty nigdy tam nie istniały), dokładnie zachowane odciski ust z kieliszków w winiarniach starych miast (do których zachodzili tylko turyści, bo nikt żywy w tych miastach nie mieszkał). Jest tam także świetnie zachowany ślad jej oddechu na okiennej szybie nocnego pociągu pędzącego przez środek Europy. Łatwo uchwycić ten moment, gdy Karolina stoi na korytarzu i patrzy, jak za oknem zmienia się noc, raz czarna i płaska, innym razem poprzekłuwana punktami światła,

rozszarpywana od dołu przez domy daleko mijanych miast. Czy lubi pani pociągi? - pyta nagle szeptem przeciskający się za jej plecami mężczyzna. Bardzo lubię, odpowiada ona, nie odwracając nawet głowy od okna, tylko wciągając lekko nosem powietrze, bo jest ciekawa, jak on pachnie, zawsze obwąchiwała mężczyzn, którzy na różne sposoby wkraczali w jej życie, a ten być może zagości w nim na długo i nieodwołalnie. Lubię pociągi, mówi już do siebie, bo mężczyzna poszedł dalej, jakby nie interesowała go jej odpowiedź albo z jakiegoś tajemniczego powodu tę odpowiedź już znał. Być może nawet się uśmiechał i potakiwał jej w myślach, gdy mówiła do siebie: lubię pociągi pędzące przez brzydkie senne krajobrazy, lubię wsłuchiwać się ich rozpaczliwy stukot, potrafię ten stukot usłyszeć z wielkich odległości, stojąc o zmierzchu na wilgotnych łąkach, i umiem zobaczyć ich dalekie światła przebijające się przez smoliste ciemności. Lubię ten moment, kiedy zwalniają, wjeżdżając na peron, oraz tę chwilę, gdy rozpoczynają swój kurs: najpierw ich długie ciało lekko drga, potem wagony powoli się rozpędzają i suną już coraz szybciej, coraz dalej. T lubię symbolicznie zostawiać za sobą miasto, z którym łączy mnie modelowy wręcz przykład *hassliebe*, pępowina przyzwyczajenia, nowotwór sentymentu. Pociągi wciąż pozostają dla mnie tajemnicze, w przeciwieństwie do samochodów, statków, samolotów, nigdy nie wiadomo, co się może w nich zdarzyć. Łatwo domyślić się, co się stać może na pokładzie boeinga na wysokości dziesięciu tysięcy metrów; wiem, czego spodziewać się na autostradzie, gdy dochodzę prawie do dwustu kilometrów na godzinę; nietrudno wyobrazić sobie dokładnie przebieg wydarzeń na pokładzie promu sunącego opornie przez wąskie morze. Natomiast podróży pociągiem zawsze towarzyszy niepewność i zarazem kojące poczucie bezpieczeństwa, choć pamiętam przecież filmy i książki o morderstwach w orient ekspresach.

Karolina odwraca głowę i jeszcze widzi znikającą przejściu między wagonami sylwetkę mężczyzny, musiał się widocznie na chwilę zatrzymać albo szedł bardzo wolno, może szukał w kieszeni papierosów lub zapalniczki albo sprawdzał, czy na pewno wziął ze sobą pieniądze, bo pewnie udawał się do wagonu restauracyjnego. Zna go, to oczywiste, choć nie potrafi określić skąd, nie umie przypomnieć sobie miejsca, w którym mogła się na niego natknąć po raz pierwszy. Nie poczuła żadnego wyraźnego zapachu - ani zniewalającej wody kolońskiej, ani odoru potu, smrodu tytoniu czy alkoholowego oddechu, nawet jego ubranie nie wydzielalo żadnej woni. Mężczyzna Który Niczym Nie Pachniał był już winnym wagonie i szedł dalej, nie zagadując więcej do mijanych podróżnych, tylko wciąż się do siebie smutno uśmiechając. Karolina wie, że jeszcze nie raz się na niego natknie w mieście, do którego jedzie pociąg, że będzie czuć jego ciąglą bezzapachową i nienamacalną obecność, a zarazem ma dziwną pewność, że on raczej nie zaproponuje jej podwiezienia taksówką, ani nie poleci

jej dobrego, taniego hotelu z sympatyczną obsługą i smacznym jedzeniem, nie podejdzie też do niej i nie zagadnie: na szczególną uwagę zasługują w tym mieście gotycka katedra i muzeum sztuki użytkowej; nie minie jej także, szepcząc: czy lubi pani stare tramwaje?, albo: czy nie czuje się pani samotna w tym deszczu?, proszę skryć się pod mój parasol. Będzie się trzymał na dystans. Aż w końcu natkną się na siebie ostatecznie, choć wcale nie jest jasne, czy będzie to spotkanie twarzą w twarz. Ona znów przystawia głowę do szyby i patrzy na monotonię mijanego krajobrazu, a on idzie kołyszącym się krokiem bywalców pociągowych korytarzy do wagonu restauracyjnego, gdzie zapewne zamawia kawę, siada przy oknie, twarzą do kierunku jazdy i mówi bezgłośnie: ja też lubię pociągi, ten ich rytmiczny stukot, lubię siedzieć przodem do kierunku jazdy i słuchać muzyki albo czytać nienapisane powieści, najchętniej te grube, powiedzmy siedemset stron gęstego druku, napęczniałe od zmysłowości, od rzeczy, a nie od zdarzeń, opuchnięte od mijającego czasu, bo od czasu się puchnie jak od nadmiaru wódki. To książki o niej, lubię czytać książki o niej, zawsze będę wracał do tych lektur, najchętniej w pociągach, zachwycając się wyszukaną metaforyką, śledząc w napięciu misternie skonstruowaną metanarrację, nie mogąc się nadziwić pomysłowej afabularności. Lubię podróżować, tak jak lubi to robić ona, zazwyczaj podróżowałem sam, ale teraz jedziemy razem i tego się już w żaden sposób nie da odmienić. Ale pokornie idę dwa kroki z tyłu, by podnosić z ziemi to, co ona upuści. Mam bagaże pełne jej chustek do nosa i niedopałków, przechowuję uparcie jej ulotny zapach. Noce spędzamy w osobnych pokojach, czasami jestem bardzo blisko, wstrzymuję oddech, by usłyszeć przez ścianę, jak ona bierze prysznic, bo zawsze spędza bardzo dużo czasu w łazience. Jej noce nie są piękne, jej noce są nudne jak życie w dzielnicy starych kobiet i kotów. Nie da się mnie oszukać, nic nie umknęłoby przecież mojej uwadze. Dziwię się jej samotnym nocom, dziwię się i cieszę, choć jest to smutna radość. Trudno byłoby mi jednak znieść wyraźnie sugerujące seks skrzypienie łóżka, jakieś jęki, śmiechy, okrzyki triumfu. Nie spotyka mężczyzn, więc ja nie spotykam kobiet - i tak razem podróżujemy przez świat, ona ucieka donikąd, a ja wiernie podążam jej śladem. Poranki bywają dla nas obojga męczące. Niekiedy zastanawiam się, czy ona słyszy, jak kaszlę w łazience, zapalając pierwszego papierosa. Na śniadanie schodzi późno, zwykle pije tylko kawę z mlekiem. Czasami jednak mówi: jestem głodna jak wilk, a potem wprawia wszystkich w zdumienie, pochłaniając ogromne ilości jedzenia: jajka na miękko, jajka sadzone, jajecznica, smażony boczek, owsianka, rogaliki, tosty, ser, szynka, dżem. Gdzie się to wszystko mieści, pytają się przerażeni kelnerzy, wracając do kuchni. A ona je zaciekle, rozpaczliwie, po to, żeby przez następne dwa dni żywić się jedynie gotowaną kukurydzą, kawą i papierosami i z zapamiętaniem przedzierać się przez świat. Potem, kiedy już opuści

hotel, ja wyruszam za nią, towarzyszę jej jak wierny giermek. Gromadzę dowody, zbieram materiały, kolekcjonuję doznania, opisuję przecucia, klasyfikuję przewidywania.

Kiedyś zbiorę to wszystko i napiszę z tych zbiorów książkę, siedemset stron gęstego druku. Już nawet widzę jej recenzję: *To książka wybitna, choć zupełnie nieliteracka, bo nie na literaturze się opiera, nie na słowach, ale na rzeczach. Na tym właśnie polega jej wyjątkowość i wybitność, formalne nowatorstwo, które posuwa do przodu nie tylko literaturę, ale wręcz cały świat. Bo świat nie składa się ze słów, ale z rzeczy, to rzeczy właśnie stanowią o jego kształcie i kiedy rzeczy zabraknie - nie będzie też już świata. Świat gdyby składał się ze słów, byłby bezkształtny, byłby budyniem, kisiem. Literatura, którą tworzą wyłącznie słowa, nie przybiera żadnego kształtu, jest nudnym fantomem, sennym koszmarem, niewyraźną ektoplazmą, które nie sposób opowiedzieć, bo śniący nie potrafi sobie nic ze swego snu przypomnieć, nie wiadomo o co w śnie tym chodziło, prócz tego że był okropny i przebudzenie na płytkim oddechu i z łomoczącym sercem jest zbawieniem. Taka „literatura „jest zapisem neuroz, kompleksów rojeń, jest może medycyną, ale nie jest literaturą. A omawiana tu książka puchnie od istnienia, to katalog rzeczy, z których składa się nasz świat, gdyby pisarze pisali rzeczami, a nie słowami, miałibyśmy zalew prawdziwej literatury, potop arcydzieł, kataklizm wybitności, erupcję książek, które chciałoby się czytać na przekór wszystkiemu. Tymczasem jesteśmy skazani na powieści pracowicie tkane ze zużytych słów, wytartych porównań, wyświechtanych metafor wciąż tych samych, w śmiertelnie nudnych, nieodmiennie identycznych konfiguracjach. Oto przekleństwo realizmu, przewidywalność fabuły, oczywistość akcji. Co jakiś czas pojawia się jednak niewyraźne światło w tunelu i takim właśnie światłem - jeśli nawet zwoźniczym, to jednak - jest omawiana pozycja. Ta książka to dowód na to, że w dzisiejszych czasach literatura - na przekór wszystkiemu - jest jeszcze możliwa. Ciągle usilnie zbieram dowody. Pieczołowicie wyjmuję niedopałki z kawiarnianych popielniczek, starannie zabezpieczam odciski jej stóp na ulicznych trotuarach, troskliwie przechowuję porzucone fragmenty garderoby (majtki, z którymi najwyższy czas było się rozstać, rozerwaną w niejasnych okolicznościach bluzkę, rajstopy z oczkiem biegnącym przez całą łydkę), mam swojej kolekcji połamane okulary przeciwsłoneczne, setki zgubionych zapalniczek i długopisów, użytą maszynkę do depilacji, nieco kosmetyków (dokładnie wy-ciśniętą tubkę kremu do opalania, ochronną pomadkę do ust, odżywkę do włosów). Wszystko pracowicie segreguję, FotograFuję i numeruję, jakby zaraz się miało znaleźć w aukcyjnym katalogu albo na wystawie sztuki współczesnej. Może tylko tyle po niej zostanie. Bo cóż nam po powieściach, których nie chciało jej się napisać, i cóż nam po książkach, których nie udało się jej przeczytać? *You dont now a fing about their livs, books dont save**

them, books arent Stanley knives - rozcinają ciszę słowa płynącej gdzieś z okna piosenki o spotkaniu pisarza z czytelnikiem. Kto tu słucha muzyki, myśli Karolina, kto w tej dzielnicy starych kobiet, gdzie jedynym, co rwie ciszę, jest nocne miauczenie kotów, kto ośmiela się tak brutalnie wkraczać w bezgłośność? Ktoś, kto nie wierzy w ocalenie podobno kryjące się na stronach książek? Czy to autor, którego wiara w literaturę zawaliła się z hukiem jednego dnia, czy też zdesperowany czytelnik ratuje się zestawem pięknych dźwięków? To wszystko zostanie pewnie razem zebrane i nieudolnie, bez żadnego literackiego talentu opisane przez dyżurnych policjantów. Rzeczy wzniosłe kończą się z reguły Fatalnie. Zostawcie mnie na chwilę samego, mówię i rzeczywiście zostawiają. Odchodzą na bok, szepcą między sobą, podają sobie ogień. Tak, udało mi się doprowadzić do tej wręcz modelowej sceny, ale teraz nie bardzo wiem, co począć dalej. Czy mam zapalić patrzyć tępo gdzieś w przestrzeń, na jakąś rzekę, na jakieś niebo, na jakiś dom? Czy też powinienem wypowiedzieć stereotypową sentencję, a może milczeć, bo milczenie zawsze jest poręczne? Nagle zestaw dyżurnych zachowań okazuje się żałośnie mały i zupełnie nieprzydatny. W tym samym czasie, kiedy Karolina stoi w pociągu na korytarzu i w milczeniu patrzy, jak za oknem zmienia się noc, raz czarna i płaska, innym razem poprzekłuwana punktami świateł, on siedzi przy kawiarnianym stoliku i czyta. *Nie dość że Ziemia nie leży w centrum wszechświata, nasz układ znajduje się na peryferiach Galaktyki, a nasza Galaktyka nie wyróżnia się niczym spośród miliardów innych galaktyk, to może się w końcu jeszcze okazać, że my sami nie jesteśmy zbudowani z najpowszechniejszej formy materii* - brzmi ostatnie zdanie dużego artykułu w opiniotwórczej gazecie, którą odłożył właśnie na bok, by sięgnąć po kawę. Artykuł zapowiada, z asekuracyjnym znakiem zapytania, kolejny przewrót na miarę kopernikańskiego. On nie zna się na astronomii ani fizyce, zawsze był słaby z przedmiotów ścisłych (choć nie przeszkadzało mu to marzyć o kosmicznych peregrynacjach, o lądowaniach na nieznanych planetach, o odkrywaniu zaginionych we wszechświecie edenów), ale spodziewał się tego od dawna. Przecież zawsze widział swoją małość na tle nikczemności wielkich miast, do których przyjeżdżał pełen nadziei i które rychło opuszczał wypełniony rozczarowaniem, stwierdzając bezowocność kolejnych dni, niknących jeden za drugim z cichym pluśnięciem w wodzie czasu. Być może więc, myśli, kończąc kawę, ta cała historia powinna zaczynać się zupełnie inaczej. Na przykład jakoś tak: Dawno, dawno temu, na samym końcu niewielkiej, prowincjonalnej Galaktyki, omijanej przez wszystkich roztropnych podróżnych, na rozpaczliwie małej planecie, zapomnianej przez innych mieszkańców uniwersum, w głównym mieście średniej wielkości kraju, leżącego w peryferyjnej części niedużego kontynentu, pewien przeciętnej prezencji mężczyzna jakich miliardy usłyszał w jednym z wielu pojazdów,

którymi poruszają się mieszkańcy tej kosmicznej wioski, nazwisko pewnej kobiety. Jedyne słońce tego układu, nisko zawieszona nad miastem topiło asfalt i myśli zmęczonych ludzi, którzy parli bezmyślnie w swoją nieciekawą przyszłość. Od tej chwili nic nie miało być już takie jak dawniej, nieoswojona przeszłość powróciła z szybkością godną kosmicznych porównań, a przyszłość gwałtownie przyspieszyła, nie dając teraźniejszości żadnych szans zaistnienia w ziemskiej przestrzeni. Od tej chwili nie potrafił usiedzieć w miejscu i ruszył ku tym wszystkim miejscom, do których ta kobieta, nosząca tak bardzo obiecujące imię Karolina, już dotarła swojej nigdy niezaczętej i niekończącej się wędrówce. I on będzie przemierzał nieskończoność bez szans na powrót i bez nadziei na dotarcie do celu. Dzięki kosmicznej perspektywie Karolina staje się bardziej osiągalna, przestają dzielić mnie od niej niebotyczne odległości, czuję, że ona jest w zasięgu moich międzygalaktycznych ramion, może właśnie przechodzi którąś z ulic równoległego wszechświata. Może boi się mnie i pozwala, by strach zaciskał się wokół jej szyi, realizując scenariusz prześladowającego ją od dzieciństwa snu: jest zimna jesień i mglisty zmierzch jak zwykle wtrąca się do akcji, tajemniczy, skryty w czerniach mężczyzna idzie za nią nieubłagane przez ponury park i jest coraz bliżej, jej nogi zaś, jakby zabetonowane wzierni, za nic nie chcą się ruszyć, głos, zamiast wzywać pomocy, zupełnie jak w powieściach „grzęźnie jej w gardle”, a ręce, którymi mogłaby przecież się bronić, bezsilnie drętwieją. Ja także coraz bardziej grzęzłem, jak trzęsawisku zapadałem się w moich Fantazjach, wyobrażeniach, pewnościach i domysłach. Pograżałem się bez reszty w spekulacjach, tonąc w nich nieodwołalnie, chwytałem się brzytwy niemożliwości, nieprawdopodobieństwo miało być ostatnim kołem ratunkowym. Teraz zatrzymuję się, wciągam głęboko zimne powietrze, aż kłuje mnie w nozdrzach, czuję woń jej strachu i szybko ruszam tym tropem. Lecz ona nie wie, że wspólnie mkniemy przez kosmiczną czerń, zapadając się w ogłuszającą ciszę. To nasza najdalsza podróż przez hiperprzestrzeń, czarne dziury, ku krańcom wszechświata, poza powieściowe dzielnice, daleko od kolejowych torów, łąk o zmierzchu ciętych przez pędzące, rozświetlone pociągi, wysoko nad promami sunącymi po małych morzach, tysiące lat po jej ziemskim zaistnieniu. Karolina, wyzwolona z pamięci dzieciństwa, z bezpieczeństwa trumiennych wakacji spędzanych z rodzicami, wyswobodzona z niepokoju o los zaginionych w podróży pięciu młodych kobiet, uwolniona z wszelkich intelektualnych spekulacji o nieśmiertelności, w śmiertelnej ciszy leci wraz ze mną w bezgraniczną nicość. To podróż, której opisać się nie da, na nic nie przydadzą się powieści fantastyczne ani filmy science fiction, na nic też by się tu nie przydał niespełniony talent pisarski Karoliny, bo w jakie metafory mogłaby tę podróż ubrać, jakie poetyckie imię mi nadać, jak mnie opisać i jak narysować, jeśli jeszcze w ogóle

pamięta, jak się po kartonie prowadzi ołówek. Oto jadę galaktyczną taksówką, rozparty na tylnym siedzeniu z odrzuconą do tyłu głową, zniknęły wokół wszystkie samochody, słońce zsunęło się za horyzont, upał zamienił się w mróz, jasność uciekła przed ciemnością, nie ma żadnego mostu, nie ma stojących w korku samochodów i nie ma miasta, w którym ten korek powstał. Wellsowskim wehikułem czasu pędzę ku czarnej pustce, zabójczemu zimnu, ku potwornej przyszłości, w której nie ma Karoliny, w której i mnie nie będzie. Z pewnością ta historia powinna zaczynać się zupełnie inaczej i w zupełnie innym miejscu, tak by było wiadomo, gdzie i jak się skończy. Może powinna przebrzmieć w dzielnicy starych kobiet i gołębi jako ostatni rozdział nienapisanej przez Karolinę powieści, w cieniu drzewa przy którejś z małych, spokojnych ulic albo jednak w bardziej światowym miejscu, w nadmorskim kurorcie bądź europejskiej metropolii, dokąd zaprowadziłby ją, a mnie wraz z nią, nieoceniony *Rozkład jazdy na liniach autobusowych, okrętowych, kolejowych i lotniczych*. Bo jednak jest mało prawdopodobne, by opowieść urwała się, dajmy na to, na Karolina Ut. - tam, gdzie zawsze jeździ autobus **12**. Czym dałoby się umotywić taką ewentualność? Co mogłoby się zdarzyć na Karolina Ut, na tej nudnej, szerokiej drodze, gdzie jedynie czasami przemknę karetką albo wóz straży pożarnej, bo tylko one nie mają żadnego wyboru i muszą krążyć po wyznaczonych trasach? Na razie trudno coś przewidzieć, ale historia toczy się dalej, trwa tylko chwilowa przerwa, wszyscy wychodzą do flaje, zapalają papierosy, wyciągają telefony, witają się, wymieniają wizytówkami, obiecują sobie niedawne spotkania. Być może rzeczywiście lepiej byłoby, gdyby ta historia, zamiast zdarzać się tu i teraz albo gdzie indziej, nigdy nie miała miejsca, żeby się nie spełniła i nie została opisana. Tak byłoby lepiej dla Karoliny, może nawet lepiej dla mnie. Ale teraz jest już za późno i niczego nie da się odwrócić. Karolina w tych dniach ostatecznego rozstrzygnięcia, pełna niesprecyzowanego niepokoju, który nie pozwalał jej usiedzieć w miejscu, cały czas jeździła autobusami i tramwajami, żywiła się prawie wyłącznie gotowaną kukurydzą, zaglądała do wszystkich księgarni i sklepów płytami, krążyła między regałami, ale niczego nie nabywała. Tym razem nie mogła sobie pozwolić na kupowanie książek, płyt, wykwintnego jedzenia, prawdziwej miłości, bo opuściły ją pieniądze. Pieniądze są jak miłość, powiedziała sobie, zawsze się kończą, choć na początku się o tym nie myśli. Przeglądała jednak książki, słuchała w sklepach płyt, czytała wywieszane przed restauracjami jadłospisy gwarantujące prawdziwe rozkosze, kartkowała grube powieści obiecujące intelektualne spełnienie, życzliwą uwagę poświęcała eksponowanym nowościom, z zaciekawieniem oglądała małe zdjęcia pisarzy na skrzydełkach okładek, przyglądała się twarzom autorów uśmiechających się obłudnie lub zastygłych w Falszywej zadumie, czytała ich kabotyńskie noty biograficzne i wymyślała im alternatywne

życiorysy, zaś ich prawdziwą bibliografię wzbogacała o wydumane tytuły wymyślonych dzieł. Byli więc wielokrotnymi mordercami tworzącymi miłosne liryki zamknięte klasycznych regułach, byli sadornasochistami boleśnie zmagającymi się z literacką Formą neoawangardowych powieści, byli uniwersyteckimi wykładowcami sztuki pisania o głęboko skrywanych fetyszystycznych fascynacjach, stawali się politycznymi eseistami cierpiącymi na uciążliwe schorzenia gastryczne, byli wreszcie psychologami o pedofilskich skłonnościach i wyjątkowo skąpymi historykami sztuki, którzy bezgranicznie zafascynowani niezgłębioną doskonałością martwych natur i klasycznym pięknem martwych dusz, pozwalali, by ich matki umierały w nędzy i samotności. Wszyscy pisali dziwne i niepotrzebne książki, wydawali zbiory wyjątkowo pogmatwanych esejów, byli chorobliwymi konfabulantami, zwykłymi oszustami i podłymi kłamcami, celowo wprowadzającymi w błąd swoje żony, kochanki i wierne czytelniczki, w niedzielne południa lsnili od nikczemnej obłudy, a w sobotnie wieczory pławili się w haniebnej zbrodni. Słyszała ich ciepłe głosy w radiu i przyspieszone oddechy w sklepach, przez świeży zapach zadrukowanych stronic przebijała dokuczliwa woń ich niemytych dusz. W swoich książkach dowodzili nieciekawych teorii, bronili wydumanych tez, złośliwie interpretowali cytaty z cudzych pism, wyśmiewali oponentów bądź prowadzili z nimi wyrafinowane polemiki, w których nadużywali słów-kluczy. Karolina wychodziła z księgarni trochę oszołomiona, jakby opuszczała winną piwniczkę, potem otrzepywała się z cudzych metafor i porównań, i szła na najbliższy przystanek. Lubiła siedzieć przy autobusowej bądź tramwajowej szybie i wpatrywać się w mijaną rzeczywistość. Lubiła też spacerować, zapuszczając się w niedostępne rejony niepoznawalnego świata. Nie przechadzała się jednak niespiesznie, nie wałęsała się w rytm zaleceń wysublimowanych eseistów, nie snuła się też bez celu po starych dzielnicach ani nie sunęła powoli przez chłodne amfilady klimatyzowanych galerii ze szerniałymi dziewiętnastowiecznymi pejzażami. Chodziła zawzięcie i niestrudzenie, szła równym krokiem jak napoleoński żołnierz na wrogie armaty, kroczyła niczym modelka na niekończącym się wybiegu w jakimś funeralnym *pret-a-porter*, determinacją przedzierała się przez kolorowy wielko-miejski tłum i przez szarą pustkę niedzielnych miast, głównymi alejami i bocznymi uliczkami zmierzała ku nieuchronnemu przeznaczeniu i ku strasznej przyszłości, w swym śmiertelnym pięknie szła ku nieśmiertelnej brzydocie, pachnąca szła ku paskudnemu smrodowi, patrząc przed siebie, podążała ku wiecznemu niepatrzeniu, intensywnie myśląc, szła ku pełnemu niemyśleniu. Kiedy zmęczenie zaczynało pieścić jej zgrabne stopy, zasiadała w kawiarniach przy mocnej kawie i wodzie mineralnej, zakładała jedną sfatygowaną nogę na drugą i patrzyła spokojnym wzrokiem w swoją literacką przyszłość (co czasem odnotowywali przypadkowi adoratorzy).

Cóż mogła tam dostrzec? Czy potrafiła przenikać wzrokiem mleczną mgłę i smolistą czerń? Czy widziała tylko to, co chciała zobaczyć, czy też umiała przewidzieć, co zdarzy się naprawdę? Czy udałoby się jej zajrzeć na ostatnią stronę książki, której z oczywistych powodów nie mogła przeczytać? Do jakich sposobów musiałaby się uciec, żeby zmienić jej zakończenie? Jaki mogłaby mieć wpływ na dalszy rozwój wypadków? Czy potrafiłaby sobie poradzić z każdym literackim wyzwaniem i ponieść nawet najbardziej przykre konsekwencje wszystkich swoich książkowych posunięć? Skutecznie opędzała się od przypadkowych adoratorów, jak od komarów, małych, natrętnych, uciążliwych, doskonale radziła sobie z intruzami, zadając im śmiertelne ciosy i zmuszając ich, by wyszukiwali sobie inne, łatwiejsze ofiary. Czy umiałaby jednak naprawdę pozbawić kogoś życia - nie tylko rozgniatać na ciele napęczniałe od krwi komary, uderzać zwiniętą gazetą w paradujące po stole, otumanione słodkością osy, miażdżyć przez Firankę bądź zasłonę tłuste muchy, bijące główkami w szklany mur szyby? To potrafi każdy. Czy zdobyłaby się jednak na zadanie śmierci stworzeniu większemu niż komar, osa, mu cha, innemu niż szczur, w chwili panicznego obrzydzenia celnie trafiony w głowę kamieniem (usłudźnie podałem jej go we właściwym momencie do delikatnej ręki)? Czy potrafiłaby zadać śmierć kotu, tak jak robią to sadystyczni chłopcy z podwórka? I nie tylko kotu, lecz także przymilnemu psu o błagalnych oczach? Czy wreszcie stać by ją było na zabicie człowieka? Bo może wszyscy umiemy to robić, skoro niektórym się to tak doskonale udaje? Może w powieści i historii zostaje zawsze ten, kto zdoła sobie z tym poradzić lepiej?

Karolina przesiadywała także w miejscach, o których odwiedzanie niekoniecznie byśmy ją od razu podejrzewali. Wyglądała na znudzoną, gdy małą łyżeczką subtelnie mieszała kawę i srebrnym widelczykiem delikatnie kroić ciastko w pełnej zagranicznych turystów kawiarni „Anna”. Nie wiadomo, dlaczego zasiadła w środku angielsko-arabskiego gwaru. Może z jakichś nieznanych nam powodów chciała wyobrazić sobie pierwszą randkę rodziców Anny Kis? Był rok 1966 lub

1967. Czy panował wtedy niewyobrażalny upał, czy też było to lato wyjątkowo deszczowe i chłodne, zastanawia się Karolina, czy ktoś je jeszcze pamięta, czy mógłby mi dziś coś o nim opowiedzieć? Sama nie wiem, co chciałabym na ten temat usłyszeć: to było pamiętne lato, nigdy go nie zapomnę, moje lato miłości, które poprzedziło moją jesień samotności, ciepłe, spokojne i bezpieczne; albo inaczej: to było złe lato, ostatnie lato mojej niedorósłości, lato śmierci mojej matki, odejścia mojego ojca, lato moich nieodwołalnych upadków, późne lato, które obrodziło w trujące owoce, w gorzkie pomarańcze chorób, napęczniałe winogrona bólu, soczyste brzoskwinie zdrady, jabłka śmiertelnego grzechu,

mięsiste śliwki potępienia. Trudno mi zapomnieć te miesiące, kiedy zbyt często i nie z własnej woli odwiedzałem cmentarze, idąc spowity w czernie przez słoneczne alejki, jakbym podążał za jakimś dziwnym eterycznym marzeniem, choć kroczyłem przecież za trumnami i urnami; jakbym ruszył w pogoń za piękną kobietą przez park i chciał jej coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć głosu, chciał jej dotknąć, ale nie mógł jej dosięgnąć; jakbym szedł coraz szybciej, ale był coraz dalej. Tyle innych pór roku, miesięcy, dni, poranków i zmierzchów przeminęło bez śladu, a to lato ciągle natrętnie wraca w moich wspomnieniach. W roku 1966 lub 1967 Karoliny jeszcze nie było na świecie, świat także jeszcze dla niej nie istniał, nie znała tych wszystkich miejsc, do których dotarła później dzięki *Rozkładowi jazdy na liniach auto basowych, okrętowych, kolejowych i lotniczych*. Kiedyś znów ich nie będzie, tak jak nie będzie też Karoliny. Nie, to grafomańska konstatacja, że jest świat, a potem świata nie ma, że młode ciało Karoliny nieuchronnie się starzeje (jakież w tym nieszczęście?; przecież pamiętamy jej seminaryjne wymądrzania się o cielesności, o tym, że jest ona jedynie chwilowym pocieszeniem i że koniecznie należy się jej szybko pozbyć), że wreszcie wkrótce to ciało obróci się w proch (i to już niebawem, i to także wiemy), literatura zrobiła już dużo złego w tej materii, opisując, jak ta materia się rozsypuje. Ponieważ Karolina nie dożyje sędziwego wieku (Piękno uratowane!), nikt nie będzie miał okazji, by oryginalnie ją porównać do na przykład szonogo na słońcu pomidora zatopionego w słoiku olejem słonecznikowym i ziołami. Pozostanie więc dojrzałą soczystą brzoskwinia, twardym kwaśnym jabłkiem, napęczniałym od słodkiego soku winogronem. W roku 1966 Karoliny nie ma na świecie, nie ma jej w literaturze, i to jest rzecz pewna, nie sposób zauważyć w kawiarni „Anna” jej długich nóg. nie ma jej także jeszcze w roku 1967, lata 60 to nie jest czas Karoliny, lata 70 są jej dzieciństwem, koniec wieku 20 będzie jej końcem, a początek kolejnego stulecia stanie się początkiem jej kultu. Co robić, zastanawia się zatem Karolina w kawiarni „Anna” pełnej turystów, przede wszystkim hałaśliwych młodych Anglików w piłkarskich koszulkach i śniadych południowców obwieszonych złotem albo tylko tombakiem? Może wydać wszystkie pieniądze (wystarczy akurat na kawę), siedzieć, pić tę kawę (za te pieniądze można mieć trzy kawy w przyjemniejszym miejscu), palić (papierosy się kończą) i patrzeć na ludzi przechodzących przez Kristóf tér (byle tylko nie rzucać się zbyt w oczy). W końcu Karolina, zadowolona, że nikt nie zwraca na nią uwagi, zaczyna lekturę grubej (siedemset stron gęstego druku) powieści modnego pisarza. Nie wiadomo, jak weszła w jej posiadanie; może przywiozła ją ze sobą (tylko skąd mogłaby ją mieć?), może znalazła ją porzuconą na kawiarnianym stoliku (tylko kto mógłby ją tam zostawić?), może kupiła ją przed chwilą (tylko skąd miałaby na nią pieniądze?). Przypuśćmy, że mijałem się z

prawdą, gdy pisałem, że opuszczała księgarnie z pustymi rękoma. Może w jednej z nich nabyła jednak książkę, którą właśnie otworzyła na pierwszej stronie. Może wydała na nią niemal ostatnie grosze (potem starczyło już tylko na kawę). Może to dobra puenta niekontrolowanych wydatków, wystarczająco spektakularny koniec zasobów Finansowych przyznanych jej hojnie i dość pochopnie przez autora skuteczny sposób na wykorzystanie pełnego bankowego limitu, ostateczna próba wyczerpania pisarskiego kredytu zaufania. Od tej pory Karolina może żyć w doskonałej nędzy, swój żelazny kapitał ograniczając do siedmiusetstronicowej powieści i posmaku kawy w ustach. Poza tym nie ma już nic, niczego też przed nią nie ma prócz Kristóftér. Minął ciepły i spokojny sezon ogórkowy, przebrzmiały zastępcze tematy, prasowe łamy opuściło zbiorowe zdjęcie zrobione na godzinę przed odjazdem pociągu z dworca Keleti - fotografia Anny, Zsuzsy, Marty, Agnes, Eriki, sztucznie uśmiechniętych do obiektywu. Z Kristofer na dworzec kolejowy droga jest prostai niewarta żadnej literatury. Może nawet zbyt prosta, bo wydarzenia powinny jednak chociaż minimalnie się komplikować, co nie oznacza, że z historii Karoliny, wzorem powieści szkatułkowej, musi od razu rodzić się historia Anny, z opowieści Anny wyłaniać ma się życie Zsuzsy, a to z kolei stanowić dobry pretekst do opisu dziejów Marty, które mogłyby służyć rekonstrukcji losów Agnes, by w efekcie zmierzać prosto do przypadków z udziałem Eriki. Niestety, proponowana fabuła wcale nie idzie w tym kierunku, nie sposób się w niej zgubić, narracja jest prosta jak śmiertelny strzał, żadnych rykoszetów. Historie lubią się zaczynać, ale zazwyczaj się nie kończą, myśli Karolina, ciekawe, czy zostawiły po sobie jakieś literackie ślady na papierze, czy bohaterki głośnego zdjęcia pisały wiersze albo opowiadania? Któraś z nich, na przykład Erika Kosztolanyi, mogłaby przecież stworzyć opowiadanie *Ostatnia podróż*, wygrać dzięki niemu szkolny konkurs literacki i w nagrodę pojechać na interesującą wycieczkę.

W dzieciństwie uwielbiał rysować plany miast;, które licznie rodziły się w jego głowie;, pełnej zawsze fantastycznych pomysłów. Powoływane do istnienia miasta leżały na dalekich wyspach, na szczytach wysokich gór w rozlewiskach rzek szerokich jak morze. Przypominały się legendy o Atlantydzie, choć jego miasta były niewątpliwie współczesne - jeździły po nich tramwaje i autobusy, ludzie spieszyli się na stacje metra, wysypywali się z kin po wieczornych seansach niczym konfettz, zaludniali uparcie i głośno modne kawiarnie, przesiadywali w parkach, tonąc w lekturach grubych powieści. Na rozłożonych kartonowych planszach dużego formatu kreślił ulicę, place, parki, skrzyżowania, całe ciągi komunikacyjne i handlowe, szklił ściany strzelistych biurowców zamalowywał na niebiesko rzeki i nanosił mosty łączące ich brzegi, zielonym kolorem zaznaczał ogrody, zaś czerwonym i szarym domy

starych dzielnic natomiast beżem pokrywał fasady nowych apartamentów. Ulicom i osiedlom nadawał wymyślne, baśniowe nazwy, sam decydował gdzie zamieszkają robotnicy, a gdzie artyści, do której części miasta udadzą się w niedzielę kibice piłkarscy, by obejrzeć pojedynek między dwoma zwaśnionymi drużynami, w którym miejscu najładniejsze dziewczęta będą czekać w soboty na najprzystojniejszych chłopców i na jakim placu wszyscy, nawet mniej atrakcyjni, zaczną umawiać się na następne randki. Rysował kolejne miasta swoich dziwnych marzeń, miasta kolejowych dworców, wiaduktów lokomotyw stojących beczynnie w wąskich ulicach, przesadnie zindustrializowane metropolię, molochy pełne ponurych fabryk, dymiących kominów, ale także cichę, tonące w drzewach miejscowości, których mieszkańcy oddawali się spokojnemu, niczym niezakłóconemu przemijaniu. Kiedyś nawet posilkując się niezdrową wyobraźnią, pięknie wyrysował miasto-hospicjum, do którego ludzie przyjeżdżali, by umrzeć w spokoju. Zmęczeni życiem, pakowali swoje wspomnienia, porządkowali codzienne sprawy i przybywali tu przygotowani na ostateczność, świadomi, że z tego miejsca nie ma już powrotu, nie sposób się z niego wydostać nawet przy użyciu najbardziej wymyślnych forteli. Z miasta, które nazwał Nekropolis, nie odjeżdżały żadne pociągi, choć na peron tamtejszego dworca wciąż wjeżdżały ekspresy pełne przyjezdnych. Tego miejsca nie opuszczały żadne autobusy, nie istniały z nim połączenia lotnicze, a każda próba wyjazdu samochodem również kończyła się Jaskiem, bo wszystkie ulice Nekropolis dziwnym zrzędzeniem losu wciąż uparcie prowadziły do centrum i każdy uciekinier po kolejnym niepowodzeniu wracał zrezygnowany do swojego hotelu. Na planie widać było wyraźnie, że ulice tworzą misterny system naczyń połączonych, trasy wjazdowe są od siebie dziwnie współzależne, a główna droga do Nekropolis wiedzie tylko w jedną stronę, nie dając szans na ponowne dotarcie do świata żywych. Z czasem zarzucił jednak tę zabawę. Prawdziwe miasta, których żył bądź choćby na krótko bawił (jego zawód wymagał ciągłych podróży), przerosły jego naiwnę, dziecinne wyobrażenia. Tęsknota za dalekimi, nieznanymi krajami spełniła się zaskakująco, a stare kartony z kolorowymi planami zostały porzucone za szafą w rodzinnym domu, który odwiedzał teraz coraz rzadziej, bo świat tak bardzo go absorbował, że nie miał już czasu na zajmowanie się swoją przeszłością. Czasami, kiedy wracał ze światowych stolic, jeszcze otumaniony ich neonami i gwiazdami, i wypakowywał kupione tam ubrania lub alkohole, z pełnym zażenowaniem uśmiechem wspominał dawne podróże w głąb swojej naiwnej wyobraźni. W pewnym momencie poczuł jednak zmęczenie życiem w ciągłym biegu, nieustanne zmiany miejsc i stref czasowych owocowały przykrą i uporczywą bezsennością, zrealizowane marzenia zaczęły mu dotkliwie ciążyć, niedawne przyjemności stały się nużącymi obowiązkami. Wtedy postanowił odpocząć od życia-podróżny. Miał już pomysł, jak sobie z tym

poradzić. Do uzdrowiska wybrał się późną jesienią w nadziei ominięcia sezonowego szczytu, kiedy tłumy starców tratują się na słynnym deptaku, picie leczniczych wód przypomina orgiastyczne bachanalia, a wieczorem nie sposób znaleźć wolnych miejsc w jakiegokolwiek kawiarni, bo okupują je rozochoceni kuracjusze, którym regularne zabiegi najwyraźniej przywracały dan yital. Nie chciał spędzać urlopu w gorącej A~yce lub na słonecznych greckich wyspach, pragnął zresztą nie podróży, ale dłuższego pobytu w jednym miejscu. Chciał chłodu, relaksującej szarości i mglistej monotonii. Pożądał tego, czego prawdziwy pacjent potrzebuje, by podreperować swe nadszarpnięte przez czas zdrowie: marzył o uregulowanym trybie życia, o ciszy, spokoju i samotności. Z dworca wziął taksówkę, która zawieźć go miała do starego domu zdrojowego. Niepokój towarzyszący mu od momentu opuszczenia pociągu przypisywał zmęczeniu podróży, która była wprawdzie niedługa, ale w jego wieku i przy jego stanie zdrowia okazała się dość wyczerpująca. Coś uparcie podpowiadało mu, że już kiedyś tu był. Szybko znalazł jednak wytłumaczenie, wszak tyle już odwiedził w swoim życiu uzdrowisk, jeszcze starszych i jeszcze słynniejszych niż to, do którego właśnie dotarł, w tylu miejscach bywaŁ że obrazy musiały się nieuchronnie nałożyć To zwykłe złudzenie, pocieszał się skutecznie. Teraz jednak zdrętwiały patrzy przez okno samochodu i widzi wyraźnie: wszystko pokrywa się przerażająco z planem, który z taką pedanterią wyrysował w dzieciństwie. W tej chwili jedzie Aleją Spokojnej Śmierci, która właśnie przecina się z ulicą Metafyzyczną i ciągnie się aż do placu Wiecznego Spoczynku. Zamyka oczy, lecz gdy znów je otwiera, nic się nie zmienia, taksówka skręca w Cmentarną i sunie ku hospicjum, gdzie zarezerwował sobie pokój. I wie już, że tej rezerwacji nie da się odwołać ani nawet przesunąć Chce coś powiedzieć, ale otwiera usta bezgłośnie, wyciąga rękę, żeby dotknąć ramienia kierowcy, ale palce nie sięgają celu, chce się pochylić, lecz nie urnie oderwać pleców od oparcia. Taksówka właśnie zatrzymuje się przed hospicjum, a on widzi, że z budynku wychodzi dwóch ubranych na czarno mężczyzn, którzy kierują się ku niemu. Jest szary, deszczowy dzień, taki jak wtedy, gdy rysował ten plan, najlepszy czas do próżnowania w szkole, bo nikt jeszcze nie pogania do przed-semesteralnych powtórek. Karolina wchodzi w smród i hałas dworca, w natrętą głošność i cielesność, w nadmiar ludzi, barw, dźwięków, w przepych woni i odór śmieci, przez chwilę wydaje jej się, że wielka brama zatrząskuje się za nią z groźnym skrzypieniem, lecz to tylko gwałtownie hamuje wózek bagażowy i cuchnące powietrze przecina krótkie, głošne przekleństwo, wagony wyglądają, jakby wcale nie stały tu w oczekiwaniu na pasażerów, pasażerowie zaś nie sprawiają wrażenia zainteresowanych tablicą z godzinami przyjazdów i odjazdów pociągów. Karolina zastanawia się, z którego peronu mógł odjechać pociąg pięciu kobiet, jakie miasto miało być stacją docelową, dlaczego

nikt nie przeprowadził wnikliwego śledztwa wśród podróżnych, przecież pięć młodych kobiet musiało się rzucić w oczy. Czyżby ten widok skondensowanej młodości, piękności i świeżości nie powalił tu, w księstwie brzydoty, nikogo na kolana, czyżby wszyscy byli tak niehumanie zmęczeni lub przerażeni podróżami, które właśnie skończyli, ekskursjami, które za chwilę mieli rozpocząć, czemu ten widok młodych więźniarek losu nie zatrzymał nikogo w pół kroku i nie kazał się odwrócić, na moment zapomnieć o zaraz odjeżdżającym pociągu, nikogo nie sprowokował do trywialnych rozważań nad ulotnością młodości czy mijającym czasem albo nie rozbudził w kimś wspomnień własnych dawnych miłości? Czy naprawdę nikt nie powiedział do siebie: przecież wygląda jak Maria, ta w środku jest niemal identyczna, jakbym ją widział, kropla w kroplę, czyżby to była jej córka, niemożliwe, choć może to sama Maria do mnie wraca, daje mi znak, że bym za nią szedł (rozmarzony mężczyzna musiałby zapewne w tym momencie brutalnie przeciąć nić wspomnień i przyspieszyć kroku, bo dotarłby do niego wreszcie dudniący głos zapowiadający nieodwołalny odjazd jego dalekobieżnego pociągu)? Pewnie zajęły cały przedział, takie hałaśliwe, śmiały się, już wyciągały kanapki, mimo że to dopiero początek podróży, ale widocznie *reise* Jieber spowodował głód, kartkowały kolorowe pisma, były podekscytowane rozpoczynając się wyprawą, w wydychanym powietrzu czuć było to ciepłe podniecenie, słychać je było w ich szybkich zdaniach, w gestach, widać je było w gwałtownym siadaniu i rozrzucaniu rąk wzdłuż oparcia, w nerwowym otwieraniu okna i spoglądaniu wzdłuż peronu w kierunku wyjścia, jakby w oczekiwaniu na jakiś sygnał, może ostatnią pomoc, coraz większe ożywienie wręcz rzucało się w oczy, wpadało do w ucha, czuć je było w nerwowym sprawdzaniu, czy na pewno są bilety, paszporty, pieniądze, w budzącej się obawie, czy im ich wystarczy, czy nie zgina, czy nie padną łupem złodzieja. Czy naprawdę nikt nie zauważył tych nerwowych działań, panicznych ruchów i nie słyszał tego gwaru? Przecież musiał pojawić się jakiś konduktor sprawdzający bilety. A co ze współtowarzyszami podróży - na przykład jakąś zdeprymowaną hałasem zakonnicą, której mogło przecież przypaść miejsce w tym samym przedziale? Czy ktoś przesłuchał konduktora i zakonnicę, czy sporządził jakiś protokół? Gdzie w takim razie jest on przechowywany, kto i gdzie go schował, jakimi motywami się kierował? Kto jeszcze mógł zapamiętać tę Feralną piątkę? Może milczący mężczyzna, który długo stał na korytarzu i wpatrywał się w mijany za oknem, nieciekawym krajobrazem, by w końcu, odkleiwszy się od szyby, kołyszącym się krokiem bywalców pociągowych korytarzy podążyć do wagonu restauracyjnego? Przez moment Karolina zastanawia się, czy nie kupić biletu na odjeżdżający za kwadrans międzynarodowy skład do Wiednia (bo to miasto pojawiała się w prasowych informacjach jako pierwszy cel ich podróży, stamtąd jechać miały

ponoć do Wenecji, dalej są już tylko spekulacje bez żadnych podstaw) i tam poszukać jakichś śladów (może udałoby się jednak zrekonstruować ich drogę donikąd?). Karolina mogłaby chodzić bez celu po mieście, rozglądać się na pozór bezmyślnie, dyskretnie lustrować przechodniów, tak by nie wzbudzić podejrzeń, i być może wpaść na jakiś trop. Tylko jaki? Karolina sama nie wie, zastanawia się, lecz nic jej nie przychodzi do głowy, no bo cóż mogłaby odkryć? Jakiś ślad w tramwaju i8 jadącym z Sudbanhof na WestbanhoĘ jakiś rozpoznawalny znak na Ringu, na Platerze, w znanej cukierni, w modnej kawiarni? A może któraś z nich wpadłaby przypadkowo na Karolinę na ulicy, rzucając szybkie „przepraszam”, może Karolina przez chwilę stanęłaby z nią twarzą w twarz, popatrzyła przenikliwie w jej duże, piwne oczy, a tamta odwróciłaby wzrok i uwolniona od bystrego spojrzenia, pobiegła przed siebie tak szybko, jakby ścigała ją kłątwa? A jeśli w Wiedniu tylko się przesiadły, kupiły nowe kanapki szynką i ciastka, a potem od razu ruszyły dalej? Gdzie więc zaginęły: w tłumie na placu Świętego Marka, na wyspie San Michele, pośród tamtejszych grobów, czy też dopiero gdzieś później, w zabytkach Toskanii, w upale Kalabrii? Czy wspinają się na Wezuwiusz wraz z innymi, niektórymi uzbrojonymi w groteskowe kostury, wypożyczone za garść monet, uparcie patrząc pod nogi zamiast podziwiać widoki? Po kwadransie wspinaczki są na górze, kupują za 1000 lirów paskudne wino Lacrima Christi del Vesuwio, smakuje gorzej niż najgorszy Egri Bikawer, krzywi się Marta Krudy. Wygląda, jakby tu upadł meteor albo nawet miała miejsce katastrofa statku przybyszów z kosmosu, dziwi się Erika Kosztolanyi, o, patrzcie, jeszcze wydobywa się gaz. Gdyby to był przynajmniej Krakatau, rozmarza się, oglądając swoje zakurzone buty Zsuzsa Miksz~th, naprawdę musiałyśmy tu wchodzić? Dopiero kiedy zejda na dół, rozplączą skręcone wiatrem włosy. Miałam kiedyś chłopaka, który czytał tylko jedną książkę, *Pod wulkanem*, odezwie się Anna Kis, i usiłował wymawiać te meksykańskie nazwy: Quauhnahuac, Popocatepetl, Ixtaccihuatl, Oaxaca, trochę pił, dużo palił, pisał wiersze, *basta la yista, baby*, usłyszałam, kiedy ode mnie odchodził, powiedział: do zobaczenia, ale nigdy go już więcej nie widziałam, to była jego *La Despedida*, odchodził zawsze bezpowrotnie, byłam tylko jednym z jego licznych przystanków na trasie pogoni za niewiadomym. Potem wraz z innymi zwiedzą szybko Pompeje, obejrzą słynne domy Fauna, Wittiuszów i „Z rannym niedźwiedziem”, zobaczą forum, teatr i oczywiście lupanar - jak tu niewygodnie, krzywi się Agnes Móricz, i to miała być przyjemność, w tych ciasnych komórkach? Na pewno pojedą też do Herculanium zanurzonego w pomarańczowej poświacie popołudniowego, stygnącego słońca. Rózsadomb też kiedyś wymrze tragicznie, powie Anna, robiąc zdjęcia. Potem, zgodnie z zaleceniami praktycznego przewodnika, udadzą się do Paestum w nadziei, że da się złowić zapachy jednych z najlepszych perFum

starożytności, niestety dochodziła będzie do nich tylko woń zwykłej łąki, wielkiej niziny, co najwyżej odczują na własnej skórze atmosferę patriotycznych uniesień, górnolotnych wierszowanych Fraz i impresjonistycznych obrazów. Oto barbarzyńskie piękności idą przez pachnącą łąkę wśród ruin Posejdonii, przed ich drobnymi stopami uciekają zwinne, małe jaszczurki, wszystko robi się nagle szlachetnie patetyczne, wzniosłość przykleja się do Anny, bierze pod ramię Martę, chwyta za dłoń Zsuzsę, wtula się w Agnes, spleta się z Eriką i płynie z nimi przez zdania i akapity, a ich śladami podążają nieustępliwi *agentes in rebus*.

Załóżmy, że Karolina rzeczywiście wsiada do wagonu drugiej klasy pociągu eurocity z kupionymi na drogę kanapkami i butelką wody mineralnej, zadomawia się w pustym przedziale, wyjmuje z torby właśnie nabytą powieść modnego pisarza (niemal nieprzetłumaczalne siedemset stron gęstego druku) i zaczyna czytać:

Lubię pociągi, ten ich rytmiczny stukot, lubię siedzieć przodem do kierunku jazdy i słuchać muzyki albo czytać nienapisane powieści, najchętniej te ~ube, powiedzmy siedemset stron gęstego druku, napęczniałe od zmysłowości, od rzeczy, a nie od zdarzeń, opuchnięte od mijającego czasu) bo od czasu się puchnie jak od nadmiaru wódki. Lubię czytać książki o niej, skrupulatne dzienniki jej mijających dni, stoję nad brzegiem stawu i rzucam w wodę kamieniami, kręgi na wodzie nachodzą na siebie, ta!Ja nie nadąża się wygładzać~ jej dni toną wraz z moimi, idziemy na dno razem, objęci. Lubię pod różować, tak jak lubi to robić ona, oto pewna łącząca nas zażyłość~ zazwyczaj podróżowałem sam, ale teraz jedziemy razem. Tak, moje życie składało się z wyjazdów i powrotów było podróżą, bo nie potrafiłem zaznać spokoju w miejscach, które były gotowe mnie przyjąć od jednych miejsc uciekałem ku innym. Najczęściej pociągami, uwielbiam umykać pociągami, piękne są te ucieczki, z góry skazane na klęskę. Uciekając, wspinałem się wysoko, potem zsuwałem się w doliny, skakałem przez rwące strumienie, w górach dopadała mnie noc, mokłem w nieprzerwanym deszczu) myliłem we mgle tropy, ślepiłem w śnieżnych zamieciach. Potem cudem odnajdowałem drogę do schronisk, odzyskiwałem siły, moje wnętrzości koily ciężkie grzane wina, robiłem rachunek ciężkich win, snułem nowe projekty, planowałem swoją przyszłość choć przecież nawet nie mogłem podejrzewać, co może przynieść następny

dzień. I zanim się zorientowałem w zasadzkach tego dnia) nim przeszło zaskoczenie, zanim powstał kolejny misterny plan, nastawała noc, a ja nie potrafiłem zasnąć, bo w moim umyśle miotały się paniczne myśli, niczym uchwycone w pułapkę słoika owady skazane na męczarnię ograniczonej przestrzeni. Podróżowałem też prawie tak, jak odbywa wojaże większość ludzi: nie ruszając się sprzed swojego telewizora, przelącując kanały na podobieństwo kolejowych przesiadek. Wracałem z tych podróży zmęczony i przegrany, bo nie

przynosiły mi żadnych wrażeń, nowej wiedzy, doświadczeń, po wszystkim pozostawało jedynie odczucie straty - straty czasu, pieniędzy, nadziei i straty, której nie umiałem nazwać, a która bolała najmocniej. Karolina wracała z nieodbytych podróży, z ulgą otwierała drzwi mieszkania, zapalała światło, rzucała torbę pełną nienapisanych książek i odsłuchiwała automatyczną sekretarkę. Na starej, rozciągniętej taśmie nagrywali się zalotnicy, proponujący odnowienie znajomości, błagający o telefon, przymilający się o spotkanie. Karolina oddzwaniała bądź nie, czasami nawet miło gawędziło jej się z niektórymi z nich, wiedziała, że drżą pełni marzeń, lecz zawsze dawała im do zrozumienia:

żadnych marzeń, panowie, i zostawiała ich na pastwę miasta, z którego właśnie znów planowała wyjechać.

Kiedy przychodziły nieuchronne noce, wielu z nich, samotnych z wyboru bądź porzuconych bez powodu, nie potrafiło zasnąć lub budziło się z przerażenia w samym środku ciemności, pośród huczącego wiatru, bębniącego po szybie deszczu albo w nieskończenie bardziej przerażającej ciszy. W czerni wyjątkowo zimnych jesieni bądź w przytłaczającej bieli zaskakująco śnieżnych zim. Wraz z mężczyznami budziły się słynne upiory, a wreszcie budziła się w swojej nieskończonej piękności Karolina. Literatura znów stawała bezradna wobec takiej sekwencji wydarzeń, dowodząc, że dawno już umarła, a jej ciało doszczętnie się rozpadło, więc Karolina nie sięgała przebudzona po książki, by szukać w lekturze ukojenia, by pomiędzy wierszami znajdować uniwersalne diagnozy świata i recepty na swoją w nim obecność. Obudzona w środku nocy, włączała radio, raczej nie oczekując kojącego nerwy głosu lektora czytającego powieść w odcnkach, bo przecież i tak wszędzie puszczano jedynie muzykę. Słuchała zatem martwego, dudniącego monotonie głosu wokalisty, śpiewającego: *She was beauty and adventure, She seems so glad to be alive, I want to be happy, but not all the time.* Karolina też nie chciała wcale być szczęśliwa przez cały czas, a czas jej w tym usłudze pomagał. Pragnęła jednak przeżywać krótkie, lecz wzniosłe uniesienia, czasami nawet jej się to prawie udawało, tyle że poczucie szczęścia mąciła świadomość jego ulotności, nieuchronnie nawiedzało ją bowiem przekonanie, że radosne chwile odpływają, nikną jak topniejąca kra na pełnym morzu. Ten mężczyzna, boleśnie żywy, stał po drugiej stronie czarnej ulicy, kryjąc się przed deszczem w jakichś podcieniach. Tkwił w bramie, paląc papierosa, by zgodnie z prawidłami literackiej i fímowej fabuły dawać widomy sygnał swojej groźnej obecności. Zdradzał go mały, czerwony ognik, ruchomy dowód na to, że ktoś o Karolinie niebezpiecznie pamięta. Potem ognik zniknął i nastawała jeszcze groźniejsza niepewność, bo jeśli prześladowcy nie ma w bramie czy w podcieniach, być może właśnie powoli pokonuje schody prowadzące do jej mieszkania (kamera w takich momentach

pokazuje jedynie buty i nogawki spodni). Kiedy więc po pewnym czasie ciemności rozświetlał na chwilę mały płomień zapalniczki, odczuwała ulgę. Mężczyzna palił za dużo, być może w ten sposób kompensował sobie niedobór innych nałogów - spania, pisania, picia albo kochania. Ona zaś za dużo czytała, za dużo podróżowała, bo też sobie coś w ten sposób wynagradzała. Od początku byli na siebie niemal skazani; byli skazani na śmierć. Kiedy świtało, mężczyzna po drugiej stronie ulicy znikał bez śladu, nie zostawał po nim nawet niedopałek ani zdradziecki zapach wody kolońskiej, żadna smuga dymu czy woni, żadna smuga cienia. Mężczyzny nie było już w podcieniach, tak jakby nigdy się tam nawet nie pojawił. Ani razu też nie zapukał do jej drzwi, choć być może kiedyś przystanął przed nimi i nasłuchiwał - gdyby ona wtedy przyłożyła do nich ucho od swojej strony, usłyszałaby zapewne jego znużony oddech. Mężczyźni ciągle z jej życia znikali, po kilku niezręcznych gestach, po porannej kawie, czasami po śniadaniu, po tostach lub jajecznicy, herbacie i jogurcie wymykali się chyłkiem bądź wychodzili przy widowiskowym akompaniamencie pustych słów. Potem noce się skracały, bladły, chudły anoreksyjnie, zostawał po nich tylko mizerny cień dawnych smolistych, bulimicznych wieczorów, czarnych jak mocna kawa bez odrobiny mleka. Nieubłagane nadciągał czerwiec ze swoimi długimi, lepкими dniami, kolorowymi i błyszczącymi jak pisma kobiece. Karolina odrzucała masowe starania przebudzonych gwałtownie z wiosennej depresji zalotników u których szaleć zaczynało rozhuśtane jak inkwizycyjne wahadło libido. Pot spływał po ich nabrzmiałych twarzach, po bladych, pełnych krost i brodawek plecach, ściekał strużkami spod włosów, spod pach, katar sienny nie dawał im chwili spokoju, puchły i czerwieniały im oczy, kichali, smarkali, soplowali, sięgali po chustki i po inhalatory i nieodmiennie wyciągali ręce po słuchawki telefonów, by dzwonić do Karoliny i nosowym głosem znów proponować spotkanie. Tymczasem ona, nieuchwytna kochanka, nieoszukiwalna, niepodatna i nieosiągalna, już projektowała kolejne długie podróże, bo czerwiec, wyganiający ich na ulice, ją wyganiał w świat o wiele dalszy niż parkowe ławki i ogródki śródmiejskich piwiarni. Przeglądała w sklepach dla podróżników plany odległych miast, kartkowała swój nieodłączny *Rozkład jazdy na liniach autobusowych, okrętowych, kolejowych i lotniczych*, wieczorami czytała niezastąpione przewodniki, obliczała zasoby Finansowe, szukała najtańszych połączeń, porównywała ściągnięte z Internetu oferty pensjonatów i hotelików, z list dyskusyjnych dowiadywała się o możliwościach noclegów w buddyjskich klasztorach i ekumenicznych ośrodkach religijnych. Świat rozgrzany upałem już zaczynał nabierać nowych kształtów, z małego, zimnego, nerwowego miasta zamieniał się w metropolię - wielką, rozlazłą, rozkosznie ciepłą, leniwą i spokojną, ciągnącą się jak guma

do żucia, jak miękki cukierek toffi. Wszystko wokół robiło się dziwnie niezobowiązujące, a ludzi ogarniał tępy błogostan. Zalotnicy, wydobywszy się wreszcie z alergicznych pułapek, tracili cierpliwość i ruszali na poszukiwania bardziej dostępnych niż Karolina piękności, które też zaczynały jak węże wypełzać ze swych kryjówek na rozgrzane ulice i sunęły ku ciepłym miejscom, gdzie mogły się wygrzewać jadownicę. Zdesperowanym zalotnikom przechodził uciążliwy katar sienny i wracała pewność siebie, sami nawet zaczynali snuć własne plany - małe, prostackie, kacogenne, gdzież im było do pełnych rozmachu projektów Karoliny. Wskakiwali do taksówek prawie w biegu i kazali jechać szybko do najmodniejszej tego roku, najbardziej zatłoczonej kawiarni, podczas gdy ona spokojnie prosiła, by ją zawieźć na dworzec, gdzie cierpliwie czekał już na nią specjalnie podstawiony pociąg. Nigdy się na dworce nie spóźniała, nigdy też nie przybywała na nie za wcześnie. Czas był na jej usługach. W podporządkowanym jej świecie ludzie zwalniali kroku na ulicach, samochody i autobusy jechały powoli nawet pustymi alejami, tramwaje nie zrywały się gwałtownie ze swych przystanków, a ich pasażerowie nigdzie się nie spieszyli, bo nie mieli celu, do którego mogliby zmierzać. Tylko czasem, na wyraźne żądanie Karoliny, żeby przyspieszyć planowy odjazd wybranego przez nią pociągu, wszystko ruszało gwałtownie i mknęło jak na telewizyjnych reklamach systemów telekomunikacyjnych. Nie sposób było wtedy rozróżnić pojedynczych ludzi, wszędzie wylaniał się gęsty, ruchliwy tłum, zamiast samochodów widać było smugi czerwonych i białych świateł, straceńczo pędzące tramwaje wciąż znikwały z oczu, autobusy opuszczały swoje zajezdnie, by po chwili do nich wrócić, zmierzchało i świtało z zawrotną prędkością, niebo na przemian ciemniało i jaśniało, neony zapalały się i już po chwili gasły, a cyfry na dworcowych zegarach przeskakiwały rekordowym tempie. Alergiczni zalotnicy trzeźwili błyskawicznie w odgłosach pękających od tępego bólu czaszek, w straszliwych cierpieniach skrajnego odwodnienia, w rytmie szybkich uderzeń kaca moralnego i panicznych uderzeń serca. Gdy już wreszcie przychodzili jakoś do siebie i dochodzili ze sobą do ładu, zabierali się za uprawianie sztuki. Nie pisali jednak wierszy, te były już *passé*, teraz nastąpiła pora tworzenia piosenek, składali więc w rymy słowa, gitarowe akordy w proste melodie, apotem je razem z sobą łączyli w żalosne songi. Śpiewali oczywiście o Karolinie, a żaden ze słuchaczy nawet się nie domyślał, że ona istnieje naprawdę. Śpiewali, że gdziekolwiek ona odjedzie, oni pojedą za nią, a jednak nieodmiennie zostawali w mieście skazanym za zagładę, podczas gdy ona ciągle z niego wyjeżdżała. Śpiewali, że pamiętają upalny dzień, kiedy ją po raz pierwszy zobaczyli, ale przecież nic nie pamiętali, niczego nie potrafiłi sobie przypomnieć, ich pamięć nie istniała, myliły im się fakty z wyobrażeniami, poprzedni dzień z zeszłym rokiem, znajome twarze z delirycznymi projekcjami, plątały im się

słowa i myśli. Śpiewali, że znów ją widzieli w mroźną, styczniową niedzielę, ale nie pamiętali przecież żadnych zim, nie przypominały im się ani wyjazdy, ani powroty, które opiewali w swej żenującej twórczości. Śpiewali dla niej, ale ich głos do niej nie docierał, bezskutecznie wybijali stopami rytm, łapali łąpczywie akordy, zrywali dla niej struny, niemiłosiernie fałszowali, pogrążając się w coraz większej rozpacz. Karolina miała inne poczucie taktu i nie chciała dla nich spuszczać z tonu. Do zawodzących ponurymi głosami wokalistów odnosiła się z bezgraniczną pogardą, za każdym razem bezlitośnie rozprawiała się w myślach z kolejnym refrenem w rodzaju: *Tonight are you trying to fall in love again?* Gdy ponurym głosem zawodził wokalista, smyczki z werwą piłowały struny, perkusja leniwie wybijała rytm, deszcz bębnił za oknem, a stada wron kołowały nad drzewami, czuła się prawdziwą oFiarą muzyki, literatury i meteorologii. Nie do wytrzymania stawały się dla niej te wszystkie czarne studnie bez dna, których nieskończoność się spada, nie pamiętając już żadnej przeszłości. Okropny kicz osaczał ją coraz bardziej. Czy z takiej sytuacji może być jakieś dobre wyjście, myślała, czy w ogóle może być jakieś wyjście? Nie ma żadnego wyjścia, są tylko wejścia, zbyt łatwo się wchodzi, apotem nie można znaleźć drogi powrotnej - oto prawdziwe imię bestii, reszta to tylko kocięta i szczenięta, szeptał jej do ucha ktoś, kogo mogła nazwać zaufanym powiernikiem. Aja w tym samym czasie, słysząc gdzieś z daleka pic-senkarzy śpiewających dla Karoliny, jak zawsze spóźniony, zakleszczony w taksówce stojącej w korku, odurzony mdlącym zapachem zawieszonoego przy lusterku odświeżacza powietrza, rozparty bezradnie na tylnym siedzeniu, znów traciłem ją z oczu, ponownie znikala i nie było prawie szans, by ją znaleźć, jeszcze raz nieznośnie mi umykała, nie zostawiając żadnych wskazówek, sprytnie zacierając za sobą wszelkie ślady. Nie pozostawało mi nic innego jak snuć się wieczorem bez celu po miejscach, w których kiedyś ją przypuszczalnie widziałem. Nie dane mi jednak było oglądać Karolinę ani jej hologramy, bo to pewnie wcale nie były te miejsca i na dodatek nie w te dni, nawet nie istniało przecież to wymyślone przeze mnie miasto, w którym przy odrobinie szczęścia mogłem ją spotkać. Widywałem czasami w tych miejscach mężczyzn, którzy, jak przyuszczałem, budzili się z nią zapewne we wszystkie poranki świata, w te poranki, kiedy ja zrywałem się upartym bólem i nieuleczalnym zmęczeniem, na powrót przykuwającym mnie do łóżka. Prawie ocierałem się o mężczyzn, pijących niegdyś z nią poranną kawę czytających w kuchni świeże gazety, a teraz też usiłujących odnaleźć to, co im po niej pozostało, choćby ułamek zapachu. T ja, przechodząc tuż obok nich, głęboko pociągałem nosem, bo przez zaporę swojego chronicznego kataru chciałem poczuć hołubioną przez nich resztkę jej woni. Nie czułem jednak nic prócz ordynarnych zapachów ich koszul, papierosów, czasami ostrej wody kolońskiej, którą

spryskiwali się na specjalne okazje, głównie w piątkowe i sobotnie wieczory. Poprzez kwaśne, ciężkie wonie piwa, potu, dymu tytoniowego nie był w stanie przebić się do moich nozdrzy zachowany w ich pamięciach zapach jej włosów, szyi, dłoni. Wracalem więc do domu, pakowałem najpotrzebniejsze rzeczy, dzwoniłem po taksówkę, jeszcze raz sprawdzałem, czy wszystko zostawiam w najlepszym porządku, czy po moim wyjściu budynek nie zamieni się w zgliszcza za sprawą wybuchu gazu albo nie obróci się w cuchnącą pleśnią ruinę pod wpływem małego potopu. Wreszcie schodziłem do samochodu i kazałem się wieźć na dworzec. Czas był znów przeciwko mnie. Wsiadałem do pociągu, rozsiadałem się wygodnie w przedziale i dla umilenia sobie monotonnej podróży zabierałem się za lekturę nienapisanych przez Karolinę dzienników: Gdybym dożyła dziewięćdziesięciu lat w przytomności umysłu i w ogólnej sprawności ciała, może usiadłabym przy moim starym, porysowanym biurku, natężyła wiotką pamięć i zdobyła się w końcu na to, by napisać (a kto wie nawet czy nie opublikować) jakieś wspomnienia, autobiografię, naprawdę potężną książkę, solidne siedemset stron gęstego druku w twardej oprawie, nie żadne tam dwieście stron z szerokim marginesem i nieprzyzwoicie dużą interlinią, jak czynią literaccy oszuści. Wszak wystarczająco dużo widziałam, chociaż pewnie daleko mi do tych, którzy poznali wszystkie cuda świata i wszystkie cudów zaprzeczenia, do reporterów, których stopy i ręce dotykały świętych miejsc wszystkich religii, podróżników do źródeł czasu i eksploratorów miejsc, gdzie czas nie istnieje. Wprawdzie nigdy nie przekroczyłam równika, mam jednak prawo do opisanja moich małych, nieważnych podróży, daleko bardziej przejmujących niż codzienne telewizyjne relacje przypadkowych masakr. Jeśli trzeba, potrafię być pracowita, a nawet zdeterminowana. Umiem dać z siebie wiele i potrafię to robić, nie skarżąc się na los. Zawsze czułam się żywa aż do przesady, a przecież nigdy nie istniałam. Działam pod wewnętrznym przymusem urzeczywistnienia mojego życia-literatury, chciałabym dać świadectwo papierowej potworności z prawdziwymi konsekwencjami nieprzewidzianymi przez nieroztropnego autora, pokazać, jak animowana okropność przenika się z żywym cierpieniem, a komputerowa jatka splata się z realnym, soczystym mięsem i prawdziwie czerwoną krwią. To byłoby siedemset stron o budzeniu się i zasypianiu, senności ciągnącej się tygodniami jak ciepła mozzarella i permanentnej bezsenności, długie akapity o zupełnie bezcelowym wsiadaniu do pociągów i bezprzedmiotowym ich opuszczaniu, o brzydkich dworcach zastępujących mi gotyckie katedry, o cichych dzielnicach przypominających miejsca masowych pochówków, o snach w stylu brutalnych czystek etnicznych, o pospolitych Fobiach na kształt tragicznych powodzi i gwałtownych trzęsień ziemi, o banalnych natręctwach przebijających wszystkie wojny końca świata. Przenika mnie dokuczliwe

pragnienie stworzenia wiekopomnego dzieła o chodzeniu po pustych ulicach w dzielnicy starych kobiet i cuchnących gołębi, o snuciu się bez celu po przedmieściach, o przemierzaniu zakurzonych antykwariatów w poszukiwaniu dalszego ciągu *Plaży wspomnień*. Chciałabym znaleźć odpowiedź na nurtujące mnie od zawsze pytania: dlaczego istnieją miejsca, których nie ma, z jakiej przyczyny wciąż się tam wraca, po co tak uparcie penetruje się rejony, w których zupełnie nic się nie dzieje, gdzie to wszystko się naprawdę zaczyna i kiedy się wreszcie skończy. Kończy się nigdzie i tam też bierze swój początek, przebieg tej historii sam projektuje swoje zwińczenie, Finał nie musi być jednak wynikiem jakiegokolwiek logicznego następstwa wydarzeń. Czy będę umiała znaleźć coś jeszcze, prócz tego, co znajdę na końcu? Najgorsze, że ciągle nie wiem, czego uparcie szukam i za czym tak bardzo tęsknię, dlaczego ciągle spotykam mężczyzn jak z reklam wody kolońskiej lub mężczyzn jak z reklam śmierci, idę z nimi upojona, a potem wracam do siebie zbrukana, biorę gwałtowny prysznic i rozluźniona w ciepłym strumieniu czuję, że po moim ciele spływa pieniaący się czas, że między piersiami, wzdłuż kręgosłupa, po moim podbrzuszu, po nogach płyną noce i dni, ściekają letnie poranki dzieciństwa, jesienne przedpołudnia młodości, zimowe popołudnia dojrzałości, rozmywające się w niecierpliwym oczekiwaniu na wiosenny wieczór starości, który nie wiadomo, czy nastąpi. Potem odświeżona i odmłodzona jadę pociągiem do innego miasta, z twarzą przyklejoną do szyby niczym ryba zamknięta w akwarium. Gdybym miała brata, pewnie hodowałby w dzieciństwie rybki akwariowe: pospolite gupiki, banalne mieczyki, niepoważne brzanki, skalary ze szlacheckimi aspiracjami, dandysowate kirysy i te dziwne glonjady, zawsze sunące pyszczkami po szkle. Taki zestaw miał prawie każdy chłopiec na moim podwórku. Mój brat zdzierałby sobie kolana, jeździł na rowerze, rozebrany do pasa biegał za piłką, wrzeszcząc potwornie po zdobyciu bramki, zupełnie jak mój syn, którego wcale nie będę przecież miała, bo przecież jestem pierwszym i ostatnim ogniwem łańcucha, bezpotomnym składnikiem niestworzonej jeszcze rodziny. Według pewnej kontrowersyjnej tezy naukowej, chętnie przytaczanej w popularnonaukowych pismach, każdy, kto zatrzymuje swoje geny tylko dla siebie, jest martwy, nawet jeśli chodzi, je, krzyczy, ma racjonalizatorskie pomysły. Jeśli jednak swoje geny przekazał, ma pełne prawo nazwać siebie żywym; swoje geny chorób, szaleństwa, śmierci. Oto wreszcie przybywam do tego miasta, choć zupełnie nie wiem po co; jestem tutaj, bo widać ktoś tak chce, znowu muszę znieść pisarskie kaprysy, poddawać się nieudolnym próbom stworzenia sztamkowych powieści rozwojowych, wkraczać w środek niewiadomej akcji, na której przebieg nie mam żadnego wpływu. Wbrew mej woli wychodzę zatem z głośnego, brudnego dworca kolejowego, wsiadam w upale do przepełnionego autobusu, który zamyka z sykiem drzwi i

mknie w przeszłość. W środku stopniowo się wyludnia, ludzie wysiadają coraz liczniej, zwalniają się miejsca, więc zmęczona siadam, czuję na pośladkach ciepły ślad po kimś, kogo nigdy nie poznałam, a z kim jednak udaje mi się nawiązać bardzo intymny kontakt. Z pustym uśmiechem podaję bilet do kontroli, potem zamyślona mijam ulice Kolumbusz i Amerikai, i dojeżdżam w końcu do pętli na Bosny~k tér. Wsiadam zła, bo wiem, że będę musiała wrócić spory kawałek, wchodzę jednak na bazar i bezradnie kręcę się pomiędzy straganami. Pełno tam warzyw i owoców, wszystko tonie w żółciach, zieleniach i czerwonościach, czuję także nieznośny odór surowego mięsa, dowód małej rzeźniczej hekatombi. Widzę robotników w poplamionych kombinezonach, jedzących na stojące kielbasę i konserwową paprykę, cuchną Farbami, smarami i olejami, dzięki czemu nie czuć smrodu ich złych myśli, ciężkostrawnej bezradności i tłustej nudy. Zupełnie nie wiem, gdzie jestem, dlaczego ktoś mnie tu ściągnął wbrew mojej woli, nie umiem też zgadnąć, co się ze mną wkrótce stanie. Wreszcie wyrwam się z tego miejsca z wielką ulgą, niemal jakbym uciekała przyklasztornej szkoły, prawie biegnę, prawie jestem wolna, prawie szczęśliwa, prawie wiatr rozwiewa mi włosy i prawie jestem żywa. Oczym jeszcze mogłabym napisać? Nie dostąpiłam bożych dopustów, ominęły mnie rewolucje, wojny, pucze, obeszły mnie szerokim łukiem klęski żywiołowe i epidemie, ale nie umiem wyrwać się z rąk upartego prześladowcy, który w końcu pewnie nie przejdzie w ostatniej chwili na drugą stronę ulicy. Zresztą ulice tutaj wydają się wręcz stworzone do zbrodni, a domy stanowią wprost wymarzoną dekorację do zrealizowania kryminalnych scenariuszy. Autor dysponuje więc wszystkim, co niezbędne - ma odpowiednią scenerię, no i ma mnie. Nie musi przy tym sięgać po klasyczny zestaw rekwizytów, sprawdzone receptury angielskich mistrzów grozy, nie jest mu wcale potrzebna mroczność, mglistość i deszczowość. Wszystko może się rozegrać w pełnym słońcu, w środku dnia przy temperaturze ponad trzydziestu stopni, gdy trzeba pić hektolitry wody, a ludziom i zwierzętom prawie nie chce się żyć, choć akurat ja mam ciągle wielką i nieodpartą ochotę, by naprawdę istnieć na przekór meteorologii i na złość literaturze. W pełnym słońcu trudniej zauważyć zbrodnię, słońce oślepia, pot zalewa oczy i łatwiej pomylić morderczy cios z omdleniem odwodnionego organizmu. Ludzie i drzewa kładą się długim cieniem na opustoszałej ulicy, zaś cień w słońcu bywa o wiele straszniejszy niż wieczorny cień w bramie.

Mogłam dobrze wyjść za mąż i resztę czasu spędzić któryś z eleganckich domów w jednym z dalekich miast, znanych z telewizji, kina i powieści, pastelowych jak obrazki w elementarzu i słodkich jak mleczna czekolada. Mogłam też nie oglądać się na natrętnych adoratorów, z nadzieją eksponujących przede mną swe banalne osobowości i prężących przeciętne umysły, i znaleźć sobie atrakcyjną pracę w jednym z tych miejsc, o których marzy

się w pensjonarskiej młodości. Tymczasem ja najzwyczajniej wyszłam z domu i do tej pory nie wróciłam, tak jak codziennie wychodzi i nie wraca tyle nastolatek. Potem czasami ich ciała odnajdują przypadkowi przechodnie, zapaleni wędkarze czy zabłąkani grzybiarze albo też one same się odnajdują gdzieś daleko, nie znają swoich prawdziwych nazwisk i nic nie pamiętają: kim są, skąd przyszły i dokąd zmierzają. Zresztą mnie też się często wydaje, że nic nie pamiętam, choć zaraz potem zaczyna zalewać mnie niekontrolowany strumień niewyraźnych obrazów. Był pogodny dzień i miasto szybko się wyludniło, choć wcale nie jestem pewna, czy w tamtych czasach tłumnie wyjeżdżano do domków w Zakolu Dunaju albo nad Balaton, zabierając ze sobą butelkę kadarki albo olaszrizlinga. Nie pamiętam już nawet, czy mnie szukano, serwisy radiowe pełne są takich komunikatów: wyszła z domu, miała tyle lat, wyglądała tak i tak, ubrana była w takie oto ubranie, do tej pory nie wróciła, a przecież obiecywała, na obiad miało być paprik~scsirke, akurat wreszcie udało się zgromadzić całą rodzinę, a to przecież nie lada wyczyn, prawie niemożliwość, ktokolwiek widział zaginioną, proszony jest o kontakt. Na pewno nie wyjechała nigdzie z tym sympatycznym, trochę nieśmiałym chłopcem, który tu do niej często wydzwaniał i czasami nawet przychodził, był naprawdę miły, coraz trudniej znaleźć miłych młodych ludzi, to prawda, miała wyjechać, ale dopiero za jakiś czas i raczej na krótko, no i wcale nie tak daleko, a teraz nie wiadomo, czy w ogóle jeszcze gdzieś jest, czy nadal istnieje. Istnieję. Czasami się zastanawiam, czy naprawdę, ale potem sobie odpowiadam: tak, istnieję, aż dziw bierze, że wciąż trwam, istnienie jest zaskakujące i do tego potrafi ciągnąć się zadziwiające długo. Choć być może tylko mi się złudnie wydaje, że ciągle jestem, wszak od lat mogę być martwa, odarta z ziemskiej powłoki (po co komu ziemską powłokę głęboko pod ziemią), mogę też być jedynie czyimś wyraźnym wspomnieniem (mógłby mnie ciągle pamiętać dwudziestoletnią) lub bohaterką jakiejś marnej powieści, które płodzą setkami maniakalni grafomani. Ci mężczyźni, z którymi spędzałam młodość, mieli w dużej części wygórowane ambicje literackie, boję się, że któryś z nich mógł je w końcu zrealizować moim kosztem. Zbyt wiele zdarzeń się już odbyło moim kosztem, nie wiem, skąd u mnie taka łatwość do płacenia zawsze najwyższej ceny - oto pytanie do wiktymologa. Kiedyś ściągali ode mnie na klasówkach w nadziei na lepszą ocenę, teraz mogą podpatrywać moje życie, spodziewając się, że uzyskają dzięki temu promocję do następnej klasy. Ktoś więc wciąż utrzymuje mnie przy życiu lub też zamordowana wiele lat temu, żyję jedynie w cudzych snach i przywidzeniach, bo martwi uparcie udają żywych, przeciskają się szybko przy barach zatłoczonych knajp, wysiadają w ostatniej chwili tramwajów, migają w wagonie metra, znikają w dworcowym tłumie. Powiedzmy więc tak: istnienie to rzecz względna. Jeszcze nie tak dawno temu, kiedy miałam siłę, zamiast brać taksówkę lub czekać

na autobus, chodziłam po stromych uliczkach Rózsadomb. Ciągle nie mogę się nadziwić, że takie zakątki jeszcze istnieją. Tyle innych miejsc zniknęło przecież nieodwołalnie: dzielnica Zugló, proroczo zgładzona w pewnym opowiadaniu kiedyś całkiem popularnego autora, która potem zapadła się naprawdę, pochłaniając wszystkie znane mi domy z nieznanymi mi ludźmi~ przestały też istnieć dzielnice upamiętnione w Filmach i książkach: Zatybrze, Alfama, 16 dzielnica w Paryżu, Notting Hill, Miraflores, wszyscyć nagle zapadły się pod ziemię i nikt się nie odważy, by pod nią zejść i szukać jakichś śladów. Nie ma zresztą czego szukać, nie został żaden ślad, żadna czaszka, piszczel, ozdoba, po której da się poznać wiek odkrycia. Chodziłam więc po Rózsadomb, zastanawiałam się, co by się stało, gdybym wtedy nie wyjechała, nie zrezygnowała z paprik~scsirke z kluskami, na które akurat miałam ochotę. Zapewne nie stałoby się nic. Chodziłabym teraz po literackich wzgórzach, albobym nie żyła (oczywiście pod warunkiem że jednak wciąż przebywam w świecie żywych) i nikt by nie odwiedzał mojego grobu. Tylko na jakim cmentarzu uda się znaleźć groby ludzi, których nigdy nie było? Muszę zebrać myśli, rozsypują mi się jak cukier po stole, kiedy drżącą ręką usiłuję posłodzić kawę. Właściwie nic nie wydarzyło się, od czasu kiedy po raz ostatni wyszłam z chłodu uniwersyteckiego budynku prosto w żar świata, od momentu gdy na zawsze opuściłam uczelniane mury, w które kilka lat wcześniej wkroczyłam w granatowej sukience i białej bluzce, prawie jak uczennica przyklasztornej szkoły. Pamiętam, że wszyscy stali w ciasnym kręgu, palili papierosy (wtedy jeszcze niemal każdy palił papierosy, moda na rzucanie palenia zaczęła się dopiero kilka lat później), desperacko usiłowali zawiązać z kimkolwiek pierwsze znajomości. Ja niczego nie musiałam zawiązywać: żadnych spisków, tajnych sprzysiężeń, jakże tu nieustająco popularnych, żadnego braterstwa krwi; nie interesowały mnie przysięgi milczenia, tajne hasła i tym podobne dziecinady. Tamci bojaźliwi spiskowcy nie chcieli na pewno wymieniać się ze mną jedynie na hasła, woleli raczej wspólną wymianę intymnych doświadczeń. Widziałam, jak na mnie patrzą, i jestem pewna, że mówili cicho, tak by nikt prócz nich samych nie usłyszał: „Boże, muszę ją mieć!” albo „Boże, nigdy jej nie będę miał!”. Tak, wzywanie Boga należało do ich ulubionych zajęć, szczególnie jeśli przedawkowali popularne używki: alkohol i literaturę. Sprytnie i elegancko uniknęłam ich, zwłaszcza tego jednego, który chciał iść za mną krok w krok, podnosić z ziemi to, co ja niechcący lub z premedytacją upuszczę: niedopałki, nitki, zdjęcia z najróżniejszych miejsc (bez przerwy robiono mi jakieś zdjęcia, nie dbając o pretekst, pozę, światło); chciał zbierać koperty z pocztowymi pieczętkami z najdziwniejszych rejonów, w których poczty z całą pewnością nigdy nie istniały, nawet dokładnie zachowane odciski ust z kieliszków w winiarniach, do których schodziłam po wąskich, krętych schodach, niczym w piekielne

podziemie. Przeżyłam go, wymknęłam mu się ostatecznie, jestem już spokojna i bezpieczna. Gdyby pozwoliło mi na to zdrowie, poszłabym na spacer po mieście, którego już nie ma; zapadły się przecież wzgórza, na których stało, zniknęły domy, w których kiedyś planowałam mieszkać i wśród których urządziłam sobie później nostalgiczne spacerunki.

Mogłabym tak ciągnąć tę sentymentalną paplaninę przez kilkaset stron, wymyślając kolejne wzgórza, jakieś miasta sklejone z pocztówkowych domów, rzek, mostów, ulice wydobyte z dokładnych planów, kraje wycięte z różnych przewodników i bedekerów, ludzi wyjętych z mini-rozmówek oraz turystycznych słowniczków. Znudziłoby to mnie jednak już po kilku akapitach, dlatego jeśli dożyję dziewięćdziesięciu lat i jeśli będę pamiętała cokolwiek (a medycyna odgraża się przecież, że ponoć wkrótce będzie już potrafiła zatrzymać zbawienny proces zapominania), to nie utrwale żadnego z tych miast, nie opiszę nic, żadnej trwającej chwili, żadnej nienazwanej straty. Na szczęście nie dożyję tylu lat ani o wiele mniej imponującego wieku - jednak nie z powodu kłopotów ze zdrowiem ani nie dlatego, że nie pozwoli mi na to zwykły przypadek: wsiądę akurat do Feralnego samolotu, wezmę udział w tragicznym rejsie, stanę na drodze zdesperowanym terrorystom, zostanę jedną z ofiar czarnego weekendu na drogach czy też nie spóźnię się na ostatni kurs kolejki górskiej, z której już za kilka godzin ratownicy będą wyciągać prawie niemożliwe do zidentyfikowania ciała. Za to, że nie dożyję dziewięćdziesięciu lat, nie będzie odpowiedzialna lawina sunąca pełnym biegiem od strony iskrzących się słońcem szczytów, której mogłabym dać się ponieść, tak jak mnie samą ponosiły kiedyś wyobrażenia i hormony. Przedwczesna śmierć nie zastanie mnie ani na autostradzie, ani na wodzie, myślę też, że nie w powietrzu, nawet nie w pociągu, choć tak jak inni lubię się trzymać ziemi, być blisko jej zapachu i tego, co ona rodzi. Nie stanie się to także za sprawą perfidnej trucizny sięjącej w moim organizmie prawdziwe spustoszenie, choć łatwo sobie wyobrazić, że duszę się zabójczymi wyziewami, a pierś amputują mi zbyt późno, żeby powstrzymać przerzuty do mózgu, serca, wątroby, wiotczą mi więc mięśnie szkieletowe, nie mogę ruszyć nawet ręką, nie mogę nic powiedzieć i nie mogę też wcale oddychać. Nie chodzi nawet o to, że przywiązuję zbyt dużą wagę do siły swojego serca, swoich płuc, nerek, że przesadnie wierzę we własną krew i we własny żołądek. Po prostu znam moją przyszłość, mogłabym dorabiać jako wróżka - szkoda tylko, że byłabym swoją jedyną klientką. Zamiast własnej starości mogę tylko obserwować cudze przygniecenie wiekiem, uprawiać coś na kształt gerontofilskiego wojeryzmu. Natrętnie śledzę więc staruszki wygrzewające się w słońcu starych dzielnic, wyprowadzające swoje pokraczne, ledwo człapiące psy, i zastanawiam się, kto owdowieje pierwszy. Myślę też o starym mężczyźnie, straszliwie fałszującym na rozstrojonym pianinie

w kawiarni, do której czasami wpadam na kieliszek wina albo kawę. Jest dramatycznie chudy, poółkłe wąsy dodają mu (zupełnie nie wiem dlaczego) wyrazu bezbronności, nosi trzydziestoletnie marynarki z łatami na łokciach, a o jego bieliźnie nie chcę nawet myśleć. Kiedy wstaje od pianina, kłania się grzecznie podpitym dziewczynom, które klaszczą szczerze, bo czym bardziej nieudolny, tym większych wymaga zachwyków. To nie jest starość z tych Futurologicznych artykułów w popularnych pismach, przedstawiających mnie jako dziewięćdziesięcioletnią, ciągle żwawą nastolatkę, która spędza większość czasu w swoim wakacyjnym domu na Bali, gdzie uprawia wyuzdany seks z młodszymi, osiemdziesięcioletnimi mężczyznami; albo jako spełnioną, otoczoną gromadą prawników kobietę w sile wieku, która łyka zbawienne Tabletki Na Wszystko, siedzi przed komputerem i łowi świat w Sieci, zna wirtualną przyszłość najbliższych weekendów, nie pamięta już za to środkowoeuropejskich wiecznych jesieni i przerażających zmierzchów, kiedy stada wron unoszą się nad domami starych dzielnic, ani niegdysiejszych śniegów przysypujących resztki marzeń odbierających wszelką nadzieję. Nie ma co jednak wybiegać kilkadziesiąt lat w przyszłość, w której stopnieją już zapewne wszystkie lodowce, więc zdanie o niegdysiejszych śniegach nie będzie nigdy więcej przywoływane w kontekście poetycko-egzystencjalnym, ale nabierze dosłownego wymiaru i zacznie się raczej pojawiać recenzjach historycznych powieści o młodych ludziach, spędzających wolny czas na narciarskich rozrywkach w słynnych alpejskich stacjach, obróconych zupełną ruinę (spójrzcie: St. Moritz leży w gruzach, Cortina d'Ampezzo rozpadła się w proch, K-Stadt nie istnieje, Chamonix diabli wzięli, oto żałosna resztką Tignes, Ceryinia opuszczona w panice, pa, pa, Ga-Pa, nie ma Hintertuxu, zapadł się jak wjakąś czeluść, a Pleń i Les Arces obrastają pustką, nigdzie nie widać Francuskich Trzech Dolin i żaden ślad nie został po szwajcarskich Czterech Dolinach). Skąd się bierze to moje zaskakujące i uporczywe trwanie, do którego coraz trudniej mi się przyzwyczaić, gdy ciągle widzę cudzą zagładę? Tak, rzeczywiście nie przeżyłam rewolucji, podobnie jak nie przeżyły jej przecież ani Anna Kis, ani Zsuzsa Mikszeth, ani Marta Krudy, ani Agnes Móricz, ani nawet Erika Kosztolanyi, co akurat w jej rodzinie uchodzić musiało za wstydliwą przypadłość. One jednak w ogóle nie przeżyły, a mnie się udało wytrwać na posterunku. Wciąż żyję: bez pamięci epokowych wydarzeń, z męczącą pamięcią błahych dni i pustych tygodni, nie mających szans na krwawe rebelie i zbrojne powstania, a co najwyżej znaczonej drobnymi zamieszkami - czymś na kształt niewielkich sensacji żołądkowych świata, lekkiej niestrawności z powodu ciężkostrawnej historii. Choćby tyle: w roku **1956** rodzice Anny Kis nawet się jeszcze nie znali, dorastali z dala od odgłosów historii, z dala od pasażu Korwina i od placu Szena, bardzo daleko od wyspy Csepel. Poznali się dziesięć lat

później, umówili się na randkę w kawiarni „Anna”, był wyjątkowo piękny dzień, a później nie działo się naprawdę nic, lata mijały jak odkrajane plasterki wędliny, dziecko rosło zdrowe i ładne, w ciepłe wieczory dobrze było przejść się po spokojnej ulicy, potem pojawiały się traubisoda, twarde, kolorowe, Farbujące język gumy do żucia, białe wino i wino czerwone, a później jakieś wyjazdy, przeprowadzki, męczące noce i nudne dni. Nie przeżyłam rewolucji, przeżyłam świnkę, szkarlatynę, wietrzną ospę i niezliczone alergiczne wysypki, które obsypywały moje ciało częściej niż pocałunki kochanków. Nie napiszę jednak wspomnień, nie będę miała 90 lat, nie tylko na Bali, ale także tutaj, nie dane mi będzie wygrzewać się na ławce w jesiennym słońcu, rozmawiać z psem i duchami, czesać już nie swoje włosy, ale psie kudły i myśleć, kto pierwszy umrze: mój głuchy, ślepy pies czy ja, stara, schorowana i zdziwaczała. Może dzięki temu nie zrozumieć, na czym opiera się działanie czasu, skoro przecież i tak ledwo umiem się domyślić, czym jest przestrzeń. Mogłabym powiedzieć, że nie pamiętam przyszłości, ale wiem, że ktoś już to przede mną zrobił. Nie pamiętam jednak kto; pamiętam jedynie stada wron kołujące za oknem podczas zimowych zmierzchów. Wracam do starych książek, do *Plaży wspomnień*, która teraz właśnie leży przede mną. Lubię pić zieloną herbatę i czytać, po prostu nie mam lepszego pomysłu na resztę życia, a z dzisiejszej perspektywy mogę już przyznać, że nie miałam też dobrego pomysłu na to, co było przed tą resztą. Nie czytałam tej dziwacznej powieści od lat, aż dziw, że przetrwała i teraz nagle znów wskrzesiły ją wspomnienia, dobrze się trzyma jak na swój wiek, czas był dla niej łaskawy - może dlatego, że już wcześniej przeszła swoje, straciła okładkę i stronę tytułową, więc nadal nie wiem, kto ją napisał i po co to zrobił. Nie pierwszy raz zastanawiam się, kim był i co go skłoniło do popełnienia tej grafomanii: żądza sławy i pieniędzy?, chęć łatwego uwodzenia nadwrażliwych kobiet?, nadmiar wolnego czasu, który chciał w wyrafinowany sposób zabić?, wizja nieśmiertelności zyskanej dzięki encyklopedycznym notkom? Czyżby wierzył w ocalenie przez literaturę albo nawet w wiekuiste za jej sprawą zbawienie? Zapewne sam z reguły zarzucał lekturę grubych i monotonnych powieści, ale zawsze imponował mu ten godny szacunku upór, by rzecz rozciągnąć do siedmiuset stron gęstego druku, taka objętość musi budzić zaufanie. *Plaża wspomnień* była przypuszczalnie jedyną rzeczą, którą udało mu się doprowadzić do szczęśliwego końca, jego jedynym w pełni zrealizowanym projektem, jedynym statkiem z jego armady, który dopłynął do portu, choć nie ma pewności, czy to był rzeczywiście port przeznaczenia. Reszta okrętów poszła najprawdopodobniej na dno, ich wraków nie znają nawet ryby głębinowe. Nie ma zresztą w nich czego szukać, nie było pod ich pokładami żadnych skarbów, najmniejszych kosztowności. Mogło uchować się tam co najwyżej trochę szkieletów, ale na nie szkoda czasu, zbyt wiele ich jest wokół, żeby mogły

kogoś dzisiaj naprawdę zainteresować, rozpalić czyjąś wyobraźnię do prawdziwej czerwoności. Gdzie by się nie rozejrzeć, same szkielety, czasem tylko jeszcze niepozobawione mięsa na kościach, którego zgnicie i odpadnięcie jest jedynie kwestią czasu. Może autor *Plaży wspomnień* sam chciał poczuć się jak bohater jakiejś powieści, wiedział, że pisze, mając przeciwko sobie czas, przecież mówił: „Czasami sam czuję się jak bohater jakiejś powieści - nie mam pamięci epokowych wydarzeń i nie pamiętam też wydarzeń, które powinny kształtować moją biografię: szkoły, pierwszych pocałunków, pierwszych śmierci. Czas nie jest względny, dla mnie w każdym razie był zawsze bezwzględny”. Może więc liczył, że choć na moment trafi do prawdziwego piekła literatury i znajdzie się tam doborowym towarzystwie najohydniejszych przestępców, zabójców małych dzieci, rozpruwaczy łon pięknych kobiet, niepoahamowanych sadystów, opętanych myślicieli religijnych, szalonych filozofów, spalonych na stosach, uśmierconych na krzesłach elektrycznych, powieszonych głowami w dół, rozszarpanych koźmi, utopionych w płynnym ołowiu. Czyżby imponowali mu ci, którzy smażą się w swym wiecznym potępieniu, patrzą wylupionymi oczyma, mówią bezgłośnie wyrwanymi językami, machają odciętymi dłońmi, kiwają zachęcająco zdekapitowanymi głowami?

A może kusila go popularność na miarę wywiadów kolorowych pisemkach i chciał zdobyć poklask dzięki umiejętności opowiadania barwnych anegdoto agonalnych cierpieniach świętych męczenników i brutalnych gwałtach na błogosławionych dziewicach? Czy łudziłby się jednak, że zdobędzie sławę dzięki znajomości najbardziej wyuzdanych historii śmierci królów i papieży, na przykład opowieści o ostatnich chwilach Katarzyny 2 na sedesie, o pożegnaniu się ze światem przez Filipa 6 Walezego w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat na skutek namiętności do siedemnastoletniej kuzynki albo - jako numer popisowy - o śmierci bez rozgrzeszenia papieża Jana 16, zdemaskowanego i śmiertelnie pobitego przez zazdrosnego męża, który swą żonę znalazł w papieskim łóżku?

Nie, to wszystko mi nie pasuje do jego portretu, myśli Karolina o autorze *Plaży wspomnień* i próbuje uwierzyć w jego namacalną cielesność, choć doskonale zdaje sobie sprawę, że ciała nie ma on już od dawna. Karolina czuje, że mężczyzna na stronach pisanej przez siebie powieści szukał raczej prawdziwej miłości. Był sentymentalny i melancholijny, wiedział, że w jego życiu nic się nie dzieje i tak będzie zawsze, nie wystarczały mu święty spokój, zbawienna nuda, wieczny constans, nie godził się na tego raka z przerzutami do mózgu, serca, wątroby, płuc, kiedy przestały mu pomagać jednostajne zabiegi, nowe dawki monotonii, skomplikowane operacje stagnacji i codzienne chemioterapie rutyny, uczepił się innej szansy na wyzdrowienie. Z uporem maniaka szukał więc środków zaradczych na

względność i bezwzględność czasu, skutecznego sposobu na pokonanie największych przekleństw ludzkości.

Ta powieść stała się w końcu i moim przekleństwem, konstatuje po raz kolejny Karolina, tak, wcale nie przesadzam, przekleństwem mojego papierowego życia, potrafię ją cytować wiernie i do woli, bo znam ją niemal na pamięć, a niektóre Fragmenty mogłabym powtarzać jak mantrę: *Wracałem więc do domu, pakowałem najpotrzebniejsze rzeczy, dzwoniłem po taksówkę, jeszcze raz sprawdziłem, czy wszystko zostawiam w najlepszym porządku, czy po moim wyjściu budynek nie zamieni się w zgliszcza za sprawą wybuchu gazu albo nie obróci się w cuchnąca pleśnią ruinę pod wpływem małego potopu. Wreszcie schodziłem do samochodu i kazałem się wieźć na dworzec. Czas był znów przeciwko mnie.* Karolina czyta *Plażę wspomnień* i projektuje swoją obecność w cudzych książkach, zanurza się w czyjaś chwilowość w poszukiwaniu wieczności, z determinacją dobija się do cudzych istnień, wkracza posuwistym krokiem w obce dni, tak jak tylko ona wkraczać potrafi - zdecydowanie, majestatycznie, wysmukle i ponętnie, niczym w tamten upalny dzień powracający coraz bardziej zaciskającą się pętlą upartej pamięci (w białej bluzce na podobieństwo uczennicy przyklasztornej szkoły), apotem już idzie w towarzystwie nie swoich losów, z rozwianymi włosami spaceruje po szerokiej, pustej plaży, wdychając jod i morski zapach. Trudno jednak nazwać plażą to skaliste wybrzeże zimnego morza (mam już dość gorących mórz, greckich wysp tonących w wiecznym słońcu, zabójczych upałów i mężczyzn jak z reklam wód kolońskich, buntuje się Karolina), to kamieniste urwisko, o które rozbijają się z nienawiścią lodowate fale, a z Fal w górę pną się klify. Klify ciągną się w prawo, jeszcze daleko za latarnią morską, zaś w lewo, za niewielką zatoczką, wybrzeże znów się wznosi i niknie we mgle, deszczu albo rozpryskach zimnych Fal. Sama latarnia góruje nad urwiskiem niczym wystawiony w wulgarnym geście środkowy palec, nie wygląda wcale na opuszczoną, nie zdradza wyraźnych oznak zaniedbania czy porzucenia, choć zarazem trudno także znaleźć namacalne dowody na czyjaśkolwiek w niej obecność. Latarnia jest chyba zamknięta, nie widać żadnego śladu życia, choć Karolina zauważyła wcześniej tablicę z informacją o możliwości wynajęcia tu pokoju. Czy jednak to miejsce nie pogrąży się w stopniowej zagładzie, snuje domysły Karolina, być może ostatni latarnik uciekł z niego w niewyjaśnionych okolicznościach albo umarł w tajemniczy sposób, a nikt inny nie chce tu zamieszkać? Czemu nie miałyby ciążyć nad tą budowlą słynna klątwa? Tu nad wszystkim ciąży klątwa, stwierdza Karolina, to dobre miejsce dla mnie, nie będę się wyróżniać. Byłoby dobrze spędzić tutaj trochę czasu, po prostu dzień w dzień patrzeć na morze i zmagać się z żywiołami, samotnością, i oczywiście *full breakfast*, które nieustannie jej zagrażają, gdziekolwiek się nie

zatrzyma: smażone kielbaski, smażony boczek, smażone jajko ze smażonymi pomidorami i smażoną Fasolą. *Just porridge*, mówi zazwyczaj i zakleja się słoną papką, układającą się w jej żołądku w ciepłą, ciężką kulę, jak przeciążona pamięć.

Karolina jest sama i za jedyne towarzystwo służyć jej muszą duże, tłuste, krzykliwe mewy. Stoi więc na wielkim, czarnym kamieniu i spogląda w morze (oto kolejna scena godna romantycznego malarza), nie myśli o niczym, po prostu spogląda w morze, w jego zimną, głęboką skończoność, a wokół niej roztacza się prawdziwa bezludność, choć życie zaciekle kipi, niczym morska kipiela, powyżej kołują skrzekliwe mewy, a za nią uparcie skubią trawę dziesiątki zmokniętych owiec.

Na wyspę Skye Karolina przyплыnęła promem kaledońskich linii, którego czarny kadłub znakomicie wkomponowywał się w zgniłą zieleń wybrzeża i ciemnoszarą stal niespokojnych wód. Herbata na promie jej nie smakowała, więc porzuciła ją zaraz po pierwszym umoczeniu ust, wyszła na pokład i stała, pozwalając, by lekki deszcz kaleczył jej delikatną twarz. Trzeba uważać na muszki, są okropne, nie sposób przed nimi uciec, więc jeśli jest pani alergiczka, proszę się odpowiednio przygotować zabezpieczyć, usłyszała dobrą radę od kogoś stojącego obok. Od dzieciństwa słyszała dobre rady, z czasem nauczyła się na nie reagować z przesadną uprzejmością. Dziękuję, powiedziała grzecznie, jestem przygotowana, już od dawna jestem na wszystko przygotowana, nic nie jest mnie w stanie zaskoczyć, a poza tym są rzeczy, przed którymi rzeczywiście nie da się uciec. Muszki, choć dokuczliwe, wydają mi się nie najstraszniejsze z tego wszystkiego, przed czym nie mogę umknąć.

Do latarni morskiej dotarła już po południu, wcześniej w Portree, stolicy wyspy, zjadła ostrą, sycącą zupę rybną z małżami, zahaczyła jeszcze po drodze o ruiny zamku MacDonaldów w Duntulm. Żałosna kupa kamieni na skarpie, otoczona krwawą legendą, pomyślała, tu wszystko otoczone jest krwawymi legendami, pamięć płynie rzeką krwi. Potem wynajętym samochodem pojechała na półwysp Duirinish do latarni na Neist Point (gdzie ten samochód wynajęła?, czy bez problemów dawała sobie radę z ruchem lewostronnym?, jak udawało jej się lewą ręką zmieniać biegi? - proszę bardzo, spekulujcie, bo mówiłem już, że jestem narratorem niewszystkowiedzącym i moja wiedza tu się właśnie załamuje). Zaparkowała na samym końcu drogi, przed wielkim uskokiem, do latarni trzeba było zejść długimi, stromymi schodami, minąć dziwny, stary wyciąg do transportu owiec z pastwiska, a potem znów iść trochę pod górę i wreszcie - poprzez mokry, zielony, upstrzony owczymi Fekaliami, trawiasty dywan - wejść na kamieniste wybrzeże, zawieszane wysoko nad wodą. Karolina staje na samym szczycie urwiska i spogląda w morską toń, po kilku minutach

schodzi na chwilę niżej, ostrożnie pokonuje śliskie kamienie, regularnie zalewane słoną wodą, jakby chciała zniknąć w pieniających się i wystrzeliwujących ku niej Falom. Potem zaczyna się wycofywać, wspina się z powrotem, uważając, by się nie poślizgnąć na mokrych kamieniach. Wreszcie ponownie ogarnia wzrokiem całość, od jednej strony Fotograficznej klatki do drugiej. To właśnie wtedy tajemniczy Fotograf zrobił jej kilka zdjęć, które teraz mam przed sobą i którym uważnie się przyglądam. Zastanawiam się, jak mu się udało uchwycić ją w herbaciarni, w której na chwilę się zatrzymała w drodze powrotnej z Neist Point. Na fotografii widać, że przed Karoliną stoją filiżanka herbaty i podawane na ciepło słodko-kwaśne ciasto rabarbarowe, sama Karolina zanurza machinalnie łyżeczkę w cukiernicy, patrząc ze smutnym uśmiechem gdzieś za okno i doprawdy, z tym melancholijnym wyrazem twarzy i subtelną urodą, w tym markowym pulowerze wygląda jak wycięta z żurnala mód. W jej spojrzeniu dopatrzeć się jednak można jakiejś głębszej refleksji, rewanżu pamięci, która właśnie w tej chwili bierze na niej odwet. Właśnie to spojrzenie zdradza, że Karolina nie siedzi tu bezmyślnie. Czyżby myśli tak bardzo ją pochłonęły, że nie zauważyła upartego fotografa, wiecznego tułacza, nieodparcie podążającego jej tropem, stąpającego po jej niewidocznych śladach? Może uznała go za wścibskiego pejzażystę, który znudzony zleceniem z pisma poświęconego podróżom, zobaczywszy wreszcie na odludziu atrakcyjną kobietę, ku niej skierował swój poządlivy obiektyw? Może to właśnie stąd ten smutny uśmiech?

Właściwie wołałabym, dochodzi do wniosku Karolina, żeby *Plaża wspomnień* rozgrywała się tutaj, na skałach, a nie na piaszczystym wybrzeżu, bo pamięć to nie piach, ale kamień. Szkoda, że ta upiorna książka, nieusuwalne znamię moich podróży, żałuje Karolina, jakże mniej potrzebna i praktyczna niż niezastąpiony *Rozkład jazdy na liniach autobusowych, okrętowych, kolejowych i lotniczych*, nie opisuje miejsca, w którym teraz się dziwnym trafem znalazłam. Między zimnym morzem a ciepłym ciastem rabarbarowym, pomiędzy głodem miłości a sycącą zupą rybną dobrze byłoby poszukać ratunku w lekturze i natrafić na odpowiedni fragment:

Na wyspę Skye przy płynąłem promem kaledońskich linii którego czarny kadłub znakomicie wkomponowywał się w zgniłą zieleń wybrzeża i ciemnoszarą stal burzących się, zimnych wód. I ja też postanowiłem wkomponować się w krajobraz tej wyspy, stanąć na czarnych kamieniach wybrzeża, a potem zniknąć we mgle, w deszczu, rozmasać się bez śladu na tle zgniłozielonych pól i ostrych skał. Tak, to dobre miejsce, by się tu zaszyć i tylko patrzeć w niektóre dni podobno można jeszcze zobaczyć w zatoce wieloryby, a w lecie zmrok zapada dopiero około jedenastej, więc jest pod dostatkiem życiodajnej jasności. Tak bardzo chciałem oderwać się od swoich myśli, że włączyłem w samochodzie stację nadającą w języku

gaelickim. Poczulem dziwną ulgę, gdy okazało się, że zupełnie nic z tego, co tam mówiono, nie rozumiem. Jechałem przez nieustającą mżawkę, w chmurach niewidzialnych muszek, wśród zdań w niezrozumiałym języku i czulem spokój godny zmarłych, bo być może właśnie trochę umarłem, choć moje nogi naciskały pedały hamulca i sprzęgła, a dłonie trzymające kierownicę reagowały na to, co się dzieje, jakby nadal były żywe. Ale przecież w jakiś tam sposób pozostawałem martwy, spokojną bezpieczną martwością ludzi, którym świat w żaden sposób już nie przeszkadza ani nie doskwiera. Moje życie składało się z wyjazdów i powrotów było podróżą, bo nie potrafiłem za-znać spokoju w miejscach, które były gotowe mnie przyjąć, od jednych miejsc uciekałem ku innym, jak (moje metafory nie zawsze są wyszukane) od jednej kobiety ucieka się do innej. Uciekałem więc przez całe życie, wciąż nie wiem, ile tej ucieczki mi jeszcze zostało, być może jednak jest to jej ostateczny koniec może tu w wilgotności, w chłodzie, w spokoju długich dni - mógłbym znaleźć wreszcie cichy koniec tej historii, odkryć go w wielogodzinnej, mokrej jasności, w zapachu pika ntnej zupy rybnej albo ciasta rabarbarowego, w rozległej szarości i zgniłozielonym pejzażu. Zatrudniłbym się na przykład w Duntulm Castle Hotel prawie nie ma tu gości, więc może pracy też nie byłoby za dużo, godzinami patrzyłbym przez przeszkloną ścianę kawiarni na morze (nawet jeśli nie wrócą tu już wieloryby, to czasami można na horyzoncie ujrzeć jakiś kontenerowiec) i wspominał te dawne chwile, gdy idę na jej spotkanie, które wyznaczyliśmy sobie na wysokości latarni morskiej, dokładnie w tym samym miejscu co wiele lat temu. Można powiedzieć, że nasze przywiązanie do symboli jest naprawdę rozbijające. Choć ta latarnia sprawia wrażenie niezamieszkanego, wcale nie chyli się ku spektakularnemu upadkowi, uparcie i mężnie tkwi na skale, nie runie w dół, klify są silne i tak łatwo nie poddadzą się morzu. Ja też się łatwo nie poddam, trwam uparcie jak te owce napolach wokół.

Ja też trwam uparcie, odzywa się znad ciasta rabarbarowego Karolina, choć nie chciałabym, aby ktoś mnie porównywał do owcy, jestem już raczej wygłodzoną, zaszczutą suką, snującą się samotnie w poszukiwaniu bezpiecznego kąta, w którym mogłaby się skryć przed sadystycznymi, pijanymi ulicznikami, rzucającymi we mnie kamieniami i próbującymi dosięgnąć moich zapadłych boków swoimi ciężkimi butami. Podobnie jak bohater tej nudnej powieści, choć jestem, to jednak nie istnieję, mimo iż mówię, nikt nie usłyszy moich słów: ani mężczyzna przy sąsiednim stoliku z taką chorobliwą precyzją mieszający kawę, ani kobieta za ladą, która poleciła mi właśnie ciasto rabarbarowe; to nasza specjalność, dodała z niepewnym uśmiechem; ani Fotograf, który już się mną najwyraźniej nasycił, bo właśnie zamknął aparat w Futerales i odszedł do swojego samochodu, by już wkrótce zrozumieć, że mnie nie było i nie ma. Naprawdę chciałabym ujrzeć jego minę, kiedy po wywołaniu zdjęć z troską się nad nimi

pochyli i zaskoczony zobaczy puste miejsce i tylko zostawione na stole przez kogoś z wcześniejszych gości resztki ciasta rabarbarowego i filiżankę z niedopitą herbatą. Będzie z niedowierzaniem przeglądał długą celuloidową taśmę, skakał wzrokiem po klatkach z owcami tłoczącymi się na mokrych pastwiskach i krzykliwymi mewami pikującymi w skały klifów, jakby chciały je zadziobać, i w ostatniej chwili odskakującymi przed śmiercionośną szarością. Zacznie panicznie przeglądać fotografie, na których jacyś ludzie wspinają się na urwisko lub idą wysokim nabrzeżem, by jednak uparcie powracać do tych klatek, na których jedynie stygną resztki ciasta rabarbarowego i niedopitej herbaty. Może wtedy się zamyśli, zapali papierosa albo naleje sobie kieliszek alkoholu, usiądzie i zacznie się zastanawiać, kim mogła być ta dziewczyna, której nie zdołał uchwycić jego aparat: duchem powracającym w miejsce swojej śmierci, a może w czas swojego szczęścia, projekcyjnego niespełnionych marzeń, delirycznym snem, zwykłym przywidzeniem? Może uzna, że widział niedawno podobną kobietę w Mediolanie albo Rzymie i gdzieś mu się po prostu sprytnie schowała w skrytce pamięci, by potem nieoczekiwanie się zmaterializować, wyskoczyć jak diablica z pudełka, usiąść z tym swoim melancholijnym uśmiechem w herbaciarni i sformułować bezgłośnie przesłanie: ja nie piję, nie piszę, nie pracuję, ja podróżuję; nie mam kaca fizycznego, nie mam kaca moralnego i nie umieram z przepracowania ani od nadmiaru zwiedzania; nie czuję bólu głowy, mój żołądek nie robi mi przykrych niespodzianek, jedyną niespodzianką jest to, że wciąż tu jestem. Kiedy fikcyjne wzburzone wody obmywają nieistniejące urwiste wybrzeże, ja czuję coraz bardziej narastające zmęczenie. Ciągłe prześladowuje mnie jednak widok pięciu dziewcząt ze zdjęcia wyruszających w swoją ostatnią podróż. Widzę je wyraźnie oczyma rozognionej wyobraźni, nawet kolor oczu, wszystkie pieprzyki i pryszcze, widzę wałki tłuszczu i cellulitis, dziury w zębach i spiczastość kolan. I nawet je czuję, i to bardzo blisko. Wiem, że Anna Kis, dziewczyna z Komarom, wcale nie siedzi w drogiej, turystycznej kawiarni „Anna” przy Vci utca, gdzie spędzili pierwszą randkę jej rodzice, i wcale nie spogląda na ruchliwy Kristóftér. Anna Kis siedzi teraz nad brzegiem mitologicznej rzeki i czeka na słynną łódź, jakby oczekiwała na prom z Calais do Dover albo z Pireusu na Rodos. Anna Kis pachnie morską wodą, małżami i wodorostami. Jest bladą topielicą, szczupłą, wiotką i smutną. Dociera do mnie wyraźny zapach Zsuzsy Mikszeth, jej mało dyskretnych perfum, których zdecydowanie nadużywała, jakby chciała zabić nimi wrośniętą pod jej skórę zatęchłą woń leczniczych wód Miskolc-Tapolca; obserwuję ją w zapchanym, charczącym i trzęsącym wagonie czerwonej linii metra, gdzie mieszają się zapachy wód kolońskich, potów, wspomnień i lęków setek pasażerów. Woń jej potu przebija później delikatnie przez grube kimono, gdy czerwona na twarzy szarpie się z Anną w czasie ćwiczeń judo w akademickim

klubie. Najbardziej zaś wyostreza mój węch jej widok tuż po szybkim, porannym prysznicu przywracającym krążenie, lubię także obserwować ją, gdy rano wychodzi ze swojego domu w zacisznej części Zugló, żeby zrobić zakupy w pobliskim sklepie, niezapomniany jest unoszący się wtedy aromat chleba kukurydzianego, czerwonej papryki, pikantnej suchej kiełbasy i powideł z dzikiej róży. Widzę Martę Krudy, jej drobne ciało napinające się pod kostiumem w trudnym ćwiczeniu gimnastycznym, niech to będzie brawurowy skok przez kozła albo niebezpieczne podciąganie się i salto na drążku, niewspółmiernie do kruchości tego ciała. I spoglądam na Agnes Móricz na dyskotecę w Sekeszfekerwar, wylania mi się przesycona tytoniem i oparami piwa. Czuję też Erikę Kosztomnyi, bije od niej odór krwawych kłesk jej przodków i przemysłowych wydzielin Pecs, a jednocześnie naftaliny, którą z rezygnacją smaruje włosie smyczka przed zabraniem się do odrabiania ćwiczeń skrzypcowych. W przeciwieństwie do nich jestem ciągle żywa, myśli Karolina, tylko po prostu mnie nie ma, więc żaden zapach z mego nieistniejącego ciała nie drażni powonienia mężczyzn, którzy tak chętnie się za mną odwracają na ulicach i z milczącą przyjemnością przysiadają się do mnie w autobusach. Być może natężają zmysł powonienia, zbliżają dyskretnie nozdrza do mojej szyi, prawie nie mogą się powstrzymać, by nie zatopić twarzy w moich włosach, i nie czują nic: żadnych perfum, zapachu szamponu, dezodorantu, ponętного zapachu kobiety, obietnicy zmysłowej rozkoszy, nie przebija się do ich receptorów zapach mojego kolorowego dzieciństwa, barwnej młodości, pastelowej dojrzałości. Teraz jednak i tak nie ma to większego znaczenia, otaczają mnie przecież tylko te muszki, rzeczywiście nie sposób się przed nimi ukryć, jak to dobrze, że nie wiedzą o moich alergicznych skłonnościach, bo nie gryzą mnie zbyt zaciekle, w przeciwnym razie już bym cała w dusznościach oczekiwała na zbawienny zastrzyk z hydrocortisonu. Cóż, właściwie mogłabym powiedzieć w ślad za słowami pewnej piosenki: szkoda tylko, że to wszystko się kiedyś skończy. Czasami tracę już cierpliwość, ale potem się przed tym nieopanowaniem pohamowuję, przecież naprawdę nie ma się dokąd spieszyć, a czas po raz pierwszy zdaje się mi sprzyjać.

Zawsze brakowało mi cierpliwości, a i wytrwałość nie była moją mocną stroną. Nie znaczy to jednak, że rzucało mną po świecie, że moje życie składało się z wyjazdów i powrotów, że było podróży, bo nie potrafiłem zaznać spokoju w miejscach, które były gotowe mnie przyjąć, że od jednych miejsc uciekałem ku innym. Moje życie wcale nie było podróżą, już raczej przypominało wieczną pogoń za niewiadomym, zresztą lepiej jest gonić niż uciekać, choć pewnie to mało odkrywczą myśl, ciągle jednak czuję się jak samotny maratończyk, uparty długodystansowiec, zamieniający się czasami w zaciekłego sprintera. Moja niecierpliwość rzucała mną nocami po mieszkaniu, wyganiała na puste, mokre ulice, nie

pozwalala spokojnie czekać na to, co nieuchronne, czekałem więc niespokojnie, a nieuchronność zbliżała się bezwzględnie i zdecydowanie. Niepokój był w moich wnętrznościach i wokół mnie, strach pojawiał się w mojej głowie i spływał w dół jak zimna woda, mrowienie w drętwiejących rękach promieniowało aż do stóp, a te, nie pytając o zdanie, niosły mnie w miejsca, do których sam z własnej woli nigdy bym nie dotarł. Szedłem więc w rytmicznym amoku, otepiałe i zaciekle, jak najemnik jakiejś dziwnej armii, podążającej na podbój złotych miast, zbudowanych jedynie w głowach żołnierzy, maszerującej, by gwałcić piękne kobiety istniejące tylko w żołdackich snach. Szedłem w kurzu codzienności i grzęzłem w błocie obowiązków, paliło mnie słońce powinności i moczył deszcz rezygnacji, mijały lata, lecz czas zdawał się nieustannie trwać na posterunku niczym sterydowy ochroniarz, który zawsze w niezmiennym rozkroku broni wstępu na wystawne przyjęcie. Parzyłem sobie nocami yerba mate, jak przystało na rasowego czytelnika iberoamerykańskich powieści, i paliłem papierosy (najpierw nerwowo i nieuważnie, potem powoli, głęboko się zaciągając), odgradzałem się od świata, wsłuchiwałem uważnie w ciszę oplatającą dom, w ciszę za oknem, w przeszywające zimno jesiennych nocy, w lepłą duszność letnich wieczorów. Poza ciszą do moich uszu dochodziły z zaświatów przerażający śmiech przeszłych pokoleń i pogardliwe chichoty pokoleń przyszłych, ich głośnie szyderstwa i złośliwe docinki. A ja tkwiłem pomiędzy nimi, w tym deprymującym hałasie, w zawstydzeniu, w poczuciu wzdryki, ze swoim nieuchronnym przeznaczeniem, niewykonalnymi misjami do spełnienia, nieustannymi zadaniami specjalnymi. U wylotu niekończącego się tunelu miało być upragnione światło, tam miała znajdować się Karolina, moja jedyna nagroda. Szeregi bestialskich morderców maszerowały przede mną dostojnie, słynni zbrodniarze prezentowali broń, zwyrodniali rzeźnicy salutowali unurzanyymi we krwi dłońmi, sadystyczni oprawcy powracali w miejsca swych największych i najbardziej spektakularnych dokonań. Przed moimi oczami przesuwaly się najbrutalniejsze horrory, najobrzydliwsze thrillery. Nie widziałem wcale greckich wysp skąpanych w zabójczym słońcu, nieustannie byłem za to świadkiem zabójstw w ciemności, w czarnych zaułkach, mrocznych bramach, na bezświetlnych klatkach zrujnowanych kamienic; moja wyprawa wiodła nie przez basen Morza Śródziemnego, ale przez gęste morze ciepłej krwi. Patrzyłem na najbardziej wymyślne zbrodnie, obserwowałem, jak psychopaci zaprzeczali na wyścigi swemu człowieczeństwu, autorzy scenariuszy filmowych wznosili się na wyżyny swej chorobliwej wyobraźni, dramaturdzy epatowali zwyrodniałą przemocą. Gdzie jest granica, zdawali się pytać, jeśli w ogóle jakaś granica istnieje? Sen nie przychodził, bo odszedł zbyt daleko, ja zaś wiedziałem, że są miejsca, z których nie sposób powrócić. Wciąż nie

przychodziła do mnie też Karolina, więc to ja musiałem nieustannie wychodzić jej na spotkanie. Ubierałem się zdesperowany, gasiłem ostatnie światła i wychodziłem z mieszkania, by w środku nocy rozpoczynać swoją kolejną podróż. Oto historia wielkiej wyprawy, powieść przygodowo-podróżnicza, żaden łzawy romans, raczej dziennik wścieklej ekskursji, pamiętnik znaleziony w grobie, prawdziwie przerażająca gotycka proza. Akcja cały czas toczy się w nieistniejących miejscach, tam rozgrywają się kluczowe sceny, mrozące krew w żyłach pojedynki, widowiskowe ucieczki i pościgi. Wszyscy są w maskach i w przebraniu, i nikt już nie wie, kto kogo zabija i z jakiej to robi przyczyny. W nieprzeniknionych ciemnościach, pośród grzmotów piorunów, w ostrych smagnięciach oślepiających błyskawic, w biblijnym deszczu dzieją się najprawdziwsze okropności. Nic się nie kończy, bo nic się nie zaczęło, a chwila wciąż trwa, wieczne „teraz” nie chce wyruszyć na spotkanie ze swoją przyszłością. Czy podoba wam się ten ogród, z którego nie ma wyjścia, szepcze Karolina - demiurgiczna ogrodniczka, jesteśmy skazani na tę straszliwą plataninę, nieziemską rozgrywkę, wieczny taniec miłości i nieustanny taniec śmierci. Oto zapuszczony trumienny ogród Karoliny, ogród w ciągłej zagładzie, dzieciom nie wolno tam wchodzić i przeszkadzać. Nieustannie mijają melancholijne ostatnie dni lata, rozpędzają się depresyjne jesienie, wybuchają histeryczne wiosny. Karolina myśli, że jest nieśmiertelna, czyta modernistyczne powieści, deklamuje w myślach symbolistyczną poezję, znowu wchodzi po raz pierwszy w chłód uniwersyteckiego budynku, znowu pisze wiersze i publikuje je w studenckim piśmie, znów spędza noc z tajemniczymi mężczyznami, którzy mogą z nią być, gdy tylko zechcą, i znów mnie widzi, kiedy stoję w grupie nieznanomych osób i patrząc na nią, myślę: „Boże, muszę ją mieć!” albo „Boże, nigdy jej nie będę miał!”. Teraz znowu wyruszam w ślad za nią, krok w krok, spokojnie, nie tak jak kiedyś, gdy teleFonowałem do niej regularnie po to tylko, by się dowiedzieć, że wciąż jest w łazience i że wkrótce do mnie oddzwoni, chociaż czułem przecież, że nigdy to nie nastąpi. Jak długo można się kąpać, myślałem, czując niemal zapach jej mydła, czy teraz powolnymi ruchami rąk myje głowę ziołowym szamponem, wszak długie włosy wymagają czasochłonnej pielęgnacji; czy też może goli sobie nogi, spekułowałem, ale jak długo można golić sobie nogi, nawet bardzo długie nogi? A może wcale nie słyszy nawoływań rodziców, bo z zamkniętymi oczyma leży zanurzona w pianie, otoczona sosnowym zapachem, jakby spała w szklanej trumnie pozostawionej przypadkowo w lesie, i kusząco się uśmiecha, tyle że nie do mnie, lecz do swoich wyuzdanych myśli? Pewnie jednak było jeszcze inaczej: ona wtedy już wymyta i wyperfumowana, w specjalne na tę okazję kupionej bieliźnie i w wieczorowej sukience wsiadała do taksówki, by jechać coraz dalej i dalej ode mnie, odwiedzać miejsca, do których nigdy nie dotarłem, bo nawet nie wiedziałem,

że one istnieją. Z reguły ignorowała dopiero co poznanych chłopców, którym tak nieprzyjemnie mieszał się alkohol z literaturą, choć czasami rozmawialiśmy na korytarzu, częstowałem ją papierosami, a ona śmiała się z mych żartów i dotykała lekko mojego ramienia. Widywałem ją niekiedy w towarzystwie nieznanych mi mężczyzn, których poufale trzymała pod ramię, a to przecież my powinniśmy tak iść razem przez dziedziniec, jakby to były lata trzydzieste - widziałem wiele zdjęć z lat trzydziestych, kobiety zawsze trzymały mężczyzn pod ramię, szczyt publicznego spoufalenia, wyraźny, dobitny dowód zaufania, który i ja chciałem otrzymać. Od początku jednak wiedziałem, że tylko sobie mogę ufać, a i to nie najlepiej mi wychodzi, bo co jakiś czas sam przyłapuję się na mimowolnych zdradach.

Potem, kiedy ja robiłem sobie herbatę w ciemnym i zimnym północnym mieście, jej, wiele kilometrów na południe ode mnie, przynosili do stolika aromatyczną espresso i wodę mineralną. Pijąc, przeglądała od niechcienia lokalną prasę, choć cóż ją to wszystko mogło interesować, te skandale korupcyjne, kryzysy rządowe, zbliżające się wybory parlamentarne, oddalające się szanse na pokój, dekonjunktura na giełdach, może co najwyżej zerknęła na kolumny poświęcone sztuce lub modzie. Czyżby jednak podświadomie szukała w gazetach zdjęcia pięciu uśmiechniętych dziewcząt na tle budynku dworca kolejowego, tuż przed wyruszeniem w podróż, z której nie dane im będzie wrócić? Karolina siedziała daleko ode mnie, miała na sobie długą, letnią sukienkę, a pod nią dokładnie ogolone nogi. Miała też coś przed sobą - spotkanie z mężczyzną niczym z reklamy wody kolońskiej, a może raczej kawy, tej bardzo mocnej kawy, którą właśnie piła. Prawdziwy mężczyzna, prawdziwa kawa, a do tego zbyt prawdziwa Karolina, która już zdążyła się wyzwolić z literackich okowów i teraz właśnie samodzielnie, nie pytając nikogo o zdanie, przemierzała wzdłuż i wszerz coraz bardziej opustoszałą Europę. Za sobą miała mnie, choć wcale o tym nie myślała; nigdy nie myślę o tym, co za mną, powiedziała kiedyś i znów dokądś pojechała, zostawiając za sobą przebrzmiałe myśli i niechcianych ludzi. Z pewnością trudno jest myśleć o tym, co ma się za sobą, tym bardziej trudno w gorącym południowym mieście, gdzie ciepło rozkleja myśli i leniwość oplata ciało jak dzikie wino stare domy. Tak, o tym, co ma się za sobą, łatwiej jest myśleć w nostalgicznych miastach północy niż nabrzmiałych zbyt wyraźnymi dowodami na istnienie bogatej przeszłości miastach południa.

Towarzyszyłem jej nieustannie w tej ciągłej podróży, byłem tuż za nią, nim wybrzmiały na ulicy jej kroki, już słyhać było, jak ja stawiam swoje stopy - coraz mocniej i coraz bliżej. Teraz wreszcie robię wszystko w sposób racjonalny i metodyczny, mam w głowie dokładnie nakreślony plan, a przed sobą drogę, nie zatrzymam się, co najwyżej przyspieszę. Jestem już tak blisko, że czuję ją nawet wyraźniej, niż ona czuła tamte pięć

zaginionych dziewcząt, owiewających swymi zapachami jej wyobraźnię. Niemal słyszę, jak Karolina mówi do siebie: Całe szczęście, że nie pisałam pamiętnika, wystarczą już te nikomu niepotrzebne wiersze. Wolę nie wyobrażać sobie, że teraz oto, po wielu latach, wyciągam skądś, z jakiegoś kuferka na zapomnianym strychu, zmurszały pamiętnik, otwieram go delikatnie, żeby się nie rozsypał, przewracam powoli butwiejące kartki i czytam zenujące konfesje, utrwalone dla większej elegancji wiecznym piórem, patrzę na odległe daty, które przybierają teraz nostalgiczne kształty ludzi i miejsc, i widzę tamto przepadłe z hukiem stulecie staroświeckich kataklizmów, łowią uchem przetaczające się z wielkim rumorem wspomnienia. Zupełnie nie kuszą mnie takie wizje, o wiele bardziej nęcąca wydaje mi się inna, iście filmowa, scena. Idę oto właśnie w połowie zaskakująco słonecznego listopada przez dzielnicę, w której się wy-chowałam, i mijam przedszkole (rozdzielam wyraźnie w tłumie dzieci siebie pięcioletnią, w czerwonej ortalionowej kurtce, biegnę gdzieś, ku którejś z metalowych drabinek, a może po prostu biegnę w przyszłość), mijam sklep spożywczy (wielkie ciężkie kasy, potężne kasjerki skrupulatnie wydające resztę, duże zielone butle z wodą mineralną uzbrojone w syfony ze specjalnymi nabojami do robienia gazu, głośno chroboczące młynki do kawy i ja wśród tego wszystkiego, odurzona dźwiękami, dziewięcioletnia, zadziwiona), mijam aptekę (mdłący zapach lekarstw, kolejka starszych kobiet i ja wśród nich, dwunastoletnia, z receptą w ręku, a wokół mnie woń choroby, a może nawet ledwie wyczuwalnej śmierci), mijam kiosk z gazetami (drażniący nozdrza zapach świeżego druku, papierowe bogactwo, kolorowe tygodniki, czarno-białe dzienniki, tanie powieści, krzyżówki, bilety autobusowe, paczki papierosów i ja wśród tego papierowego świata, siedemnastoletnia, już bardzo interesująca), mijam kolekturę gier losowych (zwykle losowania totolotka, zakłady specjalne, zakłady piłkarskie, puste losy, kalejdoskop marzeń starszych mężczyzn, i ja - ich ostatnie marzenie - obojętna wobec tej loterii zakusów i fantazji).

Teraz też idę, krocę przez sam środek środkowo-europejskiego blokowiska, pomiędzy szarymi budowlami, ustawionymi równo jak nagrobki, nigdzie mnie nie ma i zmierzam donikąd. Nad czteropiętrowcami kołują niepoliczalnie wrony, właśnie nadchodzi późnojesienny zmierzch, nad dziesięciopiętrowcami rozpościera się przenikliwie zimno, w czarnym powietrzu znikają nawet anteny na dachach. Za chwilę zrobi się strasznie, wydarzy się coś nieodwołalnego. Za dużo książek przeczytałam, za dużo filmów obejrzałam, za dużo piosenek wysłuchałam - to się nie może dobrze skończyć. Nieuchronność zbliża się wielkimi krokami, wszystko musi zniknąć bezpowrotnie w ciemności: skręcający powoli autobus mało uczęszczanej linii, pies samotnie czmychający przed nieznanym, lecz groźnym, kobieta

umykająca bolesnej przeszłości, jacyś mężczyźni w panicznej ucieczce przed teraźniejszością. Ciemność przepada zaś bez śladu przysypana śniegiem. Idę przez czas jak w filmowym *loye story*, idę, a czas stoi; przystaję, a czas się rozpędza. Śnieg pada, a potem śnieg topnieje. Ciekawe, dlaczego wszystkie: Anna Kis, Zsuzsa Mikszith, Marta Krudy, Agnes Móricz, Erika Kosztolanyi, zdecydowały się na feralną wyprawę, przeklęte wakacje, po których w żaden sposób nie można się odnaleźć, z których nie wraca się pociągiem, samolotem ani nawet tramwajem 67, z których nie ma absolutnie żadnego powrotu. Czy pozostało po nich coś więcej niż zdjęcie, które obiegło łamy światowej prasy, coś więcej niż krótkie, gwałtowne wspomnienie, coś więcej niż nagła medialna nadobecność w samym środku nudnego, usypiającego lata, w taniej wyliczance niezwykłych zjawisk, pośród niewiarygodnych opowieści o **UFO**, Latających Holendrach, ludziach śniegu, podróżach w czasie i przestrzeni? Co zresztą w ogóle może pozostać, oprócz zdjęcia i krótkiej pamięci przyjaciół? Nie ma przecież nawet grobów, które mogłyby wreszcie zacząć spokojnie zarastać i utonąć w ziemi albo zostać w końcu zlikwidowane przez pracowników służb komunalnych. Więc cóż pozostaje naprawdę? Wyobrażanie sobie ich potencjalnej starości? Komputerowa symulacja ich twarzy jako kobiet, powiedzmy, sześćdziesięciokilkuletnich? Oto zabawny Fotomontaż, pięć uśmiechniętych emerytek na tle dworca Keleti: Anna Kis - zwalista i spuchnięta, Zsuzsa Mikszith - z szerokimi biodrami i ogromnym biustem, Marta Krudy - drobna, lecz zgarbiona, Agnes Móricz - otyła i posiwiata, Erika Kosztolanyi - chuda i zasuszona. Dlaczego się nad tym zastanawiam? Może boję się, że nie zostanie po mnie nic, nawet zdjęcie, nawet krótka pamięć przyjaciół, nic, czego można by się panicznie uchwycić. Co można jednak po sobie zostawić, kiedy się nie istnieje? Ale w jaki sposób udaje mi się ciągle nie istnieć, skoro widzę jego sylwetkę w mroku ulicy, słyszę za sobą jego kroki, czuję jego gorący oddech na szyi, prawie dotykam kartek tej książki, coraz częściej odczuwam zmęczenie i senność, głód, a bywa, że przenika mnie prawdziwe, neliterackie podniecenie? Teraz, na przykład, jestem śpiąca. Bardzo chce mi się spać, podróże jednak męczą, zwłaszcza podróże donikąd, a właśnie te uprawiam z rozpaczliwą determinacją. Tonące kamienie znów zataczają kręgi na wodzie, ktoś powoli zamyka mi oczy, ktoś mówi: zakryjcie jej twarz, ktoś inny: znów pachnie wiosną.

Opowiem wam o Karolinie, tak mogłem zacząć tę niepotrzebną opowieść o kobiecie, która była naprawdę warta pozaksiążkowej egzystencji. Poszukiwałem jej tylko po to, by ją stworzyć, precyzyjnie usidlić w zdaniach, nareszcie przygwoździć w słowach. Świadomie nie uczyniłem jej świadkiem wielkiej historii, kochanką zamachowców i powstańców, nawet posłów czy lokalnych polityków (jakież w końcu znaczenie miał domniemany romans z

trockistaw drucianych okularach), zależało mi też na tym, by wystrzegą się skandali (pomijając skandal zapowiedzianej śmierci) i nie urodziła nieślubnego dziecka. Zwłaszcza w tej ostatniej kwestii byłem bezwzględny i konsekwentny, może nawet małostkowy i egoistyczny; w każdym razie zadbałem, aby umarła bezpotomnie, aby jej krew nie popłynęła już w niczyich żyłach, a jej genotyp nie powtórzył się w innym człowieku, żeby nikt nie odnalazł jej nigdy w cudzych rysach twarzy. Nie miałem ochoty ujrzeć nagle na ulicy ślicznej, uderzająco do niej podobnej nastolatki i za nic nie chciałem wymawiać tych słów: „Znałem kiedyś twoją matkę”. Nie pragnąłem także wcale usłyszeć: „Moja matka mi o panu opowiadała, jeśli pan chce, dam panu jej numer telefonu”; albo: „Moja matka wyjechała i nigdy tu już nie wróci. Nawet ja nie wiem, gdzie teraz jest”; lub też: „Nie chcę rozmawiać o mojej matce, proszę mnie o nic nie pytać, proszę dać mi spokój”. Może właśnie dlatego, że po latach ciągłych podróży pragnąłem spokoju i zakorzenienia, nie mogłem usłyszeć, że jest ciężko chora, beznadziejnie samotna, że straciła właśnie męża albo że poznała wreszcie mężczyznę, z którym po raz pierwszy w życiu czuje się bezpieczna, dopiero teraz, po tylu latach, oto dowód na piękno miłości wieku dojrzałego. Nigdy nie chciałem, by czuła się bezpieczna, jej strach był moją radością, jej niepokój mnie uspokajał, jej drzenie mnie podniecało. Nie chciałem też spotkać jej syna, w którego twarzy mógłbym rozpoznać jej rysy, i usłyszeć: „Moja matka mnie nie interesuje, dla mnie ona nie istnieje, nigdy nie istniała”. Dla mnie istniała zawsze, może dlatego bałem się, że kiedyś ujrzę ją jako starą kobietę ze zwiotczalymi piersiami, ze zmiętą jak zgnieciona kartka papieru szyją, z dłońmi naznaczonymi pociągłymi cięciami zmarszczek. Obawiałem się, że mocno ściśnie moje ramię żylastą ręką, jakby mówiła: „Wobec czasu nawet ja jestem bezradna”. Nie do zniesienia byłby dla mnie jakkolwiek jej widok po latach obopólnego milczenia. Wzdrygałem się na myśl, że ujrzę ją, gdy zapłakana pochyla się nad martwym ciałem swojego syna - bandyty lub artysty, jak zmęczone matki rewolucjonistów, którym pozwolono po raz ostatni zobaczyć swoje dzieci, bo być może byłby on młodym i ogłupiałym rewolucjonistą z głową w chmurach gazów łzawiących, ale równie dobrze mógłby przecież okazać się beznamiętnym zabójcą, którego wreszcie, ku powszechnej uldze, spotkał los jego ofiar. W końcu trzeba będzie skończyć tę historię, ciągnącą się jak monotonna podróż albo nudna, zła powieść. Kiedy zastanawiam się, czemu za nią ciągle podążałem, odpowiadam sobie: z tego samego powodu, dla którego jadłem, piłem, spałem, brałem prysznic, kupowałem nowe ubrania, szukałem ciekawych płyt i wybitnych powieści. Podążałem za nią z wewnętrznego, niekontrolowanego przymusu, bo inaczej umarłbym z głodu, pragnienia, z wyczerpania i z nudy. Dotknięty nieuleczalnym pigmalionizmem, przewędrowałem prawdziwy kawał świata tylko po to, by

zrozumieć, że świat nie jest jeszcze wcale taki mały, jak się czasami wydaje. Czołgałem się i biegłem, podążałem za niewyraźną smugą jej perFum, wonią ciała, jak gończy pies wodzący nosem za wytęsknionym zapachem, nadstawiałem uszu, skradałem się tropem plotek i pomówień, sam wynajmowałem siebie, by ją śledzić, by wskakiwać w ostatniej chwili do odjeżdżających pociągów, w których ona wykupiła miejscówki, i obserwować ją z ukrycia. Dzięki temu zobaczyłem miejsca, do których nigdy nie planowałem dotrzeć i do których nigdy już zapewne nie powrócę. Teraz mogę powiedzieć szczerze i otwarcie: minęło zbyt dużo czasu, by udało się wszystko naprawić, odkręcić, sklecić jeszcze raz na nowo, złożyć do końca ten plastikowy model. Tamtego „Fatalnego, upalnego dnia, kiedy w granatowej sukience i białej bluzce, prawie jak uczennica przyklasztornej szkoły, śmiało wkroczyła w chłód uniwersyteckiego budynku”, miałem dziewiętnaście lat, to dobry wiek, by noce spędzać na mieszanii alkoholu z literaturą. Dziś staram się tego nie robić, bo trudno się potem uwolnić od pisarskiego kaca, mojej głowie też niełatwo sobie z tym radzić, a i świat wokół zdaje się już tym zmęczony. Zabrakło mi pomysowości, a może po prostu nie chciało mi się wymyślać niewyobrażalnych przygód, bo z natury jestem leniwy, chociaż zarazem również chorobliwie uparty. To już wystarczająco niewymyślna kombinacja, żeby raz rozpoczęta historia mogła się bez powodzenia toczyć dalej. Będziesz spała, Karolino, powiem na końcu, kiedy usłyszę wreszcie jej zdławiony głos: „Jestem śpiąca. Dziwnie chce mi się spać”. Będziesz spała i nic ci już tym nie przeszkodzi ani nic ci się wreszcie nie przyśni. Będzie tak, jakbyś zasnęła z pustym żołądkiem, rezygnując z wystawnej kolacji, na którą ktoś cię zaprosił, wtedy śpi się nad wyraz spokojnie, bez gwałtownych wybudzeń, bez drżenia, koszmarów i potu, bez mówienia przez sen, nie krzycząc z przerażenia i nie płacząc. Uwolnię cię ostatecznie od wszelkich okropności, surrealistycznych wymysłów, nieposkromionych szaleństw podświadomości, nawet od sennych marzeń. Nigdy nie przyśni ci się żadna trywialna historia, żadna zła powieść. Nie będą cię już prześladować obrazy prawdziwych ani wymyślonych miejsc, nie przypomną ci się greckie wyspy w zabójczym upale, lotnisko w Atenach, stara, jakby dla potrzeb Filmów zbudowana Alfama. Nie będziesz spacerować onirycznie po wzgórzach Budy, wspinać się na Rózsadomb, nie ma po co tam się wspinać, nic godnego najmniejszej uwagi tam się przecież nie znajduje. Tramwaj 67 nie zabierze cię w przeszłość, od dawna przecież nie ma już tramwaju linii 67. Nie będzie więcej nudnych kochanków, żadnych męczących poranków, sennych, leniwych popołudni, absolutnie żadnych przytłaczających wieczorów, gdy słońce ciemnieje, a niedzielna pustka ulic grozi tą twoją nieszczęsną środkowoeuropejską nostalgią. Nie będzie samotnych posiłków w tanich knajpach ani wystawnych przyjęć z drogimi alkoholami, ani też niedzielnego obiadu u

rodziców (pamiętasz, wciąż stygnie paprikscsirke). Oszczędzę ci też pospiesznych poranków (kawa i papieros, może kanapka w biegu) oraz długo celebrowanych śniadań (jajko na miękko, biały ser, dżem pomarańczowy, tosty, apotem kawa i gazeta aż do popołudnia). Nie będzie już nic, co mogłoby odwrócić twoją uwagę, zaprzątnąć ci myśli, czasami nie należy myśleć, czasami należy się poddać i pozwolić się ponieść jak rzece - wybaczyć to porównanie - jak rzece czasu. To już koniec melancholijnych podróży bez celu i przerażających wędrówek przez ponury park, panicznych ucieczek przed skrytym w czerniach mężczyzną, który idzie za tobą nieubłaganie i jest już coraz bliżej, coraz bliżej.

Pozostałe książki Krzysztofa Vargi

45 POMYSŁÓW NA POWIEŚĆ

CHŁOPAKI NIE PŁACZĄ

BIIDUNGSROMAN

ŚMiERTELNOŚĆ

TEQUILA